

BRIDIE CLARK

I KTO JEJ ZABRONI?

Mojej rodzinie

PROLOG

POCZTÓWKI ZNAD KRAWĘDZI

Dzisiaj wychodzę za mąż. Za dwie godziny zacznie się wielkie odliczanie, bo wtedy ruszę po ślubnym kobiercu.

Beatrice pomaga mi włożyć suknię przez głowę. Uśmiecha się, słysząc szelest materiału, zapina rząd guziczków na plecach. Chwała Bogu, że mam taką przyjaciółkę. Ta myśl już milion razy przemknęła mi tego dnia przez głowę. Obie oglądamy pannę młodą w lustrze. Wygląda tak jak trzeba - ciemne, mahoniowe włosy spięte w elegancki węzeł na karku, perfekcyjny makijaż, porcelanowa cera, brylanty spływające z uszu.

Okręcam się trochę, żeby sprawdzić, czy idealna panna młoda w lustrze podąży za mną - i oczywiście idzie w moje ślady. Następnie ogląda imponujący tren zaprojektowany przez samą Verę, ozdobiony przez tuzin szwaczek z House of Lesage, wyszywany drobnymi brylancikami, które wyglądają jak czarodziejski pył.

- Wyglądasz oszalamiająco, Claire - chwali Bea, bo co innego można powiedzieć kobiecie ubranej w takie arcydzieło. Przeglądam się w lustrze z pozłacaną ramą. Ani Bea, ani ja nie silimy się nawet na uśmiech.

Z tego otumanienia wyrywa nas głucho pukanie do drzwi ślubnego apartamentu.

- Otwarte! - woła Bea. Wchodzi Lucille Cox, moja przyszła teściowa. Twarz ma napiętą jak doberman, figurę jak mizerny ośmiolatek.

- Przynoszę prezent od pana młodego! - dudni żywo Lucille. Nie kieruje swojej informacji konkretnie do żadnej z nas. Ta kobieta swój brak postury najczęściej próbuje nadrobić decybelami. Dzisiaj wydaje mi się jeszcze drobniejsza i głośniejsza niż zwykle. Dosłownie ginie w szkarłatnej sukni Oscara de la Renty, która kosztowała trzy razy tyle, co

samochód mojej mamy. Z powodu przedślubnej nerwówki Lucille przeszła z diety spartańskiej na etiopską. Nawet gołębie w Central Parku jedzą lepiej.

- Claire, słoneczko, wyglądasz... - Lucille kończy zdanie, przyciskając upierścienioną rękę do piegowatego, kościstego dekoltu, którym to gestem pragnie, jak rozumiem, zastąpić miłe epitety. Po chwili jednak dopowiada: - Wypisz, wymaluj, twoja matka.

Chwileczkę, wstrzymać druk! Czy to możliwe, że Lucille powiedziała to, na czym najbardziej mi zależy? O dziwo, ta kobieta, która zazwyczaj sady jedną gafę za drugą, teraz sprawiła mi mój absolutnie najulubiejszy komplement, tym bardziej że właśnie w jej ustach to porównanie stanowi najwyższą pochwałę. Lucille zawsze idealizowała moją mamę, jeszcze za czasów studenckich w Vassar, kiedy mieszkały razem w akademiku.

Czuję przyływ wdzięczności. Lucille, jak gdyby wyczuwała ocieplenie atmosfery, niezdarnie wpycha mi aksamitne puzderko, zanim da się ponieść emocjom.

- Otwórz! - domaga się.

Spełniam jej żądanie, bo ostatnio wykonywanie rozkazów weszło mi niestety w krew. Otwieram zameczek, podnoszę wieczko na ciężko chodzącym zawiasie. Na czarnej aksamitnej wyściółce leży okazały naszyjnik usiany brylantami. W życiu nie widziałam, a już z pewnością nie trzymałam w ręku tak drogiej biżuterii.

- Coś podobnego - mruczy Lucille, patrząc z uwielbieniem na naszyjnik jak na pierwszego wnuka. - Stary Bulgari. Cudo.

Zapinam go na szyi i natychmiast wszystkie trzy odwracamy się znów do lustra. Naszyjnik jest niezrównany, wprost oszałamiający. Sekretarka mojego narzeczonego ma wyborny gust.

- Zdobyłam też jaskółkę niedzielnego wydania gazety - szczebiocze Lucille, otwiera torbę Judith Leiber, wyjmując z niej wycinek prasowy i mi go podaje.

Claire Truman, Randall Pearson Cox III

Claire Truman, córka Patricii i zmarłego Charlesa Trumana z Iowa City w stanie Iowa, oraz Randall Pearson Cox III, syn Lucille i Randalla Coksa II z Palm Beach na Florydzie, biorą dzisiaj ślub w kościele episkopalnym Świętego Jakuba w Nowym Jorku.

Truman, lat 27, jest redaktorką w wydawnictwie

Grant Books. Ukończyła studia z wyróżnieniem na Uniwersytecie Princeton i uzyskała tytuł magistra filologii angielskiej. Jej matka jest malarką, a ojciec był poetą rezydentem oraz profesorem na Uniwersytecie Iowa.

Cox, lat 31, jest dyrektorem generalnym banku inwestycyjnego Goldman Sachs w Nowym Jorku. Również ukończył studia licencjackie w Princeton, a następnie magisterskie na Harvardzie. Jego matka zasiada w zarządach Muzeum Flaglera i Towarzystwa Historycznego Palm Beach. Dziadek Randalla był niegdyś dyrektorem oraz prezesem zarządu Trustu McCowana, z którego ojciec pana młodego, senior wiceprezes, odszedł w zeszłym roku na emeryturę.

- Wszystko w porządku, Claire? - pyta Lucille i spogląda w dół. Spuszczam wzrok i też widzę, że ręce trzęsą mi się niemiłosiernie, jak gdybym trzymała niewidzialny młot. Na szczęście Lucille ma zdolność koncentracji małego komarzątko, dlatego rozprasza ją wejście Jacques'a, naszego wizażysty, który sadza ją w fotelu, żeby poprawić makijaż.

- No i gdzie ta twoja mama?! - krzyczy do mnie przez ramię moja przyszła teściowa, przeszukując kuferek Jacques'a, bo chce znaleźć szminkę w odpowiednim odcieniu burgunda.

- Będzie tu lada chwila.

Patrzę na zegarek i zanoszę w duchu modły, żeby czas stanął na sekundę, bo dzięki temu mogłabym zaczerpnąć tchu. Nic z tego. Od miesiąca nie mam chwili wytchnienia.

- Muszę się jej poradzić w sprawie kolczyków - skamle Lucille.

Bea wytrzeszcza oczy z niedowierzaniem. Owszem, mnie też chce się śmiać, kiedy pomyślę, że Lucille - dama z towarzystwa, dysponująca przeogromną garderobą w większości nienoszonych ciuchów prosto od projektantów - miałyby zasięgać rady mojej mamy, podstarzałej hipiski, na temat tego, które brylanty Harry'ego Winstona będą lepiej pasowały do sukni z paryskiego wybiegu. O ile mi wiadomo, mama przez całe życie nosiła tylko jedną sztukę biżuterii, mianowicie prostą złotą obrączkę ślubną. Najdalej posunięta dekadencja oznaczała dla niej gorącą kąpiel i aromaterapię olejkami otrzymanymi w prezencie od przyjaciółki z Iowa, lesbijki prowadzącej gospodarstwo wiejskie, a przy tym artystki produkującej własne mydło. W szafie mojej mamy królowały flanela, džins i batiki domowej roboty.

Trudno mi sobie wyobrazić, że mamę i Lucille łączyła w Vassar siostrzana przyjaźń. Pani Cox (wychowana w zapyziałym miasteczku w Kansas, które za każdym razem, kiedy Lucille o nim wspomina, zbliża się trochę do Chicago) przez cztery lata studiów zasypywała mamę (pochodzącą z nowoangielskiej elity) drobiazgowymi pytaniami na temat etykiety i stylu dobrych manier. Podejrzewam, że mamie wcale nie przeszkadzało agresywne pięcie się Lucille po szczeblach drabiny społecznej, a może nawet ją to bawiło, bo sama bimbała na świat, w którym się urodziła, dlatego nie miała zamiaru bronić do niego dostępu komukolwiek, kto rozpaczliwie pragnie się do niego przebić. Wykształcenie średnie Lucille przyniosło jej ogromne korzyści, kiedy złapała Randalla Coksa II, wytwornego gracza polo, w którego żyłach

płyneła błękitna krew. Niegdyś spotykał się z pięcioma studentkami z Vassar naraz, ale w końcu wybrał Lucille na swoją żonę. Nie omieszkała mi powiedzieć, że na uczelni wywołało to nie lada sensację.

Usidlony mąż Lucille, czyli mój przyszły teść, okazał się równie niewierny w łóżu, jak przebojowy w interesach (w obu dziedzinach działał z niezwykłym rozmachem). O ile mi jednak wiadomo, Lucille nigdy nie przeszkadzały notoryczne grzeszki męża - tak dalece bawiły ją rezydencja w Palm Beach, prywatne odrzutowce, biżuteria, „domek” z siedmioma sypialniami w Southampton, pokazy mody w Paryżu i Mediolanie, jeżdżący za nią kucharz, masażysta i sekretarz oraz kamienica na Manhattanie. Styl życia jaśnie wielmożnej małżonki Randalla Coksa II.

Mama natomiast zamieniła życie wyższych sfer na mojego niezwykle fantastycznego ojca - miłość jej życia, poetę biednego jak mysz kościelna, który mimo wszystko obsypał nas bogactwami, jakie można sobie tylko wyobrazić. Pieniądzy zawsze brakowało - tata wykładał na uniwersytecie, mama sprzedawała akwarele w miejscowych sklepikach, żeby wspomóc jego dochody, a ja pracowałam ciężko w Princeton na stypendium... ale kiedy wspominam swoje dzieciństwo, niczego bym nie zmieniła.

Dorastałam jako jedynaczka w małej wiejskiej malowniczej chałupie w Iowa, pośród szmaragdowych łąk kukurydzy, w otoczeniu znakomitego grona poetów, studentów, dramatopisarzy, powieściopisarzy, którzy przyjeżdżali, żeby wziąć udział w słynnym Programie Pisarzy miejscowego uniwersytetu. Już jako dziesięciolatkę często proszono mnie, żebym czytała utwory tej naszej wielkiej rodziny i wypowiadała się na ich temat. Takiemu dobrze rokującemu molowi książkowemu jak ja (no, zgoda, dobrze rokującej maniaczce) wielce imponowało, że ktoś liczy się z

moim zdaniem, dlatego całymi dniami ślęczałam w swoim pokoju, pisząc rozwlekłe epistoły pełne rad i opinii. Może przyjaciele rodziny chcieli mi tylko sprawić przyjemność, ale praca z tak utalentowanymi pisarzami, przelewanie na papier moich pierwszych przemyśleń, przedsmak współpracy z twórcami dały mi w dzieciństwie tyle radości, że postanowiłam studiować anglistykę, a następnie szukać szczęścia w branży wydawniczej.

Może cały szkopuł tkwi właśnie w tym, że życie układa mi się w cykl łatwych, oczywistych wyborów. Nie doceniałam tego aż do dzisiaj. W odróżnieniu od niemal wszystkich znanych mi osób nigdy nie musiałam borykać się z problemem, jaką obrać drogę.

Spojrzałam znów na ogłoszenie w „Timesie” i nagle oczy zapiekły mnie od łez.

- Nic ci nie jest?

Bea położyła mi dłoń na ramieniu, po czym chwyciła mnie za rękę, która nie przestawała mi się trząść.

- Papierosa - poprosiłam nerwowo szeptem. Skinęła głową jak posłuszny żołnierz. Chwała Bogu, że mam taką przyjaciółkę.

* * *

Dziesięć minut później przysiadłam na schodach razem z Bea. Paliliśmy drugiego przemyconego marlboro light i popijałyśmy szampana veuve clicquot wprost z butelki. Podłożyłyśmy sobie koc, żebym nie zabrudziła sukni. Czułam się jak uciekinierka, która robi użytek z darowanego czasu.

- Za dwie minuty Mandy zorganizuje ekipę poszukiwawczą - zadrwiła Bea.

Mandy była nad wyraz pedantyczną, znerwicowaną organizatorką ślubów, którą Lucille przysłała mi nazajutrz po zaręczynach z Randallem. Dam wam dobrą radę: nigdy nie należy ufać organizatorce ślubów, jeśli jest panną i skończyła

trzydzieści pięć lat. A Mandy jest singielką i ma czterdzieści dwa.

Mandy, podobnie zresztą jak Lucille, cechowała dyplomacja buldożera. Najpierw stoczyłam bez przekonania walkę o weselne plany, ale szybko poddałam się po zmasowanym ataku obu pań - i skromny ślub w moim rodzinnym wiejskim domu rozrósł się do oficjalnego bankietu w hotelu St. Regis dla sześciuset naszych „najbliższych przyjaciół”. Ściśle rzecz biorąc, zaproszono 300 - osobowe zramolałe towarzystwo Lucille z Palm Beach, 250 współpracowników Randalla, a także garść moich krewnych i przyjaciół.

Nie powinnam narzekać - państwo Cox pokrywali wszystkie koszty. Mojej mamy za nic w świecie nie byłoby stać na tak huczne wesele, jakie zamierzała wydać Lucille.

- Pij - zachęciła Bea, podsuwając mi szampana. Pociągnęłam łyk i bąbelki natychmiast poszły mi do głowy. Doląła. Znow wypiłam.

Przez ostatnie dwa miesiące dostałam niezły wycisk. Vivian Grant, moja szefowa, notoryczna socjopatka, obchodziła się ze mną wyjątkowo okrutnie. Mogę powiedzieć bez przesady, że pracowałam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby nie wkroczyła Mandy wraz z Lucille, dosłownie nie miałabym kiedy omówić szczegółów ślubu. Od zaręczyn z Randallem trzy miesiące wcześniej ledwo znajdowałam czas na spotkania z narzeczoną.

Lucille wybrała nam nawet termin, oszałamiająco bliski, bo nie chciała, żeby nasz ślub utknął w długiej kolejce ślubów par z wyższych sfer zaplanowanych na jesień.

Jakieś drzwi w korytarzu otwierają się z impetem, z oddali dobiega skrzyp parkietu, wymieniamy z Beą ukradkowe spojrzenia.

- Claire - zwraca się do mnie Bea, obgryzając różowy paznokieć, bo gryzie go zawsze, kiedy nie wie, jak coś ogłędnie wyrazić. Po dziesięciu latach zażyłej przyjaźni wypracowałyśmy sobie znajomość języka naszych ciał graniczącą czasem z telepatią.

- Proszę cię, przestań - wtrącam. - Wszystkie panny młode się denerwują.

Nie mogę się teraz wycofać. Julii Roberts mogło ująć na sucho, że kilka razy uciekła sprzed ołtarza i nie straciła nic z wdzięku, ale to nie jest hollywoodzki film, tylko moje życie. Zaliczka wpłacona... Co ja sobie wyobrażam? Nie mogę się teraz wycofać, bo Randall jest dobrą - co ja mówię - fenomenalną partią i musiałabym upaść na głowę, żeby nie chcieć za niego wyjść.

Po raz ostatni zaciągam się papierosem, do głowy pcha się wspomnienie - co mi się ostatnio coraz częściej zdarza - wieczoru sprzed trzech lat, w przeddzień ślubu Beatrice z Harrym. Bea wychodziła za mąż jako jedna z pierwszych dziewczyn z naszego kręgu. Zdecydowali się na skromną uroczystość w ogrodzie jej domu rodzinnego. Przez całą noc próbowałyśmy upiec coś, co choć trochę przypominałoby tort weselny. Siedziałyśmy przy wielkim stole kuchennym i maczałyśmy palce w rozlanym cieście.

- Bea, jesteś zdenerwowana? - zapytała jedna z druzhen. Pamiętam, że moja przyjaciółka wzruszyła tylko ramionami i jeszcze raz skosztowała ciasta.

- Podekscytowana tak, ale nie zdenerwowana - odpowiedziała szczerze.

Teraz myślę o własnym torcie weselnym. Która panna młoda nie emocjonowałaby się posagowym, dwunastopiętrowym tortem z precyzyjnie wykonanymi cukrowymi pąkami róż oraz irysami (z kolorową posypką przypominającą kwiatowy pyłek), nie mówiąc o lukrowym

deseniu w tle, takim samym jak wzór paciorków na mojej sukni i na porcelanie? I co z tego, że ten słodki wieżowiec kosztuje w przybliżeniu tyle, ile wynosi roczne czesne w prywatnym college'u? Czego więcej można chcieć? Czego więcej mogłabym sobie życzyć?

Ciężkie drzwi na schody otwierają się z trzaskiem, aż Bea i ja podskakujemy. Psy gończe już nas dopadły.

- Claire, złotko! Słoneczko ty moje! Wszędzie cię szukam! Już za godzinę jedziemy do kościoła! - Mandy, cała w rumieńcach, aż widać, że przydałby jej się lek przeciwlękowy, podbiega, podrywa mnie z podłogi, wygładza mi suknię. - Jeszcze trzeba ci poprawić fryzurę i makijaż.

Słyszę, jak mamrocze pod nosem: „Nie do wiary!”, kiedy zagania nas do apartamentu nowożeńców. Drepczę bez słowa za nią jak więzień wezwany ze spacerniaka.

* * *

- Claire!

Mama biegnie do mnie, kiedy skręcamy w stronę apartamentu, odciąga mnie od Mandy i chwytą w objęcia. Jak ja marzyłam o takim uścisku! Ramiona od razu mi wiotczeją, kark się rozluźnia. Czuję jej bliskość, zatracam się w maminej czułości. Robię głęboki wdech, wciągam w nozdrza delikatny eukaliptusowy zapach jej szamponu. Mama tuli mnie mocniej.

- Mam coś dla ciebie, kochanie - mówi i wyjmuję z torebki aksamitny miszek. - Perły babci. Pamiętam, że zawsze ci się podobały. Uznałam, że posłużą ci, zgodnie z porzekadłem, za „coś starego”.

- - Kochana jesteś, mamó! - wołam zachwycona i przebiegam palcami po przepięknych, lśniących perłach. W dzieciństwie uważałam to za wielki zaszczyt, kiedy babcia podczas moich wakacyjnych odwiedzin pozwalała mi je przymierzyć. - Ależ one są śliczne. Nie wiem, jak ci dziękować...

- Owszem, są piękne, Tish - Tish - wtrąca Lucille - ale Randall właśnie sprawił Claire niespodziankę i podarował jej ten naszyjnik. Bajeczny, prawda?

Mama cofa się o krok, żeby obejrzeć z podziwem migoczący sznur brylantów na mojej szyi.

- Naprawdę jest niesamowity! - woła. - Ależ ten Randall ma gest. W takim razie, Claire, perły babci włożysz kiedy indziej. Są już twoje.

Chowa perły do aksamitnego mieszka. Widzę, z jakim trudem przychodzi jej uśmiech.

- A może kiedy indziej włożę naszyjnik od Randalla? - pytam niepewnie, wiedząc, na co się narażam.

I rzeczywiście, Lucille wybucha natychmiast.

- Co? Miałaś nie włożyć naszyjnika Randalla? No wiesz, Claire! Poczuliby się zdruzgotany! Przecież to jego specjalny prezent ślubny dla ciebie! Musisz go włożyć, po prostu musisz!

Mama kiwa głową z aprobatą. I wyciąga rękę, żeby mnie jeszcze raz uścisnąć.

Nie puszczaj, mamo, myślę, zatopiona w jej objęciach, jakby mi ubyło dwadzieścia lat. W ramionach mamy czuję, że ucisk w dołku trochę ustępuje.

- Tish - Tish, błagam, musisz mi pomóc przy kolczykach - jęczy Lucille, odciągając mamę ode mnie. Poczucie, że mama wypuszcza mnie z objęć, przyjmuję gorzej niż rozdzierający dźwięk budzika po bezsennej nocy. Patrzę bezradnie. Jestem za duża, żeby wskoczyć mamie na kolana i mocno się w nią wczepić, ale ledwo się powstrzymuję.

I chociaż wydawało się, że gorzej już być nie może, raptem czuję się jeszcze fatalniej.

A wszystko dlatego, że do moich uszu dobiega pewien głos. Słyszę go wyraźnie: niski, gardłowy, mocny,

bezwzględny. Napawający grozą głos, który przez ostatnie jedenaście miesięcy odbijał się od ścian moich złych snów.

Teraz wyraźnie nadciąga żwawo korytarzem, zmierzając ku mnie.

- Claire! Claire, tu jesteś!

Gdybym była łanią, ten głos byłby światłami reflektorów samochodu. Za każdym razem dosłownie mnie paraliżuje. Jak to możliwe? Niewyobrażalny koszmar...

- Rany boskie, Claire, zostawiłam ci, do cholery, chyba z tuzin wiadomości na poczcie głosowej w komórce i na stacjonarnym! W końcu dodzwoniłam się do jakiejś twojej krewnej z kurzym mózdzkiem, zapewne ofiary chowu wsobnego, która najpierw tylko chrząkała i jęczała, ale w końcu wyjawiała mi, gdzie jesteś. Tak być nie może, Claire, już to omawialiśmy. Muszę mieć z tobą kontakt dwadzieścia pięć godzin na dobę, osiem dni w tygodniu.

Oddychaj, myślę gorączkowo, ale nie odwracam się, tylko czuję, jak wilgotnieją mi dłonie od potu. Mam chyba kolejny zły sen. Niemożliwe, żeby to się działo naprawdę.

Uruchamiam siłę woli, żeby się odwrócić. Ona naprawdę tu jest. Moja szefowa z piekła rodem: bezwzględna, olśniewająca, jedyna w swoim rodzaju Vivian Grant. Raptem metr pięćdziesiąt pięć wzrostu - i to chuchro budzi taką grozę. Staje w zniecierpliwionej pozie, czerwona ze złości na twarzy, w ręce trzyma notatnik.

Nie, nie, nie! - krzyczę w duchu. Niemożliwe, żeby Vivian wdarła się do mojego apartamentu ślubnego, z tym spojrzeniem, które może wróżyć tylko jedno...

- Muisz mi poświęcić dziesięć minut, żebym ci przedstawiła swoje pomysły na najbliższy tydzień.

Bea stoi z założonymi rękami i patrzy bez słowa. Widzę, że najchętniej rozdarłaby Vivian na strzępy. W progu stają

mama i Lucille, obie jakby dostały obuchem w głowę. Energia Vivian zamknęła usta nawet niezłomnej Luce.

- Vivian - odpowiadam bardzo powoli. - Za godzinę biorę ślub. Przekładam miodowy miesiąc, żeby nie zaniedbać obowiązków w pracy. Czy to naprawdę nie może poczekać do poniedziałku?

Vivian łypie na mnie groźnie, ściąga brwi. Chyba liczyła na taką właśnie ripostę. Pozwoli jej gładko przejść do jednej z jej ulubionych tyrad.

- Jakże mi miło, Claire, że twoim zdaniem to ja powinnam dostosowywać się z rozkładem zajęć do ciebie! Przecież proszę cię, do cholery, tylko o dziesięć minut. Nie uważasz, że mogłabyś się na chwilę oderwać od tego wszystkiego... - tu macha pogardliwie ręką na pokój, w którym mama, Lucille i Bea stoją z rozdziawionymi ustami - ...dla czegoś tak bagatelnego i nieistotnego jak własna praca?

Przez chwilę rozważam, czy nie podbiec do okna, nie otworzyć go na oścież i...

- Sądziłam, że jesteś ulepiona z innej gliny, Claire - drwi Vivian. - Że masz w sobie siłę. Ale zapewne teraz, kiedy wychodzisz za męż...

Wiem, że to wariatka. Że ma nierówno pod sufitem. A jednak ta kobieta wywiera na mnie przemożny, patologiczny wpływ, podobnie zresztą jak na większość podwładnych.

- Poświęcę ci pięć - mówię (wyjątkowo śmiało jak na mnie), po czym piję haust szampana, a jednocześnie biorę do ręki notatnik i długopis.

- Istny obłąd - syczy Bea, kiedy Vivian ją mija. - Claire, jesteś redaktorką książek, a nie przywódczynią wolnego świata. Nie pojmuję, co może być aż tak niecierpiącego zwłoki, żeby ci zakłócać dzień ślubu? Szaleństwo! Dlaczego ona cię tak traktuje?

Dlaczego Vivian kogokolwiek tak traktuje? Poważnie się zastanawiam.

- I kto jej zabroni? - odpowiadam pytaniem.

Nasuwa mi się mrożąca krew w żyłach refleksja. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmie - chociaż szefowa nie daje mi spokoju nawet w dniu ślubu, poniekąd czuję do niej wdzięczność, że dzięki niej oderwałam się myślami od tego nieuchronnego wydarzenia.

Jeszcze przez chwilę nie muszę myśleć o tym, że zaraz będę kroczyła po dywanie. Ani o życiu, które właśnie rozpoczynam. Ani o tym, które pozostawiam za sobą. Nie muszę myśleć o mężczyźnie, który będzie czekał na mnie przy ołtarzu ani o braku radości z powodu ślubu z człowiekiem o tak niezaprzeczalnych walorach.

A nade wszystko - nie będę musiała myśleć o mężczyźnie, z którym całowałam się półtora miesiąca temu.

ROK WCZEŚNIEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY TRUDNO O DOBREGO CZŁOWIEKA

Dokładnie rok przed ślubem, 26 czerwca, leżałam skulona na kanapie, okryta najprzytulniejszym kocem świata, i zajadałam dużą pizzę pepperoni, mając pod ręką na wpół wypaloną paczkę marlboro lightów, a przed sobą kilka godzin cyfrowych nagrań z telewizji.

W normalnych okolicznościach taka perspektywa napawałaby mnie nie lada radością. Kiedy indziej powiedziałabym, że mam przy sobie połowę paczki papierosów. Tego wieczoru jednak nawet zapowiedź oglądania przez bite sześć godzin, jak Kiefer Sutherland zbawia świat, stanowiła wątpliwą pociechę.

Przede wszystkim jeszcze nie wylizałam ran po ohydny rozstaniu z Jamesem, moim chłopakiem, któremu marzyła się kariera gwiazdora rocka. Gwoli absolutnej ścisłości, było to ostatnie z serii czterech rozstań, przy czym każde wydawało się bardziej konieczne od poprzedniego. Kompletnie mnie to zdołowało.

Dodatkowo pogrzyżył mnie pech w pracy. Właśnie dostałam druzgoczącą wiadomość, że latem Jackson Mayville, mój ukochany szef z Peters and Pomfret (znakomitego wydawnictwa nowojorskiego z górnej półki), mój mistrz w zawodzie przez pierwsze pięć lat po studiach, odchodzi z firmy. Przeprowadza się z żoną do Wirginii, żeby zamieszkać bliżej wnuków.

Chyba powinnam była przewidzieć jego ruch, ale w takich sprawach nigdy nie miałam nosa. Kiedy więc Jackson powiadomił mnie o swoich planach, natychmiast się rozkleiłam. Z oczu trysnęły mi zawstydzające, lecz jakże szczere łzy.

- Błagam, tylko nie płacz. Przecież będziemy w kontakcie
- pocieszył mnie z tym swoim clintonowskim akcentem,

delikatnie poklepał po ręce i podsunął chusteczkę. Przytulił mnie w niezdartym niedźwiedzim uścisku i z ojcowską troską zmarszczył czoło.

Nie muszę chyba dodawać, że żaden z tych gestów nie osuszył moich łez. Próbowałam zdobyć się na uśmiech i zachować profesjonalnie, ale nie potrafiłam wziąć się w garść. Świat mi się zawalił. Jackson był dla mnie kimś znacznie więcej niż szefem. Od śmierci taty pięć lat wcześniej zastępował mi ojca. I podobnie jak tata emanował dobrocią i inteligencją. Obaj byli wysocy, szczupli, pociągający (jeśli nawet niezupełnie przystojni), mieli bujne srebrne czupryny i skłonność do urągania na istniejący stan rzeczy. Obaj przejawiali niezachwiane poświęcenie wobec pracy. Obaj byli wielkoduszni, uczuciowi, prostolinijni. I obaj uwielbiali swoje żony.

Dzięki obu czułam się... kochana. Nieraz zdarzało się w piątkowy wieczór, że jeśli Jackson zastał mnie siedzącą do późna w pracy, zapraszał do domu na kolację z żoną Carie oraz nastoletnimi synami, Michaeliem i Edwardem, najmłodszymi z pięciorga rodzeństwa. Kiedy siadaliśmy przy stole w kuchni - gorącej i zadymionej od piekarnika, w którym Carie prawie zawsze przypalała pieczeń albo lazanie - czułam się, jakbym znalazła w Nowym Jorku drugi dom.

- Nic mi nie będzie - szepnęłam z twarzą nadal wtuloną w marynarkę Harris Tweed Jacksona.

Poznałam go pod koniec ostatniego roku w college'u. Weszłam z duszą na ramieniu do jego gabinetu, z krótkim życiorysem w ręce, i usiadłam skromnie na tej samej wysłużonej skórzanej kanapie, na której dzisiaj roniałam łzy. Za kilka tygodni czekała mnie obrona dyplomu. Miałam już wprawdzie ofertę pracy innego dużego wydawcy - skutek wielu wypraw do Nowego Jorku starym gruchotem kombi mojej przyjaciółki - ale kiedy udało mi się załatwić spotkanie

z legendarnym Jacksonem Mayvillem, poprosiłam kadrowego w drugiej oficynie o jeszcze trochę czasu do namysłu. W końcu był to Jackson Mayville. Zredagował najważniejsze pozycje literackie tego stulecia i stanowił klasę samą w sobie.

Od dziecka wiedziałam, że chcę zostać redaktorką w wydawnictwie. Jako licealistka pasjami czytałam podziękowania zamieszczane w ulubionych powieściach, marząc o tym, że pewnego pięknego dnia jakiś geniusz uzna mnie za osobę, bez której „ta książka nie mogłaby się ukazać” lub dzięki której „ze wszystkich kart niniejszego tomu biją redaktorska mądrość i przenikliwość”. Czy zostanę Maxwell Perkins wspomagającą przyszłego Hemingwaya, Fitzgeralda albo Wolfe'a? Nauka tajników zawodu u Jacksona Mayville'a stanowiła zapewne pierwszy wielki krok w tym kierunku.

I nie myliłam się. Przez pięć lat u Jacksona nauczyłam się od niego więcej, niżbym przypuszczała w najśmielszych oczekiwaniach.

Moje życie nie było zawsze usłane różami - czy to pod względem zawodowym, czy prywatnym. Przez pięć lat biedziłam się, jak związać koniec z końcem, wychodziłam obronną ręką z kolejnych nieudanych związków, patrzyłam, jak przyjaciele czerpią radości z zakładania własnego ogniska domowego, kiedy ja przez większość dni tygodnia wciąż podgrzewałam samotnie zupę z puszki Campbella. Przez pięć lat poznawałam jednak arkana zawodu u zdolnego, wielkodusznego nauczyciela, przestępowałam z nogi na nogę, choć jednocześnie czerpałam rozkosz z własnej niezależności. Czyli bilans wyszedł mi na zero.

Teraz ta równowaga miała ulec zachwianiu. Jackson zniknął z mojego życia.

Szczerze mówiąc, już miałam dosyć tego czekania. Związek z Jamesem wyczerpał mnie do cna, podobnie zresztą jak większość niedawnych romansów. Ostatnio najwyraźniej

próbowałam przekonać samą siebie, że chłopak, z którym się spotykam, nie jest: a) kretynem (no i co z tego, że nie lubi opery? Ani muzeów... ani gazet... i że czytając, rusza ustami?); b) wałkoniem (co z tego, że od dziesięciu lat nie kiwnął palcem, żeby znaleźć pracę? Przynajmniej nie jest materialistą. I jest tak pewien swojej męskości, że pozwala mi za siebie płacić); c) aroganckim kutafonem (co z tego, że kazał mi na siebie czekać w restauracji blisko godzinę? Ma latynoski temperament).

Nastawiłam kolejny odcinek serialu 24 godziny. Wiesz co? - pomyślałam. Taki dzień dosłownie prosi się o podwójną porcję pizzy. Zadzwoiłam do Mimi po dokładkę. Jedni ćwiczą jogę, drudzy biegają na terapię, a ja, kiedy mnie życie przytłacza, radzę sobie, zjadając tyle pizzy pepperoni, ile sama ważę.

Przejmowałam się odejściem Jacksona nie tylko z powodu straty emocjonalnej. Kierowały mną również względy praktyczne. Jackson bez przerwy wstawiał się za mną - pilnował, żeby wydawca Gordon Haas zwrócił uwagę przynajmniej na niektóre propozycje przedstawiane przeze mnie na kolegium, nieraz walczył o mój awans, wojował z dyrekcją o tak bardzo potrzebne mi podwyżki. Jakie miałam, w świetle jego przejścia na emeryturę, perspektywy w P and P? Na pewno zachowam posadę, o czym natychmiast mnie zapewniono, ale niewątpliwie brak silnego sprzymierzeńca, takiego jak Jackson, spowolni moją karierę. Przyjęłam to dość markotnie, zwłaszcza że dotarcie po redakcyjnej drabinie na szczebel redaktora pomocniczego zabrało mi pięć lat, co firma i tak uznała za szybki awans.

Zapaliłam ósmego papierosa tego wieczoru i usiłowałam skupić się na Kieferze, co okazało się wyjątkowo trudne.

Już doświadczyłam na własnej skórze, jak trudno mi przekonać Gordona do czegokolwiek - miałam kłopoty z

pozyskaniem jego zgody oraz wsparcia finansowego na proponowane książki. Jak mogę liczyć na awans redaktorski, skoro nie potrafię dowieść przełożonemu, że kupuję właściwe pozycje i umiem dobrze redagować? Zdawałam sobie sprawę, jak wiele osób spośród młodszego personelu tkwi w błędnym kole paragrafu 22. Skoro tylu zdolnych starszych redaktorów zabiegało o uwagę i środki Gordona, nie przypuszczałam, bym mogła wejść na ścieżkę szybkiego awansu jako tak młoda pracownica, nawet przy poparciu Jacksona.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy przeleciało mi koło nosa kilka obiecujących książek, bo nie zdołałam uzyskać na czas odpowiedzi Gordona. Nie mogłam go nawet winić za niedostateczną przepustowość jego biurka, bo nie tylko był sympatycznym człowiekiem o dobrym nastawieniu, lecz również pracował bez wytchnienia i starał się nikogo nie zawieść.

Mimo to przeżywałam frustrację. Marzyłam o zwiększeniu odpowiedzialności. Wybrałam ten zawód, bo pociągała mnie konceptualna, twórcza praca redaktora z pisarzami - a nie dlatego, że uwielbiałam przez pięć godzin dziennie stać przy kserokopiarce.

Tak wyglądała moja sytuacja rok przed ślubem - w życiu osobistym brak romantycznych perspektyw, a życie zawodowe najwyraźniej utknęło w martwym punkcie. Znalazłam się na utartym torze rozmiarów Wielkiego Kanionu.

Kiedy zatopiłam zęby w drugiej pizzy, zadzwonił telefon: to była Beatrice z pytaniem, czy nie wybrałabym się z nią na otwarcie nowej galerii sztuki.

Nie ma mowy, pomyślałam... a może nawet powiedziałam na głos. Z góry mogłam sobie wyobrazić to przyjęcie. Morze roześmianych, gestykulujących, tankujących, flirtujących, nadętych nowojorczyków. Bywalcy, którzy przez pół dnia

wybierają strój na wieczór. Mężczyźni z przylizanymi włosami, którzy omiatają wzrokiem salę, kiedy ty odpowiadasz na ich pytania. Młodzi konserwatyści ze śmiesznie pretensjonalnymi imionami i platynowymi blondynkami u boku. Ciągące do cyganerii młode bachory z bogatych rodzin, które chełpią się zasługami poprzednich pokoleń. Błyskające flesze fotografów z pism brukowych. Tanie białe wino. Lanie wody. Wszyscy rozmawiali wyłącznie o niczym, bo nawet najbardziej interesujące osoby wypalały się, jeżeli dość dużo czasu spędziły w obiegu.

Przyznaję, byłam cyniczna. Ale też nieźle poinformowana. Od pięciu lat kręciłam się trochę w tym światku, głównie dlatego, że Bea, projektantka wnętrz, udzielała się na takich przyjęciach, żeby poszerzać swoją klientelę, wiedziałam więc, czego się spodziewać po takich imprezach.

Ostatnio na przykład zaciągnęła mnie na koktajl w Soho House na cześć początkującej młodej pisarki, która właśnie wydała pierwszy zbiór opowiadań. Przyglądałam się, jak gromadka imprezowiczek o najwyższych aspiracjach, spowitych od stóp do głów w biel (nową szarość tego sezonu, która była nową czernią sezonu poprzedniego), stanęła w kącie pod regałami. W pobliżu krążył paparazzo Patrick McMullan, a panienki udawały skromnie, że nie widzą ogromnego aparatu fotograficznego wiszącego mu na szyi. Ale kiedy zaczął pstrykać zdjęcia, jedna z dziewcząt, była modelka, wzięła na chybił trafił książkę z półki i udawała, że czyta. Inna natychmiast poszła w jej ślady. Wszystkie przybrały nad wyraz poważne miny, oczy zwęziły w szparki, jakby sięgały głębi, a nieskażone myślą czoła zmarszczyły w karykaturze niezwykle uczoneści. Patrick oszalał z radości. Jedna z dziewcząt trzymała książkę do góry nogami, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Chociaż była to całkiem

niewinna okazja do dobrego zdjęcia, tak mnie zniesmaczyła, że odstawiłam kieliszek i pożegnałam towarzystwo.

Zresztą i tak humor mi tego wieczoru nie dopisywał. Nie mogłam przestać myśleć o swojej sytuacji w pracy, a w dodatku już ponad tydzień obchodziłam żałobę po Jamesie. Bo kto w skrytości ducha nie napawa się rozstaniem - a w każdym razie ową wolnością bez skrupułów, która pozwala nam palić do woli, jeść lody kubelkami, nie ruszać się z kanapy, tylko oddawać wszelkim banalnym rozkoszom? Nie miałam zamiaru skracać sobie tej przyjemności.

Wyjaśniłam Bei, że moje spodnie dresowe cierpią na ciężką postać choroby sieroczej, ale nie przestała nalegać. W końcu zaczęła mnie błagać.

Słyszając, że się zapałam, zmieniła strategię.

- Ciekawe, czy James też tak rozpacza na kanapie.

- Będę u ciebie za godzinę - wybąkałam, zrywając się. Muszę przyznać, że świetnie to rozegrała. Jak obie wiedziałyśmy, James z całą pewnością bajerował właśnie jakąś laskę, fankę rocka niezależnego, która rzuciła się na niego podczas jego pierwszego numeru. Jego słabość dla takich nawiedzonych panienek przesądziła o naszym rozstaniu.

- Nie pożałujesz, Claire! - zawołała podniecona Bea. - Tylko włoż tę swoją czerwoną sukienkę, dobra?

Czerwoną sukienkę? Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam renegecować, bo zwietrzyłam podstęp. -

* * *

Kiedy dwadzieścia po ósmej weszłam do zatłoczonej galerii, wypatrzyłam Beę przy barze i natychmiast ruszyłam w jej kierunku.

- Gadaj, gdzie on jest? - zapytałam ze znudzonym uśmiechem. Cmoknęłam ją na powitanie i wzięłam mini - quiche z tacy krążącego po sali wynajętego kelnera.

Harry zaszedł mnie z tyłu. Palił zakazanego na wernisażach papierosa, co tylko jemu mogło ujść na sucho. Położył czule rękę na ramieniu Bei, a zobaczywszy mnie, gwizdnął.

- Fiu, fiu, strzeżcie się, nowojorczyacy - rzekł, podsuwając mi policzek do pocałunku. - Trumanówna wróciła na rynek.

Uwaga na marginesie: uwielbiam, uwielbiam, uwielbiam Harry'ego. To jeden z najbardziej skromnych, inteligentnych, zabawnych ludzi, jakich znam. Już sama ich bliskość skłania nas do uśmiechu. Jest również fantastycznym zastępcą prokuratora okręgowego, sypie jak z rękawa prawdziwymi anegdotami kryminalnymi jak z serialu Rodzina Soprano i stał się częścią mojego życia, odkąd Bea w końcu zgodziła się zacząć z nim chodzić na naszym drugim roku w college'u. Chwała Bogu, że dostała oświecenia, bo w życiu nie widziałam bardziej starającego się amanta. Właśnie w tym rzecz - pominąwszy niezrównany urok Harry'ego, uwielbiam w nim tę jego bezgraniczną miłość do mojej przyjaciółki. Uważa Beę za boginię, co popieram całym sercem.

Inna sprawa, że nie tylko my dwoje tak myślimy. Bea jest po prostu zjawiskowa. Zawsze szczupła, mimo wrodzonej awersji do zdrowej żywności, która każe jej omijać warzywa, wobec czego moja przyjaciółka żywi się befsztykami z frytkami i kurczakami z KFC, chociaż wcale tego po niej nie widać. Klasyczna, świeża uroda, jak gdyby zeszła prosto z boiska do gry w lacrosse na pensji dla panien Miss Porter. Gęste pukle pszenicznych włosów, na których widok typowa amerykańska piękność rozplakałaby się z zazdrości, wielkie oczy w kolorze wyrzucanych przez morze szkiełek. Pod względem urody śmiało mogłaby konkurować z Charlize Theron, czego świadomość mają absolutnie wszyscy poza samą zainteresowaną.

Nie bez znaczenia jest, że żyje w szczęśliwym stadle z mężczyzną, który wciąż pisuje do niej spontaniczne listy miłosne, zrobił sobie rok przerwy między studiami licencjackimi a magisterskimi na wydziale prawa, żeby poznać arkana kuchni francuskiej, a co piątek przynosi ukochanej fiołki (jej ulubione kwiaty). Bea odnosi również sukcesy jako projektantka wnętrz, pracując twórczo w swoim wymarzonym zawodzie, w nienormowanym czasie pracy.

No właśnie. Gdybym nie kochała Bei jak siostry, której nigdy nie miałam, z pewnością musiałabym ją znienawidzić.

Ale ją kocham. Kocham, odkąd usiadła kilka rzędów przede mną na jednym ze sprawdzianów próbnych, do których musiałyśmy przystąpić w pierwszym tygodniu studiów w Princeton. Obie miałyśmy klamry z kwiatkami w jaskrawych kolorach przypięte do końskich ogonów - na szczęście. Jeden z tych przypadkowych szczegółów, które rejestruje nasze oko, kiedy rozglądamy się po sali podczas otępiająco nudnego, czterogodzinnego testu na logikę. Wychodząc z sali, wdałyśmy się od niechcienia w rozmowę na temat wspólnych, choćby nawet mylnych, przesądów w zakresie mody. Ta niewymuszona pogawędka doprowadziła nas do głębokiej przyjaźni.

- Jeszcze mi podziękujesz, że cię dziś wyciągnęłam z domu - szepnęła Bea. Żeby zdobyć moją niepodzielną uwagę, złapała mnie tak mocno za łokieć, że zbieleły jej kostki rąk. - Nigdy nie zgadniesz, kto tu dziś jest. Próbuj!

Rozejrzałam się dookoła, ale nie zobaczyłam nikogo, kto zasługiwałby na aż takie podniecenie.

- Pabst blue ribbon - oznajmiła Bea wolno i uroczyście.

Musiałam zrobić oczy jak spodki. - Żartujesz.

- Ja miałabym żartować? Mówię ci, że tu jest. I chyba jeszcze wyprzystojniał od czasu studiów, jeśli to w ogóle możliwe.

Kiwnęła lekko głową w lewo. Obejrzałam się dyskretnie.
Randall Cox.

Stał po drugiej stronie sali. Wprost nie wierzyłam własnym oczom, ale trudno było go z kimś pomylić. Wysoki, szczupły, sylwetka wioślarza, kasztanowe pukle i przenikliwe błękitne oczy tchnące absolutną pewnością siebie.

- Łap mnie, jeśli zemdleję - poleciłam Bei, nie do końca żartem.

Garść faktów: Randall Cox był w najszerszym kręgu znajomych osób najbardziej pożądaną partią. Chodzący ideał. Na pierwszym roku spacerowałam z Beą wolniutko pod oknami znajdującego się poza kampusem domu, w którym mieszkał Randall, w nadziei, że mignie nam chociaż przez chwilę. Na ostatnim roku był dosłownie ikoną Princeton. I chodził z równie olśniewającą dziewczyną.

W drugim semestrze stworzyłam razem z Beą bardzo skomplikowaną, tajną siatkę szpiegowską, która donosiła nam, kiedy Randall zjawiał się w miejscach publicznych, na przyjęciach albo w miejscowych barach. Zajmowałyśmy wówczas odpowiednie miejsca z nadzieją, że piorun uderzy w jednym tygodniu dwa razy. Gdyby nam się jednak poszczęściło, udawałybyśmy, że go nie widzimy - bo tak wyglądają nad wyraz dojrzałe rytuały godowe osiemnastolatek.

Kiedyś Bea zauważyła Randalla wychodzącego z Gmachu McCosha i udała, że fotografuje mnie przed budynkiem. Zdjęcie oprawione w ramkę, przedstawiające nieco zamazaną sylwetkę Randalla w tle, przez wiele lat stało na kominku w naszym pokoju w akademiku.

Innymi słowy, polowałyśmy na niego, nie szczędząc sił.

- Musisz z nim porozmawiać - powiedziała Bea, mrużąc oczy, żeby sprawdzić, czy nie utkwiła mi między zębami

odrobina jedzenia. - Po prostu musisz, bo już nigdy się do ciebie nie odezwę.

Harry uniósł brwi i roztropnie uznał, że najlepiej zrobi, jeśli oddali się w stronę baru.

* * *

Deja vu. Dwa tygodnie przed uroczystością odebrania dyplomu Randalla (nie muszę chyba dodawać, że nad wyraz traumatycznym wydarzeniem w naszym krótkim życiu) wypatrzyłyśmy go przez okno Anneksu, miejscowego klubu uczelnianego. Z bijącymi sercami wyczyściłyśmy nasze mizerne studenckie konta, żeby przekupić bramkarza.

- To nasza ostatnia szansa - poinstruowała mnie Bea, kiedy szłyśmy do baru, przy którym Randall czekał na kolejny dzban piwa. Nasza miłość stała się już właściwie tylko moją miłością, bo Bea zaczęła powoli przyjmować awanse Harry'ego, który od roku nie przestawał się do niej zalecać.

Stałyśmy przy barze tyłem do Randalla, siliłyśmy się na nonszalancję, a jednocześnie obmyślałyśmy gorączkowo plan, jakiś fortel, żeby go zaczepić. Powiedzieć zwyczajnie „cześć”? Banał. Nie mogę zachowywać się jak siksa, skoro rozpoczynam rozmowę z greckim bogiem.

Po dwudziestu sekundach niezręcznego wahania Bea wykonała niewyobrażalny manewr. Udając, że poślizgnęła się na wystającej klepce, uderzyła mnie mocno prawym ramieniem, a tym samym pchnęła do tyłu. Wpadłam wprost w objęcia Randalla, który przytrzymał mnie silnymi rękami, i przez jedną uroczą, niezapomnianą chwilę czułam jego prężny tors wtulony w moje plecy.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam rozbawienie w oczach Randalla. Ścierpłam. Oniemiałam. Nie mogłam się ruszyć ani złapać tchu. Uśmiechnął się, muszę przyznać, serdecznie, zwłaszcza że przeze mnie jego świeżo dolane piwo trysnęło mu na koszulkę rugby.

- Mogę ci postawić następne piwo - zaproponowałam, wstrząśnięta i dumna, że odważyłam się otworzyć w jego obecności usta

- No, nie wiem. A możesz? - zapytał, obracając w palcach laminowany identyfikator, który trzymałam w ręku. Uśmiech na jego twarzy wydał mi się tak samo fałszywy jak mój identyfikator. Dziewczyna na zdjęciu miała długie proste lniane blond włosy i piegi. A ja mam oliwkową cerę po ojcu i jasnopiwe oczy, a poza tym, podobnie jak większość moich rówieśniczek w tamtych czasach, ciemne włosy miałam ostrzyżone jak Jennifer Aniston w serialu Przyjaciele. Zamiast piegów na mojej twarzy i na dekolcie wykwitł niezwykle ponętny ognisty rumieniec.

Wytrzeszczyłam oczy na Randalla. Kompletnie odjęło mi mowę... raptem nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa.

- Ej, nie przejmuj się tak - pocieszył mnie w końcu Randall, bo widocznie zrozumiał, że straciłam rezon po pierwszym zdaniu. Poprosił barmana, żeby mu dolał do pełna, a dla mnie zamówił niszowe piwo pabst blue ribbon. Wydukałam podziękowanie, ale on już pożegnał się skinieniem głowy i podszedł do kolegów przy stole bilardowym obok.

Niewątpliwie była to najbardziej emocjonująca chwila w moim osiemnastoletnim życiu. Poczułam zawrót głowy, uniesienie... i takie otumanienie, że nie mogłam się zmusić do skorzystania z niezbyt rozwiniętego we mnie daru konwersacji. Kiedy skończyłam się już delektować ostatnią kroplą piwa, które postawił mi Randall (pustą butelkę przemyciłam - a jakże! - na pamiątkę w torebce), wróciłam jak we śnie z Beą do akademika, gdzie padłam na jej materac, żeby przeanalizować całe wydarzenie.

- Chyba naprawdę wpadłaś mu w oko - szepnęła przed zaśnięciem, co jeszcze bardziej umocniło naszą przyjaźń.

Po kilku tygodniach, kiedy odwiedziłam mamę w Iowa, zrelacjonowałam jej przy kuchennym stole całe wydarzenie z najdrobniejszymi szczegółami.

- Randall Cox? - upewniła się niewinnie.

Po czym opowiedziała mi o swojej studenckiej przyjaźni z jego matką, Lucille, co idealnie pozwoliłoby mi zagaić rozmowę. Jaka szkoda, że nie wspomniałam mamie wcześniej o swoim obiekcje westchnień!

Historia mogła potoczyć się inaczej. Mogłam uniknąć serii nieudanych związków i zawodów miłosnych, które musiałam przeżyć koło dwudziestki. Mogłam w wieku osiemnastu lat rozpocząć etap życia, który znamy pod szyldem „I żyli razem długo i szczęśliwie”.

* * *

W każdym razie trafiła mi się druga szansa, na którą czekałam bite dziesięć lat. Czyż z wstydlivej nastolatki nie wyrosłam na pewną siebie, elokwentną kobietę? Jasne, pomyślałam, oczywiście, że z nim porozmawiam...

Nadal dodawałam sobie otuchy w myślach, kiedy zobaczyłam, jak mojej przyjaciółce zmienia się mina.

- Witajcie - usłyszałam za plecami dźwięczny głos. Obejrzałam się. Za mną stał zniewalająco przystojny Randall i wyciągał rękę. Serce zaczęło walić mi jak młot.

- Randall Cox - przedstawił się. - Chyba studiowaliśmy razem w Princeton.

Beatrice podała mu rękę i też się przedstawiła.

- Claire Truman - powiedziała zaskakująco spokojnym tonem, który kompletnie różnił się od wstrząsu, jaki czułam w środku. - Chyba byłeś na ostatnim roku, kiedy myśmy zaczynały.

Pamięć nas zawodzi, sugerował mój ton głosu. Bo Randall nie mógł przecież wiedzieć, że trzymałam jak skarb pustą butelkę po płynie czyszczącym, którego używał przez trzy

tygodnie. Ani że do dzisiaj pamiętam kolor zasłon w jego oknach widocznych z dworu. Że znam rozmiar jego buta. I że w dziesięć minut znalazłabym tamto jego nieostre zdjęcie przed Gmachem McCosha.

- Zgadza się. Obie bardzo wydorosłałyście - powiedział Randall, nie odrywając ode mnie wzroku. O raju! Wszystko dzięki tej sukni. Mężczyźni na ogół wlepiają gały w Beatrice, a dopiero ona musi odsyłać ich do mnie. Już nigdy nie zdejmę tej sukni... chyba że poprosi mnie o to Randall.

- Idę po coś do picia - powiedziała Bea, puszczając do mnie oko. - Może wam też coś przynieść?

- Dziękuję, nie trzeba - powiedzieliśmy z Randallem jednocześnie. I roześmialiśmy się. Mówimy jednym głosem? Kurczę, para gołębiczek!

Kiedy Bea odeszła, Randall i ja przeszliśmy gładko do dwóch żelaznych tematów na nowojorskich koktajlach - gdzie mieszkamy i gdzie pracujemy. Nawet niezobowiązująca rozmowa z Randallem przykuwała moją uwagę, a może elektryzowała mnie sama możliwość patrzenia na niego z tak bliska, bo stałam metr od mojego ideału.

- Po magisterce na studiach menedżerskich wróciłem do Goldmana - opowiedział mi, wysłuchawszy mojego dużo mniej imponującego życiorysu - i zamieszkałem w centrum, na rogu Fifth Avenue i Eighty - second Street.

- Obok Metropolitan Museum?

Randall uśmiechnął się skromnie.

- Mój taras wychodzi na Met. Szkoda, że tak rzadko bywam w domu, żeby się nim nacieszyć, bo ostatnio muszę się zadowolić widokiem z okien gabinetu.

Pal diabli idiotyczne nieruchomości! Moje myśli rozpałało najważniejsze, jeszcze niezadane pytanie. Czy wciąż jest kawalerem? Czy to możliwe, żeby tak olśniewający

mężczyzna pozostał niezwiązany z nikim zarówno na papierze, jak i w rzeczywistości?

Niemożliwe, od razu sobie odpowiedziałam. Na pewno gdzieś w kularach czai się sobowtór Milly Simms.

Nie chciałam jednak pytać wprost, dlatego wybrałam okrężną drogę.

- Czy nie chodziłeś na studiach z Alexandrą Dixon? - zapytałam.

Alexandra miała etykietkę femme fatale.

- Owszem. Pogratulować pamięci. Znałaś Alex?

- Miałyśmy kilkoro wspólnych zajęć na anglistyce. Bardzo sympatyczna dziewczyna.

No dobrze, odrobinę mijałam się z prawdą, bo miałyśmy tylko jedno zajęcia razem, przy czym Alex Dixon ani razu na mnie nie spojrzała. Nie miałam żadnych wiarygodnych dowodów na to, że jest sympatyczna - mogłam jedynie zaświadczyć, że jest olśniewającą, błyskotliwą pozerką i poliglotką. Klnę się na wieżę Babel, że nigdy nie słyszałam, żeby odezwała się dwa razy w jednym języku. Ponieważ nie za bardzo chciałam przypominać Randallowi jej zalety, przywołałam nie wiadomo skąd bardziej banalny epitet. Sympatyczna.

- Świetnie sobie radzi. Przez rok pracowała jako modelka w Mediolanie, a potem wróciła do Stanów, żeby studiować medycynę. A teraz jest neurochirurgiem, uwierzysz?

Jasne, że wierzyłam.

- Coś podobnego! - zawołałam bez przekonania. - Chyba niewiele modelek stać na taką przemianę. Utrzymujesz z nią nadal kontakt?

- Niestety nie. I to już od wielu lat. Alex mieszka teraz w Chicago z mężem i dwójką dzieci. Szaleństwo, nie uważasz?

- Z dwójką dzieci? - powtórzyłam i od razu poprawił mi się humor. Przynajmniej jego eksdziewczyna, dawniej modelka, obecnie neurochirurg, najwyraźniej wypadła z gry.

- A ty? - zapytał, świdrując mnie wzrokiem. - Masz męża? Dzieci?

- Jeszcze nie. - Mówiąc te słowa, czułam, że się rumienię.
- Za bardzo się skupiałam na pracy.

- Rozumiem. - Randall spojrział na mnie jeszcze raz w taki sposób, że kolana się pode mną ugięły. - Ja w zeszłym roku zakończyłem długotrwały związek. Spotykałem się ze wspaniałą dziewczyną, ale nie wyobrażałem sobie z nią ślubu. Nie byłoby fair jej zwodzić.

Serce dosłownie mi zatrzepotało z powodu nieszczęścia tej biednej dziewczyny.

- O, ty na pewno masz powodzenie.

- Zdziwiłabyś się, ale taką kobietę jak ty jest trudniej spotkać, niż ci się zdaje - odpowiedział. - No wiesz... mądrą, niezależną, a przy tym piękną?

Czyżbym właśnie dostała potrójną koronę komplementów od Randalla Coksa? Mądra? Niezależna? Piękna? Czy to się dzieje naprawdę?

- Wiem, że przyjęcie dopiero się rozkręca, ale może skoczmy na prawdziwą kolację? Bo te kulki serowe jakoś nie bardzo mi pasują.

Tylko spokój. Zachowaj dystans. Nie panikuj.

- Chętnie - szepnęłam.

Uśmiechnął się. Zaraz potem ruszyliśmy do drzwi. Randall obejmował mnie silną ręką w pasie. Pomachałam Bei przez ramię, a ona dyskretnie pokazała mi kciukiem - powodzenia!

* * *

- Chyba za dużo mówię o pracy, bo tak milczysz - przeprosił mnie Randall, dolewając wina.

Przyznam, że było to nieziemskie przeżycie, bo znalazłam się na randce z moją największą miłością w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Można to porównać jedynie do kolacji z megagwiazdą, kiedy musiałabym wdziękiem pokryć szok spowodowany taką bliskością z twarzą widywaną na billboardach, ekranach filmowych i w programie Prawdziwe hollywoodzkie historie na kanale E! Przez tyle lat twarz Randalla grała główną rolę w moich marzeniach, tylko przelotnie zastępowana przez mniej płomienne miłości, nigdy jednak nie została strącona z piedestału. Nic więc dziwnego, że ciarki chodziły mi po plecach, kiedy siedziałam naprzeciwko niego przy oświetlonym świecą stoliku w Il Cantinori, lokalu zawsze modnym na romantyczne randki, na który Harry mówił Il Kant - tej - nory.

- Ależ skąd - zaproponowałam. - Niesamowite, jak dużo osiągnęłaś w tak krótkim czasie.

Nie ulegało wątpliwości, nawet jeżeli mój komplement brzmiał jakby grubymi nićmi szyty, że Randall miał imponujący życiorys jak na tak młodego człowieka. Zrobiwszy menedżerski dyplom magisterski na Harvardzie, został najmłodszym dyrektorem w dziejach Goldmana Sachsa - banku inwestycyjnego, w którym z całą pewnością nie zatrudniano mało ambitnych nieudaczników. W dodatku w klimacie absolutnie niesprzyjającym gospodarce.

- Lubię wyzwania - oznajmił skromnie. Zadzwoń na jego komórka Black Berry, spojrzał na wyświetlacz. - Przepraszam cię, Claire, to znów Greg. Mają w biurze urwanie głowy. Muszę to szybko załatwić.

Odkąd wyszliśmy z galerii, Greg dzwonił trzy razy. Spojrzałam na zegarek. Była za kwadrans jedenasta. Czy Randall kiedykolwiek przestaje pracować? Biedaczysko! Chociaż często dokuczałam Bei, że miele ozorem przez telefon, kiedy spędzałyśmy czas razem, teraz odczekałam

cierpliwie, aż Randall wyda swojemu współpracownikowi serię niezrozumiałych poleceń.

Przyznam, że nawet zaimponowała mi jego etyka pracy, zwłaszcza że mógł przecież iść przez życie, nie kiwnąwszy palcem. Wiedziałam od mamy, że Coxowie mają fortunę, toteż gdyby Randall miał taki kaprys, mógłby wybrać znacznie mniej ambitną karierę - chociażby zostać kolekcjonerem starożytnych kompasów lub bezrobotnym aktorem. Tymczasem poddał się wszystkim rygorom i wymogom szybkiej ścieżki kariery. Doskonale to o nim świadczyło.

- O czym to mówiliśmy? - zapytał po chwili, kiedy już zażegnał kryzys. - Opowiedz mi o swojej pracy. Jakie książki redagujesz?

- Podejrzewam, że niedługo to się zmieni. Jackson Mayville, mój szef odkąd podjęłam po studiach pracę, właśnie oznajmił, że idzie na emeryturę, i trudno przewidzieć, jak jego odejście wpłynie na moją sytuację w Peters and Pomfret.

- Znam Jacksona. Jest członkiem Klubu Tenisowego. Miły gość. Chociaż fatalnie gra w squasha, ale jest sympatyczny.

Roześmiałam się, bo nie wyobrażałam sobie, żeby Jackson uprawiał jakąkolwiek dyscyplinę sportu wykraczającą poza zawiązywanie sznurowadeł.

- Jest mistrzem. Wiele się od niego nauczyłam. Dziś się dowiedziałam, że odchodzi na emeryturę. Ta wiadomość mnie przybiła, chociaż miło słyszeć, że więcej czasu poświęci wnukom.

Randall się zamyślił.

- Niewiele mam ostatnio czasu na lektury. Ale właśnie skończyłem czytać książkę wydaną przez Vivian Grant, chociaż nie powinienem się chyba przyznawać, bo uznasz mnie za skończonego kretyna. Bestseller, bodajże z listy „New

York Timesa", o zakonnicy, która zrzuciła habit, żeby zostać striptizerką. Taki gorszący tytuł... niech sobie przypomnę. Leży na moim stoliku nocnym, mam przed oczami jej okładkę...

- Naughty Habits! (Naughty Habits - Mniszka czy modliszka.) - spytałam.

Gordon dowcipkował na temat tej książki przed tygodniem podczas kolegium redakcyjnego. Naughty Habits od półtora miesiąca nie schodzi z listy bestsellerów „Timesa”, co mnie dość przygnębiało. I Randall gustuje w takich książkach?

- O, właśnie, Naughty Habits. - Przekrzywił głowę, pukiel włosów spadł mu na czoło. - Wiem, że to literatura nie najwyższych lotów. Może nawet nie zalicza się do literatury. - I spojrzał na mnie z zawstydzonym uśmiechem. - Właśnie przekreśliłem swoje szanse na drugą randkę, tak?

- Jasne, że nie - odparłam z bijącym sercem. Kto by się przejmował jego brakiem wyczucia literackiego? Po tak ciężkiej pracy chyba Randall naprawdę nie miał ochoty zasiadać wieczorem do książki, która wymagałaby choć odrobiny wysiłku.

- Wiesz, kilka razy spotkałem Vivian Grant - ciągnął. - Przyjaźni się z moim tatą. Jest nie w ciemną bita. Zawsze szuka dobrych redaktorów. Chętnie do niej zadzwonię i cię polecę, gdybyś miała ochotę na zmianę. Na pewno spotkanie z nią ci nie zaszkodzi.

Spotkanie z Vivian Grant?

Grant, która święciła triumfy, uchodziła też powszechnie za najbardziej porywczą, a przy tym bezwzględną osobę w branży. Na dźwięk jej nazwiska robiono dziwne miny. Była związana z większą oficyną wydawniczą, Mather - Hollinger, a nazwiska i fortuny dorobiła się, wydając inspirowane brukowcami szlagiery i prymitywne hity rynkowe, nie

unikając takich autorów jak małaletnia królowa porno Mindi Murray, obrzydliwy seryjny zabójca, który przez cały rok siał postrach w Chicago, czy zajadli szczekacze z najbardziej skrajnych frakcji politycznego spektrum.

Trzeba przyznać, że poza dziełami tych osławionych, miernych pisarzy wydawała bardzo mądre, wartościowe książki. Stała również za publikacją wybitnych powieści, zapewniając tym samym niebotyczny sukces i sławę nieznanym wcześniej autorom. Czytałam wywiad, w którym nie bez racji ubolewała, że nigdy nie przypisywano jej zasług, kiedy opublikowała naprawdę wartościową książkę, a chętnie kojarzono jej nazwisko wyłącznie z co bardziej gorszącymi tytułami.

Lubiana bądź nielubiana, z całą pewnością była powszechnie uznawana za jedną z najciekawszych postaci w branży, które osiągnęły jeden z najbardziej spektakularnych sukcesów. Miałabym więc spotkać się z kobietą, która sama zbudowała tak ogromne imperium wydawnicze? Nie mogłam przepuścić takiej okazji, niezależnie od tego, czy chciałam pracować w Grant Books.

- Dziękuję, Randall, jesteś bardzo miły - odpowiedziałam. Ależ on jest kochany, że tak się zainteresował moją pracą.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wstukał sobie przypomnienie do telefonu.

Podano torcik czekoladowy, prezent od właściciela restauracji. Tak się odprężyłam, że zjadłam ze smakiem. Kiedy wbiłam do środka widelczyk, czekolada spłynęła po nim jak lawa.

- Nie przełknąłbym już ani kęsa - powiedział Randall z uśmiechem. Oparł się w krzesło, poklepał po twardym jak kamień brzuchu. Odłożyłam widelczyk. Zapewne przywykł do randek z modelkami, które uważają suszone glony za suty posiłek (po czym spędzają dwie godziny w siłowni na bieżni,

żeby go spalić). Chociaż torcik czekoladowy wyglądał smakowicie, nie musiałam pokazywać, przynajmniej na pierwszej randce, jaki ze mnie prosiak.

- Tak się cieszę, że spotkałem cię na tym przyjęciu.

Randall położył delikatnie swoją rękę na mojej.

Dyskretnie uszczypnęłam się w udo. Naprawdę trzy godziny wcześniej płakałam za Jamesem? A teraz patrzyłam w oczy najwspanialszemu mężczyźnie, jakiego poznałam?

- Za stare znajomości i nowe początki - powiedział, wznosząc kieliszek.

Trąciłam się z nim delikatnie. Moje życie nabrało rumieńców.

ROZDZIAŁ DRUGI WIELKIE NADZIEJE

- Jesteś dziś od rana wesoła jak szczygiełek! - zauważyła Mara, moja przyjaciółka i, tak samo jak ja, młodsza redaktorka, z którą siedziałam w jednym boksie.

- Bo wczoraj spędziłam cudowny wieczór.

Mara Mendelson i ja dzieliłyśmy się najpiquantniejszymi szczegółami dotyczącymi naszego życia miłosnego, które wstydziłybyśmy się powierzyć pamiętnikowi. Randka z Randallem nie nabierze realności, dopóki nie wrzucę jej na twardego dysk w głowie Mary.

- Właśnie widzę, bo masz taką głupią minę. Chyba nie zesłałeś się znów z Jamesem, co?

- Przecież mówię wyraźnie, że wieczór był cudowny, a nie kretyński. To ktoś nowy. Właściwie to moja dawna platoniczna miłość. Ma na imię Randall i...

- Randall? Chyba nie powiesz mi, że to ten przystojniak z twojej uczelni? Ten, który wygląda jak Patrick Dempsey? Randall od piwa pabst blue ribbon? Półbóg, którego mama chodziła z twoją do Vassar?

- Oj, dobrze - mruknęłam, zażenowana. - Wspominałam o nim wcześniej?

- Wciąż masz to jego niewyraźne zdjęcie? - spytała Mara ze śmiechem.

Najlepszy dowód, że kiedyś zgubi mnie nadmierne gadulstwo. Oczywiście, że łączyła nas zażyłość, ale jak mogłam upaść tak nisko, żeby zwierzać jej się ze szczegółami z młodszej miłości, która nigdy się nie spełniła.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Usiadła wygodniej w fotelu bujanym, żeby wysłuchać relacji. Zaczęła kręcić płomiennorudy loczek na palcu.

Przez ostatnie pięć lat pracowałyśmy jednakowo solidnie, przyjęte w tym samym miesiącu do P and P jako młodsze

redaktorki, wspinające się razem po szczeblach kariery. Zaczęłam zaliczać Marę do najbliższych przyjaciółek. Zawsze pierwsza wiedziała wszystko o naszej firmie i jej graczach, natychmiast zjednywała sobie wszystkich w branży, bo jej cierpki humor, tubalny śmiech i wielkoduszność przyciągały wielką rzeszę znajomych. Dziękowałam szczęśliwym gwiazdom za to, że przyszło nam dzielić boks w pracy, bo nie tylko się zaprzyjaźniliśmy, lecz również codziennie miałam w swoim zasięgu mądre, dojrzałe opinie Mary na temat... właściwie wszystkiego.

- Poczekaj, niech się ogarnę.

Pobiegłam tanecznym krokiem do gabinetu Jacksona za ścianą, żeby podrzucić mu drożdżówkę i kawę, które kupowałam co piątek rano (wyrażając mu w ten sposób wdzięczność za wszystkie zaproszenia do domu na rodzinny obiad). Jeszcze nie zjawił się w pracy.

Klapnęłam znów za biurkiem, włączyłam komputer. Tego dnia miałam zaplanowanych razem z Jacksonem kilka spotkań z przyszłymi autorami, a po południu spotkanie z powieściopisarką, żeby przedstawić jej nasze uwagi na temat rękopisu. Jackson wolał omawiać swoje poprawki redakcyjne osobiście, żeby nie zostawiać żadnych niedopowiedzeń. Reprezentował staroświeckie podejście, może nie najskuteczniejsze, ale ja niezwykle dużo skorzystałam, uczestnicząc w tych dyskusjach. „Masz nową wiadomość”, poinformował mnie Outlook.

Czwartek, 20:23

Do: Claire Truman

(ctruman@petersandpomfret.com)

Od: Courtney Ronald

(cronald@nyagent.com)

Temat: Przepraszam

Witaj, Claire,

wiesz, jak bardzo zależało mi na tym, żebyś pracowała z Nicholasem przy jego następnej powieści. On też bardzo chciałby pracować z Tobą, a wiem, jaki masz emocjonalny stosunek do jego twórczości. Niestety, nie możemy dłużej udawać idiotów i zbywać innych oferentów. Wiem, że zabiegasz o jak najpilniejszą decyzję Gordona, ale redaktor w Random House już się dosłownie urywa, dlatego nie mamy wyjścia. Przyparci do muru, musimy przyjąć jego bardzo korzystną zaliczkę. Mam obowiązek jak najlepiej dbać o interesy klienta, a to oznacza, że muszę brać, co dają. Szkoda, że nie będziemy razem pracowały przy tym tytule, ale mam nadzieję, że wkrótce coś znajdziemy.

Pozdrawiam

C.

Okropne! Włożyłam tyle pracy, żeby pomóc Nicholasowi rozwinąć fabułę. Zrobiło mi się przykro, że ominie mnie frajda doprowadzenia sprawy do końca. Rozumiałam jednak decyzję Courtney. Dostałam aż nadto czasu, żeby przygotować kontrpropozycję, ale niestety nie udało mi się podsunąć tego projektu Gordonowi.

Zadzwoił telefon i od razu - jakkolwiek bezpodstawnie - pomyślałam o Randallu.

- Peters and Pomfret, Claire Truman przy telefonie - przedstawiłam się służbowo.

- Claire?

Dzwonił pan Lew, gospodarz mojej kamienicy w West Village. Cholera! Od razu domyśliłam się, czego chce. Wcześniej już raz zdarzyło mi się, na Boże Narodzenie, że też nie wystarczyło mi pensji na opłacenie wszystkich rachunków.

- Witam, panie Lew - odpowiedziałam smętnie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwonię w sprawie czynszu. Twój ostatni czek okazał się bez pokrycia. Spuśćmy

na to zasłonę milczenia, Claire, ale muszę wiedzieć, kiedy zapłacisz.

Przeprosiłam i obiecałam, że w przyszłym tygodniu podrzucę mu nowy czek. Ależ mnie to upokarza! Już za długo pracuję, żeby musieć liczyć się z każdym groszem. W Iowa starczyłoby mi spokojnie na niezłe życie, ale w Nowym Jorku czynsz za moją klitkę zżerał mi trzy czwarte tego, co dostawałam miesięcznie na rękę.

Najlepiej będzie, jak skupię się na następnym dniu. Dobrze, że mam tyle zajęć. Pierwsze tygodnie lata wlokły mi się niemiłosiernie, już nie mogłam się doczekać, kiedy zacznie się coś dziać. Zadzwoiłam na swoją pocztę głosową, bo nie miałam co robić, zanim mój leciwy komputer raczy się ocknąć... czekały tam na mnie jeszcze dwie wiadomości.

Pierwsza od Jacksona, że tego dnia popracuje w domu, prosi więc, żebym przełożyła spotkania, a sama też mogę wyjść wcześniej. Westchnęłam. Trudno to uznać za normalną reakcję na wiadomość, że dzień potoczy się leniwie i bez wstrząsów, ale nie miałam nastroju na żółwie tempo. Wypełniłam już wszystkie swoje obowiązki, przeczytałam i napisałam recenzje do wszystkich książek, które mi przekazał Jackson. Niewiele mogłam bez niego wskórać - w każdym razie nie wystarczyłoby mi zajęć do końca dnia.

- Jackson nie przyjdzie - poskarżyłam się Marze przez ścianę. Zmarszczyła piegowaty nos współczująco, bo widziała, jak się ostatnio rwę do pracy.

- Claire, mówi Vivian Grant - usłyszałam cierpki kobiecy głos w telefonie. Na dźwięk jej nazwiska aż się wyprostowałam w krześle. - Właśnie rozmawiałam z Randallem Coksem, który polecił mi panią jako obiecującą młodą redaktorę. Przydałby mi się ktoś taki. Pewno śmiertelnie się pani nudzi w P and P? Proszę zadzwonić do mnie do pracy. Ciao.

Wypiłam łyk kawy, mój puls oszalał. Randall nie tracił czasu - musiał zadzwonić do tej kobiety z samego rana!

Ależ on jest niewiarygodnie uczynny! I teraz Vivian Grant chce ze mną rozmawiać?

Mimo niezbyt korzystnej opinii, jaką zdążyłam sobie wyrobić na temat Vivian, niezwykle mi pochlebiał jej telefon. Z pomocą Google'a odświeżyłam sobie pamięć. Dziesięć lat temu Vivian odeszła z Peters and Pomfret i podpisała umowę dystrybucyjną z Mather - Hollinger. Wiele razy zakasowała konkurencję, zwłaszcza czytadłami, z których słynęła, lecz równie dobrze sprzedawała poważne cegły z zakresu polityki, historii i finansów. Po dwóch latach rzucone na kolana kierownictwo Mather - Hollinger zaproponowało Vivian firmowanie własnym nazwiskiem osobnej oficyny, która od tamtej pory rozkwitła mimo spadku sprzedaży w całej branży. Autor artykułu z poprzedniego miesiąca w „Publishers Weekly” uznał Vivian za świętującą największy sukces finansowy spośród wszystkich wydawców - tylko w poprzednim roku udało jej się umieścić piętnaście tytułów na liście bestsellerów „New York Timesa”.

Ta kobieta najwyraźniej znała się na rzeczy. I teraz chciała rozmawiać ze mną?

Zanim zdążyłam wpaść w popłoch, wystukałam jej numer do pracy.

- Grant Books, czym mogę służyć? - wyrecytowała znużonym głosem asystentka.

- Czy mogłabym rozmawiać z panią Vivian Grant? Mara wysunęła głowę znad przepierzenia, uniosła z chytrą miną jedną brew.

- Wolno spytać, kto mówi? - zapytała asystentka.

- Claire Truman. Jestem znajomą...

Usłyszałam trzask słuchawki podnoszonej z drugiej strony.

- Czy mogłaby pani do mnie przyjechać za pół godziny? - spytała Vivian. Z nagranej u mnie w telefonie wiadomości poznałam jej głęboki, nieco chrapliwy głos.

- Jasne, bardzo chętnie, bo ja...

- W takim razie do zobaczenia. I rozłączyła się.

Za pół godziny? Niezwykłe tempo. Na szczęście rano włożyłam kostium, bo na pół dnia miałam z Jacksonem zaplanowane służbowe spotkania.

- Vivian Grant? O co chodzi? - spytała Mara, wyraźnie przejęta.

- Wybacz, ale nie mogę teraz rozmawiać. Opowiem ci wszystko później - rzuciłam, sprawdzając pośpiesznie w komputerze swój życiorys, ostatni raz aktualizowany dwa lata temu, do którego musiałam gorączkowo wprowadzić uzupełnienia. Kilka minut później już go drukowałam. Mara tylko patrzyła szeroko otwartymi oczami.

- Pędzę na spotkanie z Vivian Grant - wyznałam szeptem, mimo że ze względu na porę, wpół do dziesiątej rano, tylko my dwie byłyśmy w pokoju redaktorskim.

- Co?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Mara. Włożyłam kilka egzemplarzy życiorysu do torby i pobiegłam do drzwi.

- Wrócę - obiecałam.

- Nie wyobrażam sobie inaczej! - zawołała za mną. Jak na czerwiec dzień był wyjątkowo chłodny, mimo to czułam, że pot ścieka mi z lewego boku, kiedy biegłam Fifth Avenue, lawirując wśród turystów.

Czekający mnie wywiad nie tylko dawał mi szansę przyspieszenia kariery, lecz również wiązał się z moim życiem osobistym, bo przecież to Randall mnie polecił. Jeżeli zawojuję Vivian, może przedstawi mi ciekawą ofertę pracy, a jemu przekazuje entuzjastyczną relację - upiekłabym więc dwie pieczenie na jednym ogniu. Ale co będzie, jeżeli nawalę? Nie tylko przekreślę sobie potencjalną szansę, lecz również wyjdę

na przegraną w oczach Randalla. Ten ciężar mnie dobijał! Kolejny strumyczek potu ściekł mi z prawego boku.

- Claire Truman do Vivian Grant - przedstawiłam się siwowłosemu strażnikowi za ladą recepcji w holu wydawnictwa Mather - Hollinger z nadzieją, że mówię to pełna profesjonalnej pewności siebie. Na dźwięk nazwiska Vivian poderwał głowę i zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Powodzenia, kochanie.

Kiwnął krzepiąco głową i wręczył mi przepustkę.

Winda była już zatłoczona, kiedy weszłam do środka, dlatego poprosiłam stojącego przy guzikach mężczyznę w szelkach i w muszce, czy mógłby nacisnąć dla mnie jedenastkę. Nagle wszyscy wstrzymali rozmowy i dziwnie na mnie popatrzyli. Czyżbym popełniła nietakt, prosząc o naciśnięcie guzika? Zapamiętałam, żeby na przyszłość nie wyręczać się nikim w windzie.

- Powodzenia - życzył mi pan z muszką, kiedy wysiadłam na jedenastym piętrze. Czyżby domyślił się, że przyszedłam na rozmowę w sprawie pracy? Jakaś kobieta pokiwała smutno głową na mój widok. Ciekawe dlaczego? Bardzo mnie to speszyło. Może przykleił mi się gdzieś papier toaletowy? Albo spódnica podwinęła mi się pod majtki? Obejrzałam się od stóp do głów, ale niczego odbiegającego od normy nie zauważyłam.

Zebrałam się na odwagę, pchnęłam ciężkie, szklane drzwi i weszłam do poczekalni.

- Pani Claire?

Przy drzwiach przywitał mnie chłopaczek o wyglądzie szesnastolatka. Sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie przebudził się ze snu. Włosy miał z jednej strony płaskie, przyklepane, z drugiej nastroszone - jak skrzyżowanie Johnny'ego Rottena z ledwo opierzonym kurczakiem.

- Tak, to ja - powiedziałam z uśmiechem i wyciągnęłam rękę. Podał mi sflaczałą dłoń.

- Milton. Jestem asystentem Vivian - mruknął pod nosem.

- Pani pozwoli za mną.

- Bardzo mi miło - rzuciłam w stronę jego oddalających się pleców.

Milton nie odpowiedział, tylko otworzył drzwi do sali konferencyjnej i wskazał mi pusty fotel.

- Vivian przyjmie panią za kilka minut. Czy podać wody albo coś innego do picia?

- Uprzejmie dziękuję. Ja...

Nie miałam okazji dokończyć, bo Milton już pomknął korytarzem. Odchrząknęłam i położyłam swój życiorys na stole, wyrównując kartki z kaniem blatu. Rzuciłam jeszcze okiem na listę zredagowanych przeze mnie książek, żeby mieć je na świeżo w pamięci podczas rozmowy.

Sala konferencyjna Grant Books była dość nijaka, pominawszy ściany zastawione egzemplarzami bestsellerów w twardej oprawie. Obejrzałam ekspozycję. Vivian wydała sporo naprawdę znakomitych książek, ale też sporo okropnych. Nieprawdopodobny rozrzut. Plotkarski chłam autorstwa spłukanego do cna gwiazdora opery mydlanej, który miał za sobą gorący romans z żoną sławnego potentata europejskiego, a zaraz obok - opasły tom na temat operacji wojskowych w Iraku, który wyszedł spod pióra doradcy do spraw bezpieczeństwa kraju. Rozchwytywana seria książek na temat diety, z entuzjastycznymi cytatami takich wyznawczyń jak Gwyneth Paltrow, która uśmiechała się z okładki, stała na jednej półce z finezyjną, mądrą powieścią adaptowaną na broadwayowski musical. Nieogarniony wzrokiem zestaw literatury kobiecej, eksponowany jak słodczyce w cukierni, utrzymany w majtkowych kolorach. Trzy obsypane nagrodami książki kucharskie, które Marze, specjalizującej się w

publikacjach kulinarnych, służyły za wzorzec oprawy graficznej. Cykl wydawanych naprędce broszur w miękkiej oprawie na temat gwiazd programów reality show podczas ich kilku minut sławy. Na ścianach wisiały książki prezentujące skrajne poglądy polityczne - z jednej strony wielkie tomisko neokonserwatysty Samuela Sloane'a, megahit pisany z pianą na ustach, a z drugiej, dla równowagi, tłum niereformowalnych liberałów.

Jedyny wspólny mianownik owych dziesiątków wystawionych książek stanowiły rekordowe wyniki sprzedaży. Vivian miała dar króla Midasa: czegokolwiek się tknęła, obracała to w złoto.

Dużo mogłabym się od niej nauczyć, pomyślałam.

Wtem spod drzwi dobiegł mnie gwar rozgniewanych głosów. Wyprostowałam się, natężyłam słuch, ale uchwyciłam tylko strzęp „chyba wiesz, do cholery, ty małpoludzie?”. Nastąpiły dalsze krzyki, potem trzaśnięcie drzwiami, aż zadrżała ściana. Speszyła mnie taka niespotykana burda w pracy, spięłam się, ale zaraz drzwi otworzyły się z impetem.

Wkroczyła piękna kobieta, spokojna i opanowana, wykapana Isabella Rossellini, gdyby nie rudoblond włosy i zielone oczy w kształcie migdałów.

- Claire? - zapytała ze zniewalającym uśmiechem i ścisnęła mi zdecydowanie dłoń. - Vivian Grant.

To była Vivian Grant? Chociaż słyszałam wiele plotek o Vivian, żadna nie oddawała sprawiedliwości jej iście gwiazdorskiej urodzie. Wcale nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt lat. Włosy miała upięte w luźny kok, alabastrową cerę. Wrażenie było piorunujące.

Usiadła na krześle u szczytu stołu konferencyjnego.

- Randall wyraża się o tobie bardzo pochlebnie - powiedziała. Jednocześnie sięgnęła po mój życiorys i przejrzała go pobieżnie.

- Tak? Bardzo mi miło.

Chętnie wyciągnęłabym od niej garść szczegółów.

- I co? Marzysz w najbliższym czasie o dzieciach?

Miała na sobie czarny, typowo służbowy garnitur i imponujący szmaragdowy naszyjnik, ale przybrała niedbałą pozę - nogę założyła na fotel obok, rękę przewiesiła na oparciu, palcami drugiej kręciła włosy - bardziej przypominała damę niż poważną wydawczynię. Zupełnie jakbym wybrała się z koleżanką na niedzielny obiad.

- Słucham? - zapytałam elokwentnie, sądząc, że się przesłyszałam.

- Pytam o dzieci - powtórzyła, jak gdyby to było najzwyczajniejsze pytanie na początek rozmowy o pracę. - Tyle moich redaktorek twierdzi, że marzy o dzieciach... czekają, aż trafi się księżę z bajki, czekają, żeby dojść do odpowiedniego etapu w karierze. Jedna z moich redaktorek stuknęło już trzydzieści sześć, zaraz, chyba trzydzieści siedem lat. Jest mężatką, ale czeka Bóg wie na co. Nie mam pojęcia, co ona sobie wyobraża. Stale jej powtarzam, żeby zabrała się do dzieła! Gdybym ja postępowała tak jak ona, nie miałabym synów. Kobiety powinny wcześniej zachodzić w ciążę, najlepiej za młodu. Stajemy, cholera, na głowie, żeby zapobiec ciąży nastolatek, a przyroda tak to zaprogramowała. Powinno się podkuwać dziewczyny w wieku trzynastu lat.

- A ile pani ma dzieci? - spytałam, unikając odpowiedzi na jej pytanie.

- Dwóch synów. Marcus ma dwadzieścia sześć lat i jest fantastyczny. A ile ty masz lat? Powinnaś go poznać. A, prawda, przecież jesteś z Randallem. No właśnie, spotykacie się? Kiedyś bzykałam się z ojcem Randalla. Tak się poznaliśmy. Kiedyś rano wyszłam z sypialni jego rodziców w samej koszuli jego ojca, z uśmiechem na ustach, a tu mały Randall pod okiem niani zajada płatki śniadaniowe. Wracając

do rzeczy, z rozplodowcem numer jeden, ojcem mojego Marcusa, przeżyłam upojną noc w latach siedemdziesiątych. A mój syn Simon ma dwanaście lat. Rozplodowiec numer dwa był zboczonym jebaką, który żadnej nie przepuścił. Popełniłam kardynalny błąd, że za niego wyszłam, i potem przez wiele lat miałam przez niego związane ręce. Ale chłopcy wyrosli mi na wspaniałych facetów, cholera wie, jak to się stało. Otwierałam własne wydawnictwo, kiedy urodził się Simon. W życiu tego nie zapomnę. Miałam spotkanie z Clive'em Aldrichem, bardzo wpływowym dyrektorem macierzystej firmy Mather - Hollinger, i niechętnie spojrzałam na zegarek. Chwała Bogu, przypomniałam sobie, że za godzinę mam umówioną cesarkę! Już wtedy moje asystentki za diabła nie potrafiły mi zorganizować dnia pracy. - Na znak skrajnej desperacji przewróciła oczami. - Dwie godziny później już czytałam nadesłane teksty i odbierałam telefony. Morfina - szmorfina. Wcale nie zwolniłam tempa, skarbie. Wróciłam do roboty! Nie miałam ani jednej pieluchy, nie miałam dzieciennego łóżeczka. Przez pierwsze cztery miesiące Simon spał w śpiworze. - Vivian uśmiechnęła się nostalgicznie na to wspomnienie. - To był pierwszy rok, w którym dochrapaliśmy się dwucyfrowej liczby wydanych bestsellerów.

Czułam się, jakbym wpadła do króliczej nory. Krótki monolog, który ćwiczyłam w myślach, idąc na rozmowę - o powodach swojej miłości do branży wydawniczej, o tym, czego nauczyłam się przez ostatnie pięć lat i dlaczego tak bardzo chciałabym pracować u kogoś takiego jak Vivian - teraz wydał mi się infantylny, nudny, naiwny, a ponadto... chyba zbyt rzeczowy jak na prowadzoną przez nas rozmowę.

Na szczęście Vivian nie oczekiwała ode mnie zabierania głosu w trakcie rozmowy. Ciągnęła swoje.

- Czyli co? Marzysz o tym, żeby dać nogę z P and P? Co sądzisz o swojej firmie?

Odczekałam chwilę. Chyba Vivian najchętniej usłyszałaby, jak mieszam swojego obecnego pracodawcę z błotem, bo wtedy czułaby, że nadajemy na tych samych falach, ale nie chciałam kłamać. Tym bardziej że po pierwszych pięciu minutach rozmowy uznałam, że wcale nie zależy mi na tej pracy.

- Dużo się nauczyłam - zaczęłam swój wywód. - Zdobyłam dużo ciekawych książek, chociaż chciałabym znacznie więcej. A ludzie są...

- O Boże, ludzie - jęknęła, rzucając mi konspiracyjne spojrzenie, jak gdyby chciała dokończyć zdanie za mnie. - Tam pracują same żywe trupy. Gdyby ten pieprzony Gordon Haas miał tyle intuicji, ile ja mam w małym palcu, to drukowałby pieniądze. Szczerze nienawidziłam tam pracować. Zaznałam molestowania seksualnego nie od jednego, nie od dwóch, lecz od czterech kolegów. Codziennie rano, idąc do pracy, spodziewałam się gwałtu zbiorowego. Masz pojęcie? To jeden wielki pierdolnik. I nikt tam nie kuma nowych trendów w przemyśle wydawniczym. Nadal sprzedają książki ludziom z wyżu demograficznego, te same stare gnioty. Nudy na pudy.

Nie wiedziałam, do której części jej monologu powinnam się ustosunkować... ani jak. Naprawdę molestowało ją tylu facetów? Nie wyobrażałam sobie, kto...

- Opanowałaś edycję wierszową na komputerze? - spytała, zmieniając temat.

Po raz pierwszy od wejścia do sali konferencyjnej odetchnęłam. W końcu zadała mi pytanie związane z pracą.

- Chyba nieźle. Zredagowałam wszystkie tytuły Jacksona, a także wiele...

- To świetnie. Bo będziesz tu miała sporo redagowania na komputerze. Szukam kogoś, kto przejmie inicjatywę, ściągnie do nas mnóstwo książek i potrafi utrzymać się przy piłce. Jesteś ambitna?

- Tak, bo...

- Świetnie. Właśnie kogoś takiego szukam. Osoby z wielką pasją, z prawdziwą smykałką do pracy. Między nami mówiąc, wśród mojego personelu ze świecą szukać takiej osoby. Może czasem Lulu wykazuje iskrę. Chociaż i ona ma, wierz mi, mnóstwo wad, ale poza nią muszę wszystkich prowadzić za rączkę. Nikt tu nie ma intuicji, nikt nie wykazuje inicjatywy! Muszę znaleźć, do jasnej cholery, kogoś, kto ma nosa do tego, co chwyci, a co nie! Rozumiesz? Skinęłam głową, nawet nie próbując jej się przeciwstawić.

- Jakie książki chciałabyś redagować? - spytała. Powiedziałam jej, że w P and P zajmuję się prozą literacką, głównie dlatego, że dostałam taki przydział od Jacksona, ale różnorodność Grant Books mi odpowiada. Bo to była prawda. Ale kiedy zaczęłam mówić, Vivian jakby odpłynęła, jej oczy zaszyły mgłą. W mniej niż dziesięć sekund straciła całe zainteresowanie mną. Przerwałam. Na szczęście w tej ciszy znów się ożywiła.

- Zgadza się - powiedziała, kiwając skwapliwie głową. - Rzeczywiście robię coś, czego nikt inny nie robi. Bo nie może. No to kiedy zaczynasz?

Zamrugałam oczami.

- Czy pani mi proponuje pracę?

- Przecież to jasne! Ile zarabiasz w P and P? Powiedziałam. Liczba wyrażona w tysiącach rocznie była zbliżona do mojego wieku.

- Żenada. Dam ci trzy razy tyle i etat redaktora. Będziesz u mnie prowadziła dużo książek, ale praca jest fascynująca i narzuca tempo. Odpowiada ci to?

Obiecałam, że się zastanowię i wkrótce dam znać. Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Mam nadzieję, że się zgodzisz - powiedziała, wstając. - Przydałaby mi się taka osoba jak ty. Inteligentna, ambitna, gotowa podbić świat.

Zastanowiło mnie nawet, jak zdążyła sobie wyrobić o mnie tak dobrą opinię zaledwie po trzech zdaniach, które wypowiedziałam podczas rozmowy, ale postanowiłam to przyjąć za komplement. Kręciło mi się w głowie, kiedy Vivian uścisnęła mi rękę na pożegnanie i znikła w korytarzu. Ponownie zjawił się zapracowany Milton, który nadal patrzył okiem spode łba, ale miał jeszcze bardziej strapioną minę. Odprowadził mnie do recepcji.

Sporo mam do przemyślenia, zastanawiałam się, kiedy zamknęły się za mną złote drzwi windy i zjeżdżałam na parter.

Po powrocie Mara przyjęła mnie tajemniczym uśmiechem.

- Masz wielbiciela - zaszczebotała.

Spojrzałam na biurko. Dosłownie zginęło pod ogromnym bukietem różowych peonii. Podbiegłam, przeczytałam liścik: „Nie mogę się doczekać spotkania z Tobą. Mam nadzieję, że dobrze Ci dziś poszło z Vivian - R.”.

Uszczypnęłam się. Auć!... Widocznie w to samo miejsce uszczypnęłam się poprzedniego wieczoru.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć! - zapiszczała Mara. - Chodźmy na obiad. Gadaj, co doprowadziło do tych kwiatów. I do Vivian Grant! Naprawdę chciałabyś pracować dla tej strasznej baby?

- To może skoczmy na sushi? Ja stawiam. Tylko ściszy głos - poprosiłam, chociaż nasz pokój i tak przypominał miasto widmo. Chyba więcej osób postanowiło, tak samo jak Jackson, darować sobie przyjście do redakcji w letni piątek i wybrało pracę w domu.

W drodze do restauracji ulicę dalej z narastającymi emocjami przekazałam Marze najnowsze wieści. Kiedy usiadłyśmy na wielkiej czerwonej kanapie w łoży Hana Sushi, ledwo się powstrzymałam, żeby nie unieść pięści do góry w geście zwycięstwa. W końcu praca i miłość trafiły na właściwe tory! Po dziesięciu latach fantazji do mojego życia zawitał wymarzony mężczyzna, a poza tym wreszcie miałam zostać redaktorką! Może i Vivian jest ekscentryczna, ale da mi wolną rękę w wyborze pozycji, które tak bardzo chciałam redagować. Nauczy mnie podejścia do książek ze swoim geniuszem w dziedzinie marketingu i skutecznej promocji tytułów na zapchanym rynku. Pod jej egidą rozwinę skrzydła! I wreszcie przestanę się martwić o rachunki. Pan Lew się ucieszy.

Innymi słowy, trudno o bardziej szczęśliwy dzień.

- Chcesz znać moje zdanie? - spytała Mara, kiedy zaczęłyśmy jeść edamame.

- Dawaj.

- Claire, wiem, że kuszą cię duże pieniądze i stanowisko, ale ta cała Grant to straszna wiedźma. Znam dziewczynę, która pracowała u niej przez półtora miesiąca, a przedtem przez cztery lata w Little, Brown. Przeżyła taki stres z powodu napadów furii Vivian, że wyprowadziła się do Wyoming, gdzie zaczęła robić makramy, a na karierę wydawniczą machnęła ręką. Inna znajoma mojej koleżanki po odejściu co tydzień chodziła na podwójne sesje terapeutyczne i do tej pory się nie pozbierała. Od stresu nabawiła się okropnej wysypki. - Mara aż wzdrygnęła się na samo wspomnienie. - Nie chcę obrzydzać ci jedzenia. Poza tym Vivian jest brutalna. Nikt nie chce u niej pracować. Ta kobieta szuka początkujących, łatwych do zbajerowania młodych redaktorów i zawala ich robotą, nie oferując żadnej pomocy. Po kilku miesiącach

wszyscy się wypalają. Wcale nie szuka doświadczonych, starszych redaktorów, bo nikt taki nie wytrzymałby jej reżimu.

Wzdrygnęłam się, ugodziła mnie w samo serce. Nagle odechciało mi się tańca zwycięstwa. Czyżby Mara chciała przez to powiedzieć, że Vivian wcale nie zaproponowała mi tej pracy ze względu na moje ogromne możliwości, ale dlatego, że nikogo nie mogła znaleźć?

- Nie zrozum mnie źle - zaczęła się wycofywać Mara, pojmując, jak bardzo mnie zraniła. - Na pewno zorientowała się, że jesteś wschodzącą gwiazdą. Zresztą kto wie, może dużo się nauczysz, kiedy cię wrzuci na głęboką wodę bez kapoka. Ale nie znam nikogo, kto wyszedłby cało z pracy u niej. Bardzo nie chciałabym, żeby ciebie też to spotkało.

Shumai z krewetkami zjadłyśmy w milczeniu, bo roztrząsałam w głowie wszystkie możliwości. Rozważałam słowa Mary. A jeżeli Vivian rzeczywiście szuka wołu roboczego? Może entuzjazm do pracy przekłada nad doświadczenie. Jeżeli nawet wypalę się trochę w Grant Books, zaczęłam rachować w duchu, to na pewno wytrzymam tam przynajmniej rok, a zyskam dobrą pozycję w życiorysie i poszerzę listę osiągnięć.

Rok ciężkiej harówki w zamian za przełom w życiu zawodowym. Rozpatrzyłam wszystkie za i przeciw, po czym uznałam, że mi się opłaca.

- Ale dajmy już spokój pracy! - zawołała Mara. - Błagam, na miłość boską, opowiadaj, dlaczego Randall Cox przysyła ci kwiaty!

Opowiedziałam jej pokrótce, jak wyglądał mój wieczór, zakończony idealnym pocałunkiem na dobranoc w limuzynie Randalla, którą odwiózł mnie do domu. Pocałunek był w sam raz - nie za suchy i nie za wilgotny, nie za długi i nie za krótki. Cudem znalazłam w sobie siłę, żeby się od niego oderwać. Ja,

Claire Truman, odepchnęłam Randalla Coksa, który pragnął więcej.

Mara patrzyła na mnie ze zdumieniem, delektując się każdym moim słowem.

* * *

Po obiedzie, po pracy, dojechałam metrem na Christopher Street, a stamtąd poszłam do domu. Od pięciu lat mieszkałam w tej samej kawalerce. I chociaż na mojej ulicy roiło się od stręczycieli i nie brakowało perwersyjnych sex shopów, czułam się tam jak u siebie w domu.

Wyjęłam wizytówkę, którą dostałam poprzedniego dnia od Randalla, wzięłam głęboki oddech. Przecież nie mam już osiemnastu lat, przypominałam sobie, usiłując opanować drżączkę. Nie powinnam się tak denerwować głupim telefonem do chłopaka. Jeszcze jeden głęboki oddech, wykręciłam numer.

- Tu gabinet Randalla Coksa.

- Dzień dobry. Czy zastałam Randalla? Mówi jego znajoma, Claire.

- Przykro mi, ale jest na spotkaniu. Z tej strony Deirdre, sekretarka Randalla. - Sądząc z głosu, na szczęście była w średnim wieku, a przy tym nader profesjonalna. - Dobrze się składa, bo Randall prosił, żebym do pani zadzwoniła. Miałam się dowiedzieć, czy zechce się pani z nim umówić w poniedziałek wieczorem na kolację. Niestety, cały weekend ma zajęty, bo wyjeżdża w sprawach służbowych. Dopiero potem może się z panią zobaczyć. Czy jest pani wolna?

- Czy jestem wolna? Tak, mogę się z nim spotkać w poniedziałek.

Czułam się dziwnie, bo nigdy przedtem nie umawiałam się na randkę przez sekretarkę. Ale też nie spotykałam się z nikim tak ważnym jak Randall.

- Doskonale. Randall wyraził nadzieję, że spotkacie się w Bouley o wpół do dziewiątej wieczorem.

- Bardzo chętnie.

- Doskonale. A dostała pani od niego kwiaty?

- Owszem, właśnie dlatego dzwonię. Chciałam podziękować Randallowi za kontakt z Vivian Grant i za śliczne peonie. Są naprawdę...

- Doskonale - przerwała mi Deirdre. - Przekażę Randallowi, że pani dzwoniła, skarbie, i proszę pamiętać o umówionym spotkaniu: poniedziałek o wpół do dziewiątej.

- Doskonale - potwierdziłam jak echo. Tfu! Może ten ubogi w słowa język Deirdre jest zaraźliwy?

Otworzyłam drzwi do mieszkania, rzuciłam torbę na podłogę, weszłam dalej i osunęłam się na kanapę jak nimfy w filmach z lat czterdziestych.

Jak to dobrze, że mam wolne popołudnie. Bo tyle muszę przemyśleć. Tyle przetrwać. Rozważyć wielkie decyzje. Czy podjęcie pracy u Vivian oznacza zaprzędanie duszy diabłu, jak twierdzi Mara, czy może tak bardzo mi potrzebny duży krok naprzód w karierze?

Prawdę powiedziawszy, już znałam odpowiedź. Vivian Grant kupiła mnie etatem redaktorskim i trzy razy większą pensją. Jak mogłam odmówić?

ROZDZIAŁ TRZECI WIEK NIEWINNOŚCI

- Kelner! Proszę butelkę lafite rothschild rocznik osiemdziesiąty drugi! Musimy coś uczcić! - zawołał wielkopańsko Randall, prowadząc mnie w głąb Bouley.

Tego mi było trzeba - drinka. Co za dzień! Od chwili, w której zwierzyłam się Jacksonowi z nowej oferty pracy, aż do obietnicy złożonej Vivian, że ją przyjmę, musiałam się uporać z całą gamą uczuć. Przynajmniej dobrze, że przez te wszystkie wstrząsy nie miałam czasu zdenerwować się przed drugą randką z Randallem.

Teraz jednak nadrabiałam stracony czas. Z duszą na ramieniu poprawiłam małą czarną Calvina Kleina, którą Bea dwa lata temu kazała mi kupić w hurtowni Barneya. I chwala Bogu, bo to był jedyny ciuch w mojej szafie, nie licząc czerwonej sukni, którą już dostatecznie obnosiłam, odpowiedni na randkę z Randallem Coksem.

Do sukienki dobrałam pierwszą w życiu parę pantofli Jimmy'ego Choo, które kupiłam tego dnia, obiegłszy w hysterii dział obuwia u Saksa. Zamierzałam włożyć nieśmiertelne czarne szpilki Nine West, ciut znoszone, ale nadal prezentujące się doskonale, lecz podczas przerwy obiadowej nagle mnie tknęło, że na randkę z Randallem Coksem po prostu muszę mieć Choo. Nawet jeżeli przekroczę limit na karcie kredytowej.

Chociaż urzekły mnie, jak wszystkie buty tego projektanta, delikatne szpilki z cienkim srebrnym paskiem w kostce, czułam się na nich chwiejnie. Kiedy Randall prowadził mnie szybko do niewielkiego oświetlonego świecą stołu, w obcisłej sukience i na dziesięciocentymetrowych szpilkach, czułam się, jakbym kroczyła żwawo po linie ze spętanymi nogami.

Błagam, żebym tylko się nie wywaliła, modliłam się skrycie do bogów mody. Rzadko słyszeli moje prośby, ale może i tak okażą mi miłosierdzie? Jeżeli pozwolicie mi dojść do krzesła, błagałam, pozbędę się raz na zawsze całej kolekcji podkoszulków uniseks, bez nadruków... a może dorzucę znoszoną koszulę nocną ze Snoopym. Jeszcze tylko dziesięć kroków.

W końcu dotarłam do zarezerwowanego dla nas kącika pod ścianą, Randall odsunął mi krzesło. Usiadłam z wdzięcznością. Wdzięku, niestety, trochę mi zabrakło. Kiedy klapnęłam na siedzenie, zachwiałam się, spętana spódnicą. Usiłowałam złapać równowagę i potrąciłam stojącą już na stole szklanę z wodą. Patrzyłam z przerażeniem, jak woda się rozlewa i opryskuje Randallowi marynarkę.

- Ojej! - zawołał spontanicznie i zaczął się gorączkowo wycierać.

- Przepraszam, Randall, bardzo cię przepraszam!

Najchętniej schowałamby się pod stół. Dlaczego taka ze mnie niezdara? W pierwszych dwóch minutach randki zdążyłam mu zniszczyć garnitur!

Odłożył serwetkę, pogłaskał mnie po ręce, roześmiał się.

- Nie przejmuj się tak, Claire. Nic się nie stało. Po prostu jestem nieco przeczulony na punkcie swojego Turnbulla i Assera.

- Bardzo cię przepraszam - powtórzyłam, bo nadal czułam się okropnie. Dlaczego wечно na coś wpadam? Usiłowałam przywrócić w sobie równowagę ducha, a jednocześnie pomagałam kelnerowi zebrać wodę.

Randall wziął mnie za rękę.

- Claire, pan się tym zajmie - powiedział delikatnie. Kelner potwierdził skinieniem głowy.

Położyłam ręce na kolanach, marząc o tym, żeby zresetować sytuację. Najchętniej przewinęłabym taśmę do

chwili wejścia do restauracji, w której zobaczyłam Randalla stojącego przy kierowniku sali. Wyglądał nadzwyczaj wytwornie... a na mój widok uśmiechnął się promiennie.

Ze wszystkich mężczyzn, z którymi spotykałam się w ciągu ostatnich pięciu lat w Nowym Jorku - a znaleźli się wśród nich nałogowy hazardzista, malarz portretujący słynne penisy, adwokat z urzędu z okropnym odstręczającym trądzikiem na plecach, co przesądziło o naszym rozstaniu, oraz ostatnio James, gitarzysta basowy, kobieciarz - nigdy bardziej nie zależało mi na tym, żeby podbić czyjeś serce.

Po pracy więcej czasu poświęcałam swojemu głupiemu strojowi - zawsze nosiłam się na czarno, chyba dość nudno, ale łudziłam się, że czerpię wzór z Carolyn Bessette Kennedy - niż przez ostatnie trzy miesiące. I wtedy zjawiała się Bea z olbrzymim zestawem kosmetyków, usiłując za wszelką cenę znaleźć moje kości policzkowe, skubiąca mi brwi z takim zapamiętaniem, jakby czekała na tę szansę od lat. Dobrze, że dołożyłyśmy starań. Bo Randall w garniturze w prążki (wprawdzie teraz odrobinę zamoczonym) i we francuskiej niebieskiej koszuli podkreślającej jego idealną opaleniznę z ekskluzywnego kurortu Hamptons wyglądał, jakby zszedł z rozkładówki pisma „Gentlemen's Quarterly”. Co ważniejsze, sprawiał wrażenie mężczyzny, który powinien iść na randkę z dziewczyną wprost z kart „Vogue'a”. Nawet jeśli daleko mi było do niej, na pewno bliżej niż rano.

- Zdrowie! Za twoją nową pracę! - Randall zawołał radośnie, a jego uśmiech rozjaśnił ciemności oświetlone jedynie płomieniem świecy. Uniosłam kieliszek z winem, które przed chwilą nalał mi kelner. - Zaimponowałaś mi, Claire. Naprawdę podbiłaś serce Vivian Grant, a ją niełatwo zadowolić.

- Nigdy nie doszłoby do tego bez twojego polecenia. Jeszcze raz ci dziękuję - powiedziałam, rejestrując przelotną

myśl, jakiego koloru oczy miałyby nasze dzieci, skoro Randall ma niebieskie, a ja jasnopiwe.

- I jak Jackson przyjął tę wiadomość?

- Nie najgorzej - odpowiedziałam wykrętnie. Nie chciałam sprawiać przykrości Randallowi, rzucając cień na jego znajomą Vivian, ale Jackson swoją reakcją zabił mi ćwieka.

* * *

Tego ranka przyniosłam Jacksonowi świeżą drożdżówkę (ponieważ ominęła go piątkowa) i zamknęłam za sobą drzwi do jego gabinetu.

- Mam dobre wieści - powiedziałam na wstępie, z nadzieją że Jackson ucieszy się z takiego zwrotu w mojej karierze. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, no, może poza Marą, jak bardzo chciałabym podjąć większe wyzwania. Czas był po temu idealny, bo oboje odeszlibyśmy w tym samym momencie. On na zasłużoną emeryturę, żeby poświęcić się wnukom, a ja na ścieżkę szybkiej kariery w wydawnictwie, w którym mogłabym się rozwinąć jako redaktorka. - W piątek spotkałam się z Vivian Grant i zaproponowała mi pracę - wyjaśniłam, po czym przedstawiłam Jacksonowi jej ofertę.

Zbladł jak płótno. Przedtem ugryzł entuzjastycznie kęs drożdżówki, a teraz odłożył ją na serwetkę i odsunął.

- Z Vivian Grant? - powtórzył cicho.

Zupełnie jakbym oznajmiła, że poznałam miłego chłopca, a dokładnie sułtana Brunei, który zaprosił mnie łaskawie, abym wstąpiła do jego haremu.

- Wiem, że jest trochę znerwicowana - wybąkałam.

- Trochę? To chyba mało powiedziane! - odparł Jackson z posepnym śmiechem. - Vivian Grant to bezczelna wyzyskiwaczka. Bardziej dba o własne ego niż o publikację wartościowych książek. Pożre cię żywcem i wypluje, Claire! Przy tej kobiecie Hun Attyla wydaje się dobroczyńcą.

Szczęka mi opadła. Przecież Jackson Mayville nigdy nikogo nie oczerniał! Był dżentelmenem w każdym calu. W życiu nie słyszałam, żeby przyczepił komukolwiek łątkę.

- Znałeś ją, kiedy tu pracowała? - zapytałam.

- Niestety tak. Zgotowała nam prawdziwe piekło. Mówiąc bez ogródek, ta kobieta to wariatka. Wiem, że odnosi sukcesy i że reprezentuje obrazoburcze, fascynujące podejście do wydawania książek. Ale nie bądź w gorącej wodzie kąpana. Złożyła ci ofertę w piątek. Dziś mamy poniedziałek. Wstrzymaj się z podjęciem decyzji i bardzo cię proszę, jeszcze raz gruntownie ją przemyśl.

Zapadłam się głębiej na kanapie. W głowie miałam mętlik, zaniemówiłam.

- A jaki mam wybór? - zapytałam w końcu. Zawsze polegałam na zdaniu Jacksona i niechętnie mu się przeciwstawiałam, ale może nie pojmował, jak bardzo ostatnio doskwiera mi stagnacja. - Minie wiele lat, zanim gdziekolwiek indziej powierzą mi taką odpowiedzialność, nie mówiąc o pensji. A po twoim odejściu... - Szybko urwałam, ale nie dało się cofnąć wypowiedzianych słów. Za nic w świecie nie chciałam obarczać Jacksona winą. Już i tak za bardzo się użalałam.

- Posłuchaj, Claire - odezwał się grobowym głosem Jackson. - Wiem, że moje odejście zachwiało twoją stabilizacją w P and P, ale serce mi pęka na myśl, że mogłabyś przez to dostać się w szpony Vivian Grant. Niestety, oboje wiemy, że P and P nie może zaproponować ci porównywalnej płacy. Może jednak przekonam dyrekcję, żeby podniosła ci trochę pensję, a już niedługo powinien cię czekać kolejny awans. Cieszysz się tutaj dobrą opinią. Mimo twojego młodego wieku Gordon widzi w tobie wielki potencjał. Zastanów się, zanim postanowisz zejść z tego pokładu, żeby podjąć pracę u Vivian.

W tym cały problem. Nie miałam zbyt dużo czasu. Może Jackson roztropnie mi radził, żebym nie decydowała bez przemyślenia, ale rano zastałam w poczcie głosowej wiadomość od Milтона, asystenta Vivian. Informował mnie surowym głosem, że propozycja Vivian czeka na mnie do poniedziałku do dziesiątej rano i ani chwili dłużej. Jeżeli interesuje mnie podjęcie pracy, muszę podjąć decyzję natychmiast.

- Typowe - mruknął Jackson, kiedy mu o tym powiedziałam.

Nagle zrodził się we mnie niejasny bunt. Dlaczego Jackson w ogóle mnie nie wspiera? Może Vivian jest twarda, a nawet trochę stuknięta, ale czy naprawdę mądrze byłoby rezygnować z szybkiej kariery, skoro dostałam szansę posunąć się od razu o dziesięć kroków naprzód? Poza tym Jackson dawno zapomniał, co to znaczy musieć liczyć się z każdym groszem składającym się na chudą pensję młodszego redaktora, a sam wydał tyle wspaniałych książek, że miał aż nadto doświadczenia. Tymczasem ja łaknęłam tego doświadczenia! Czy wiedział, jak mi na tym zależy? Adiustował teksty i omawiał koncepcje z autorami, tymczasem ja mozolnie wypisywałam noty wydawnicze, propozycje umów i kosztorysy. Chodził na obiady do Michaela z Jonim, Binkym i innymi poważnymi agentami, a ja jadłam wtedy drugie śniadanie przyniesione do pracy w papierowej torbie i odbierałam jego telefony. Jak mógł mi radzić, żebym nie brała spraw w swoje ręce?

Decyzja należała do mnie.

- Przyjmę tę ofertę, Jackson - oznajmiłam. - Może odbiega trochę od ideału, a na pewno będzie wymagała mnóstwa wyteżonej pracy. Ale jeżeli wytrzymam przez rok, zrobię duży krok naprzód i zdobędę cenne doświadczenie.

Jackson pokiwał bez przekonania głową, ale nie potrafił ukryć zawodu.

- Przecież wiesz, że zawsze będę ci służył radą. Mam nadzieję, że ci się uda.

I zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Dzięki. Wiem, że tak właśnie powinnam postąpić - skłamałam, bo nie wiedziałam absolutnie nic.

Podenerwowana, wróciłam do swojego biurka.

- I jak ci poszło? - spytała Mara, wytknąwszy głowę w loczkach zza przepierzenia.

Zrobiłam smętną minę.

- Jackson wcale nie pochwała mojej decyzji. Mara pokiwała głową i wróciła bez słowa na krzesło. Zegar wskazywał 9.43. Szansa mi umykała, a ja, pomimo całej swojej buńczuczności w gabinecie Jacksona, czułam się coraz mniej pewna własnej decyzji.

Musiałam ją jednak podjąć. Postanowiłam zadzwonić do Vivian, zanim zmienię zdanie.

- Grant Books.

Z głosu Milona wywnioskowałam, że jest bardzo przeziębiony.

- Milton? Mówi Claire...

- Milton już tu nie pracuje. Czym mogę służyć?

- Przepraszam, chciałam rozmawiać z Vivian. Spotkałyśmy się w zeszłym tygodniu i... Czy zastałam Vivian?

- Chwileczkę.

Nowy asystent kazał mi czekać. Ciekawe, co się stało z Miltonem, ale rzeczywiście wydawał mi się absolutnie gotów do przejścia na wcześniejszą emeryturę.

- Witaj, Claire. Mówi Vivian. I co tam u ciebie?

- Witaj, Vivian. Dzwonię, żeby przyjąć twoją propozycję.

Uff. Klamka zapadła. Nie mam już odwrotu.

- To świetnie, świetnie. Co ja ci tam proponowałam? Co? Zapomniała? Powtórzyłam słowo w słowo jej ofertę przedstawioną na spotkaniu.

- Ach, nie, to po prostu za dużo - odparła Vivian. - Żaden redaktor u mnie tyle nie zarabia. Niemożliwe, żebym ci tak dużo zaproponowała. Odejmij dziesięć tysięcy od tej sumy i dobijemy targu.

Obleciał mnie strach. Czyżby zarzucała mi nieuczciwość? Co miałam powiedzieć? Wycofywała się z własnej oferty, kiedy ją przyjąłem? Zmieniła co do mnie zdanie? Nawet pomniejszona o dziesięć tysięcy pensja i tak znacznie przekraczałaby moje płace w P and P. Czy powinnam ją przyjąć? A może Vivian tylko mnie sprawdzała. Może chciała się przekonać, czy ustępuję w negocjacjach bez walki. Z pewnością nie chciałyby widzieć u siebie redaktorki, która tak łatwo składa broń.

- Wybacz, Vivian - powiedziałam w końcu. - W piątek złożyłaś mi taką ofertę i z przyjęciem takiej dzwonię. Jeżeli teraz chcesz zmienić warunki, muszę przemyśleć sprawę.

- Już dobrze - zgodziła się ze zniecierpliwieniem w głosie. - Taka pensja to gruba przesada, zwłaszcza dla kogoś z tak małym doświadczeniem, ale nie mam doprawdy czasu się wyklócać. Potrzebny mi jest ktoś od zaraz. No to kiedy zaczynasz? W piątek?

W ten piątek? Czyli za cztery dni? Zakładałam, że dostanę zwyczajowe dwa tygodnie na wypowiedzenie w P and P, żebym miała czas przekazać wszystkie swoje i Jacksona prace redakcyjne. Oznajmiłam to Vivian z nadzieją, że doceni moją odpowiedzialność, która nie postawi mojego pracodawcy w trudnej sytuacji. Ale nie doceniła.

- Dwa tygodnie? Nie ma mowy! Jesteś mi tu potrzebna dużo szybciej. W poniedziałek? - spytała.

I znów obleciał mnie strach. Czyżbym przeciągała strunę? Targowałam się ze swoją przyszłą szefową o dzień rozpoczęcia pracy, zwłaszcza po wygraniu negocjacji finansowych. Nie wiem, czy to najlepszy początek. Nie przywykłam do stawiania sprawy na ostrzu noża. W P and P panował zbiurokratyzowany system, toteż awanse i oferty pracy załatwiano bez dyskusji, bezosobowo. Chętnie zgodziłabym się na poniedziałek, ale czułam, że nie mogę tak uciec Jacksonowi bez wymówienia.

- Zależy mi na tych dwóch tygodniach - powtórzyłam. - Może na początek będę przychodziła w weekendy albo wieczorami, żeby potem łatwiej wejść z rozbiegu?

- Poproszę gońca, żeby podesłał ci sprawy, które musisz przejąć od razu. Ale dwa tygodnie, cholera, to za długo, ile razy mam ci powtarzać? Potrzebny mi jest ktoś na miejscu od zaraz. Wytrzymam do wtorku, dłużej nie mogę czekać. Oczekuję od ciebie lojalności wobec firmy. I to jak najszybciej!

Z tymi słowy odłożyła słuchawkę.

Tak patologia wkroczyła w moje życie. Poczulałam niepewność co do przedstawionej mi propozycji, bo Vivian może ją wycofać równie kapryśnie, jak złożyła. Postanowiłam nie wypuszczać oferty z rąk.

Niewiele myśląc, zapukałam do gabinetu Jacksona.

- Vivian prosi, żebym zaczęła we wtorek - powiedziała mi cicho.

Skrzywił się.

- Nie szkodzi, Claire, niech będzie we wtorek. W takim razie przyjdź tu po raz ostatni w piątek. W poniedziałek zrób sobie wolne, odpocznij. Bardzo ci się przyda chwila wytchnienia. Jeżeli jesteś pewna swojej decyzji, od razu naucz się nagiąć do woli Vivian.

Nie było to błogosławieństwo, na jakie liczyłam z jego strony, ale i tak podziękowałam.

- Będę tu zaglądała w weekendy i wieczorami. W czymkolwiek ci się tylko przydam, żeby po sobie posprzątać - zaproponowałam.

- Dziękuję ci, kochanie. Podejrzewam, że będziesz miała u siebie ręce pełne roboty, a poza tym Mara na pewno mi pomoże. Nie martwię się o siebie. Bardziej przejmuję się tobą.

Po powrocie do swojego biurka zadzwoniłam do Vivian z wiadomością, że przyjmuję pracę od wtorku. To była moja pierwsza nauka, jaką od niej wyniosłam. Powodzenie w negocjacjach można osiągnąć tylko wtedy, kiedy człowiek jest gotów wstać i wyjść. Bo jeżeli boi się przegrać, będzie przegrywał za każdym razem.

* * *

- Chyba po prostu żałował, że cię traci - skomentował Randall, kiedy pokrótce streściłam mu przebieg zdarzeń. - Moim zdaniem Jackson zachował się egoistycznie.

- A moim zdaniem nie - powiedziałam. - Chyba po prostu nie upatruje w tej propozycji takiej szansy jak ja.

- Smakowało ci wino? - zapytał Randall, zmieniając temat. - Mój ojciec zawsze trzyma w tutejszej piwnicy kilka butelek dobrego rocznika. Skoro mowa o rodzicach, moja mama dosłownie nalega, żebym w jeden z najbliższych weekendów przywiózł cię do Southampton. Podobno na studiach były z twoją mamą nierozłączne, dlatego teraz nie może się doczekać, kiedy pozna córkę Patricii Truman.

- Bardzo chętnie - odparłam, patrząc na niego z rozmarzeniem. Poznać jego matkę? Rzadko sprawy przybierają taki obrót już na drugiej randce!

Właśnie zjadłam najbardziej wystawny posiłek w życiu - Randall, który znacznie bardziej przestrzegał diety, zamówił

tuńczyka ze szpinakiem, a ja wybrałam idealnie wysmażony, niewiarygodnie delikatny befsztyk z sosem bearnaise.

Kiedy Randall poprosił gestem o rachunek, poczułam ciepły przyptyw oczekiwania. Nastrój nie mógł być lepszy, żeby od niechcienia padła propozycja: „Może poszlibyśmy do mnie, Claire?”, dla przyzwoitości chwila udawanego wahania, „Jasne, na szybkiego drinka przed snem” - i nie mogłabym się doczekać, kiedy wszystko się rozegra.

- Szkoda, że nie mogę zaprosić cię do siebie na drinka - pożalił się Randall. Wyjął zza pazuchy pióro Crossa i podpisał zamasyście czek. - Ale właśnie finalizujemy jeden z największych kontraktów w dziejach firmy, dlatego muszę wracać do pracy.

Wracać do pracy? Spojrzałam na zegarek. Dochodziła północ. Poniedziałek. Aż mną targnęło. Miałam wierzyć, że Randall wraca do pracy na drugą zmianę? No, błagam. Po pięciu latach samotnego życia w tym mieście umiałam poznać, kiedy ktoś mnie spławia. Miałby przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby znaleźć bardziej wiarygodne kłamstwo, na przykład, że natychmiast musi posprzątać skarpetki w bieliźniarce albo wyprowadzić rybkę na spacer.

- Nie ma sprawy - odparłam chłodno, starając się nie dać po sobie poznać, jak mnie to dotknęło. - Powodzenia przy tym kontrakcie.

- Freddy odwiezie cię do domu. Mam na tyle blisko do biura, że mogę się przespacerować - oznajmił, wstając od stołu.

Jasne, pomyślałam z goryczą. Uważasz mnie za idiotkę? „Mam na tyle blisko, że mogę się przespacerować” oznacza, że jak tylko się rozstaniemy, zaraz na drugiej ulicy wezmę taksówkę i pojedę do klubu Marquee, żeby oglądać brazylijskie modelki.

Co poszło nie tak? Usiłowałam nie okazywać zawodu, ale naprawdę czułam się parszywie. Dlaczego aż tak wywindowałam nadzieje? Dlaczego tyle się spodziewałam po tych peoniach, wykwintnych kolacjach, nadmiernych komplementach, poleceniu mnie Vivian, zaproszeniu do jego matki... chociaż jak się tak zastanowić, tych pozytywnych znaków było bardzo dużo. Szczerze mówiąc, ten palant dołożył wszelkich starań - może tylko zabrakło serenady pod oknem - żebym poczuła jego zainteresowanie!

Przed restauracją założyłam ręce i czekałam z rezygnacją, aż Randall zacznie swoją śpiewkę: „Tak się cieszę, że odnowiliśmy znajomość. Powtórzymy kiedyś taki wieczór?”. Na co powiem: „Oczywiście, było bardzo miło”, a on: „No to trzymaj się”.

Tymczasem poczułam na ramionach jego ręce. Bawił się chwilę końcami moich włosów. Co???

- Claire - odezwał się niskim głosem, ujmując silnymi dłońmi moją brodę. - Co robisz w piątek wieczorem?

Delikatnie musnął ustami moją szyję.

- Yyy... - wybąkałam, zanadto rozanielona, żeby podtrzymać rozmowę.

I nagle zaczęliśmy się całować... trwało to całą wieczność... a potem Randall chwycił mnie w pasie, uniósł kilka centymetrów nad ziemię w przecudownym niedźwiedzim uścisku. Nie mogłam wprost uwierzyć, że drugi pocałunek jest jeszcze cudowniejszy. Całowałam się z pabst blue ribbonem! I już byliśmy umówieni na trzecią randkę!

- To co? Piątek wieczór? - spytał Randall, uśmiechając się uroczo. - Kolacja w Nobu? Wytrzymasz dwa wieczory w jednym tygodniu ze mną?

- O tak - odpowiedziałam ze śmiechem. Dwa wieczory, całe życie, ile tylko zechcesz.

- Cieszę się - powiedział, całując mnie ponownie. Następnie otworzył drzwi swojej czarnej limuzyny i elegancko zaprosił mnie gestem, żebym wsiadła. - Freddy, odwieziesz panią Truman do domu, a o wpół do trzeciej przyjedziesz po mnie do biura - zlecił kierowcy.

A może naprawdę musiał pracować? Mnie to zakrawało na szaleństwo, ale też niewątpliwie intrygował mnie człowiek tak oddany swojej firmie, że po długiej, rozkosznej kolacji wracał do biura. Zdarzają się maniacy z niespotykaną pasją do pracy.

W drodze powrotnej do domu na Christopher Street na wspomnienie naszego pocałunku oblałam się rumieńcem od stóp do głów. Randkuję z Randallem Coksem. Wyjęłam komórkę z torby, zadzwoniłam do Bei i szeptem, zasłaniając usta ręką, wszystko jej opowiedziałam, bo nie wytrzymałabym kolejną przecnicę. Freddy musiał słyszeć z siedzenia kierowcy dzikie okrzyki radości mojej przyjaciółki.

* * *

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie zostawiasz.

- Wcale cię nie zostawiam - powiedziałam, ściskając Marę. - Przecież wiesz, że cały czas będziemy w kontakcie.

- Jak sobie radzi Jackson? - zapytała.

Nie rozmawiałam z nim od poniedziałku, ale rano zostawił mi na krześle prezent, wczesne wydanie Winesburg, Ohio Sherwooda Andersona, książkę, którą omawialiśmy, kiedy przed pięciu laty starałam się u niego o pracę. Nie do wiary, że pamiętał ten szczegół.

Zresztą co ja mówię? To bardzo w jego stylu, że pamiętał.

Tydzień upłynął szybko dzięki tysiącom spraw do załatwienia, a teraz był już piątek, piąta po południu, mój ostatni dzień w tej pracy. Starannie uporządkowałam wszystkie dokumenty. Na koniec okleiłam taśmą kartonowe pudła.

Pozostał mi już tylko jeden szczegół - pożegnalny e - mail do kolegów z moimi nowymi danymi i podziękowaniem za fantastyczną wspólną pracę. Odkładałam go na sam koniec. Może dlatego, że wtedy naprawdę zamknę ten rozdział swojego życia.

Zmusiłam się, żeby kliknąć komendę „Wyślij”, tak jak ktoś, kto skacze do zimnej wody.

Ding. Ding, ding, ding, ding, ding. Masz nową wiadomość.

Nie zdążyłam sprawdzić poczty, kiedy do mojego biurka podbiegła Marie - Therese, śliczna specjalistka od reklamy, z którą pracowałam przy kilku książkach. Cała była w pąsach.

- Błagam cię, Claire, powiedz, że to był tylko żart! - zawołała. - Chyba nie masz zamiaru pracować u tej wrednej Vivian, co?

Zatkało mnie.

- A jednak...

Słyszałam dzwonki kolejnych napływających listów, spojrzałam na monitor.

Temat: Czy ty wiesz, co robisz?

Temat: V.G. jest niespełna rozumu.

Temat: Niiieeeeeeeeeee.

Temat: Powiedz, że to nieprawda!

I tak dalej. Puls mi przyspieszył, kiedy przeglądałam wiadomości. Żaden z kolegów nie odpisał zwyczajowo: „Powodzenia, będzie nam ciebie brakowało”. Wszyscy zareagowali przerażeniem.

Kiedy odwróciłam się do Marie - Therese, zobaczyłam wokół swojego boksu małe grono rozemocjonowanych kolegów.

- Podczas konferencji na temat sprzedaży wtargnęła za moim kolegą do toalety męskiej - powiedział mi szeptem Henry z działu sprzedaży zagranicznej. - Aż tam go dopadła.

Ponieważ nie miał na nią ochoty, wywaliła go po niedzieli za rzekomą kradzież artykułów piśmiennych. Zarzut był absolutnie wyssany z palca, ale kolega wolał nie wnosić oskarżenia, żeby nie wdawać się w proces z mściwą socjopatką.

- Ona słynie z takich zachowań - wtrąciła piskliwie Gail, młoda redaktorka z innego działu. - Człowiek się dla niej wypruwa, a kiedy odejdzie, ta baba rozpowiada na prawo i lewo, że ten ktoś ma problem z narkotykami albo jest chory psychicznie, albo ma lepkie palce. Co tylko jej strzeli do głowy.

- Vivian zagroziła mojemu znajomemu agentowi pobiciem, jeżeli nie zezwoli jej na bezczelne naruszenie warunków umowy. Chciała zmienić nazwisko pisarza na pewnej książce! - zaklinał się spokojnego usposobienia Max z działu sztuki. - Twierdziła, że to jej pomoże sprzedać więcej egzemplarzy!

- To szurnięta kobieta, Claire - przestrzegła mnie Marie - Therese. - Kiedy pracowałam w Mather - Hollinger, docierały do mnie niestworzone opowieści na temat jedenastego piętra. Vivian Grant jest wprost nieludzka, cierpi na jakieś poważne zaburzenie.

Ludzie opowiadają bujdy, pomyślałam, żeby nie dać się omotać.

- Dziękuję wam, kochani! - zawołałam z fałszywą radością w głosie. - Ale decyzję już podjęłam.

Nikt nawet nie drgnął. Wszyscy wlepiali wzrok we mnie, a z ich twarzy biła troska.

Marie - Therese wystąpiła naprzód.

- Może powinnaś...

- Mam nadzieję, że nie stracimy kontaktu! - zaszcebiotałam, ucinając sprawę. - Dobra, muszę pakować manatki.

Bez większego ociągania pożegnali się i życzyli mi powodzenia.

- Na pewno przesadzają - orzekła życzliwie Mara, choć zabrzmiało to nieprzekonująco.

Musieli przesadzać. Niemożliwe, żeby sytuacja wyglądała aż tak źle. Zdążyłam się już przekonać, że Vivian bywa agresywna i niekonwencjonalna, ale nie mogłam uwierzyć, jak zapewniał mnie ktoś w jednym z e - maili, że rzuciła w któregoś redaktora krzesłem przez cały pokój. Ani że na kolegium nazwała była panią dyrektor do spraw marketingu „wstrętną kurwą”.

Niemożliwe, żeby to była prawda. Przede wszystkim dyrekcja Mather - Hollinger nie pozwoliłaby na takie zachowanie na swoim terenie wobec któregokolwiek z pracowników.

Poza tym, jak powiedziała sama Vivian, co przytoczono niedawno w artykule „Daily News”, gdyby była mężczyzną, nikt by jej nie wytykał temperamentu. Najlepszy dowód, jakie mamy żalosne podwójne normy etyczne!

Kiedy kilka godzin później szłam do drzwi, oglądając się na pokój redaktorski, czułam się absolutnie przekonana co do słuszności własnej decyzji. Jeden rok na placu boju zapewnił mi przełom w karierze. Wiedziałam, że postępuję właściwie.

Oj, dobrze, może nie byłam stuprocentowo pewna, ale miałam taką nadzieję.

Przez rok potrafię znieść wszystko. Na pewno warto. Wiedziałam, że dam sobie radę.

Oj dobrze, miałam taką nadzieję.

Rzuciłam po raz ostatni tęsknie okiem na kopiarkę, przy której spędziłam niesłychanie wiele godzin, po czym ruszyłam dziarskim krokiem ku przyszłości.

ROZDZIAŁ CZWARTY WIELE HAŁASU O NIC

- Chwała Bogu, że już jesteś, Claire - jęknęła Vivian, zasiadając u szczytu stołu.

Nadszedł wiekopomny dzień - mój pierwszy dzień pracy jako redaktorki w Grant Books. Cały ranek odbywałam szkolenie w kadrach, gdzie poznałam historię prestiżowego wydawnictwa Mather - Hollinger, a teraz wróciłam na salę konferencyjną i usiadłam na tym samym krześle, na którym zaledwie tydzień wcześniej odbyłam rozmowę kwalifikacyjną.

- Zaraz padnę - narzekała dalej Vivian. - Cóż to za zgraja cholernych nieuków... Wkrótce sama się przekonasz, Claire. Jak to dobrze, że mam teraz chociaż jedną kompetentną redaktorkę na pokładzie!

Mężczyzna obok odchrząknął. Czułam się nad wyraz niezręcznie, bo dwoje z tych rzekomych nieuków, mężczyzna i kobieta, oboje dobrze po trzydziestce, siedziało z nami przy stole konferencyjnym, przekładało papierki i robiło notatki. Wydawali się całkiem niezbeci z tropu ostrą krytyką Vivian pod swoim adresem. Zupełnie, jakby puścili jej uwagę mimo uszu.

- Dlatego od razu będzie pani prowadziła dziesięć książek - zwróciła się do mnie siedząca obok kobieta oschłym tonem. - Projekty leżały w szufladzie, bo poprzednia redaktorka odeszła miesiąc temu, musi więc pani chyba zacząć od złożenia wyjaśnień autorom.

- Na imię mi Claire - przerwałam jej niezręcznie i wyciągnęłam rękę. Kobieta miała równo obciętą grzywkę i jasne, szeroko otwarte oczy, co wskazywałoby na poważne uzależnienie od kofeiny. Była najczystsza przedstawicielką białej rasy, jaką widziałam w życiu. Miała śnieżnobiałą cerę, chociaż był czerwiec w rozkwicie.

- Bardzo przepraszam, gdzie się podziały moje maniery - powiedziała z uśmiechem. - Dawn Jeffers, redaktor naczelny. - Vivian prześwidrowała ją wymownym spojrzeniem, na co Dawn szybko znów wbiła wzrok w swoje notatki. Najwyraźniej część nieoficjalna programu dobiegła końca. - Przejmiesz książkę kucharską, którą robimy z szefem kuchni. Mario to przeuroczy właściciel słynnej włoskiej restauracji na Bronksie. - Dawn przerwała, zaczęła gryźć koniec długopisu. - Redagowałeś kiedyś książkę kucharską?

Za fasadą służbowej poprawności wyczuwałam u Dawn życzliwość, z którą próbowała ocenić, ile mi trzeba pomóc na starcie. Doceniałam takie podejście. Nigdy przedtem nie opracowywałam książki kucharskiej i chociaż zawsze mogłam poradzić się telefonicznie Mary, z wdzięcznością przyjąłabym wszelkie wskazówki Dawn.

Zanim jednak zdążyłam się odezwać, Vivian odpowiedziała za mnie.

- Jakie to ma znaczenie, czy wcześniej redagowała książkę kucharską? Claire jest nie w ciemną bita, Dawn, poradzi sobie! - Po czym zwróciła się do mnie z obrzydzeniem i pogardą: - Dlaczego tylu idiotów w naszej branży sądzi, że tylko wtedy umie się coś zrobić, jeśli zrobiło się to już co najmniej tuzin razy przedtem? Dlaczego nie mogą pojąć, że niektórzy ludzie po prostu kierują się intuicją?

Czy to możliwe, że Vivian właśnie nazwała swoją redaktor naczelną idiotką w mojej obecności, mojego pierwszego dnia pracy, a dokładnie w jego trzeciej godzinie? Szukałam u Dawn jakichś oznak oburzenia, ale na jej twarzy malował się niezmacony spokój.

- Druga twoja książka to pikantna biografia pióra... - ciągnęła Dawn opanowanym głosem.

- Wiesz co, Dawn? - przerwała jej głośno Vivian. - Właściwie nie wiem, co ja tu, do cholery, robię! Nie mam

czasu na takie dyrdymały. Do ciebie należy przekazanie Claire jej projektów, a nie do mnie. A Graham, dyrektor do spraw redakcyjnych, powinien zadbać, żeby przekazanie nastąpiło gładko! Przecież ja, do cholery, nie ponoszę za to odpowiedzialności! Ludzie, ja nie mam czasu na takie gówna! Prowadzę firmę, obracam milionami, rozwijam ją, nie możecie tego zrozumieć, popaprańcy?

Zerwała się z fotela, przechyliła przez stół. W lewej skroni pulsowała jej mała żyłka.

Serce podeszło mi do gardła i waliło jak oszalałe. Zaczęło się...

- Oczywiście, Vivian - odpowiedziała Dawn obojętnym głosem. - Przejmiemy sprawę.

- Nie ma problemu - zawtórował jej Graham podobnym, niewzruszonym tonem.

Wzburzona Vivian odeszła od stołu. Ale od progu odwróciła się jeszcze do mnie z promiennym, zdumiewającym w tej sytuacji uśmiechem.

- Zajrzę do ciebie później, Claire - zapowiedziała serdecznie. W jej głosie nie słyszałam już ani krztyny gniewu.

- Może w tygodniu skoczmy razem na obiad.

- Bardzo chętnie - wybąkałam.

Odwróciłam się do Grahama i Dawn, poczuwając się nie wiadomo dlaczego do odpowiedzialności za to, że na nich nakrzyczano. Oboje uwijali się przy rozłożonych na stole dokumentach.

Czyżby nikim poza mną nie wstrząsnęła reprimenda Vivian? Przecież darła się na nich wniebogłosy! Czy ci ludzie mają nerwy z żelaza? Jak mogą być tacy opanowani? Czyżby tak bardzo przywykli do wyzwisk, że przestali na nie zwracać uwagę?

Ostatnia myśl przeraziła mnie najbardziej.

- A zatem twoja druga książka - ciągnęła Dawn - to sensacyjna biografia czternastoletniej uczennicy, która od trzech lat ma romans z nauczycielem. Zaczęła się z nim spotykać w wieku jedenastu lat. Pokręcona historia. Na razie roboczy tytuł brzmi Sex Ed (Sex Ed - Wychowanie seksualne.), ale nie został jeszcze zatwierdzony. Oczywiście ta dziewczyna napisze ją z „murzynem”. Nazywa się Carl Howard i często dla nas pracuje, Vivian bardzo lubi jego styl. Dałam ci na niego namiary.

- Trzecia książka to dieta według Alexy Hanley - ciągnął Graham bez mrugnięcia okiem.

Musiałam się przesłyszeć, uznałam w duchu. Hanley była młodziutką gwiazdeczką, idolką nastolatek, znaną ze swej drastycznej chudości. Pisma ilustrowane bez przerwy zamieszczały zdjęcia przedstawiające chudą jak szczapa Alexę w bikini ze stringami w Chateau Marmont, a nad fotografiami - nagłówki w rodzaju „Niebezpiecznie chuda” albo „Czy Lexie - patyczka to anorektyczka?”. Alexa Hanley miałyby firmować książkę na temat diety? Śmiech na sali. Co mogłaby nam polecić? Przepis na kostki lodu i zupki przeczyszczające?

- Najwyraźniej Vivian chce, żebyśmy dotarli do kręgu nastolatek - wyjaśnił Graham z zatrwajająco poważną miną. - Musisz więc ściśle współpracować z działem graficznym, żeby zadbać o zabawną, chwytliwą oprawę.

Podsunał mi teczkę pod nos. O Boże. Niemożliwe!

- Nie wydaje się wam, że coś tu jest trochę nie tak? - wtrąciłam. - Mamy reklamować podatnym na wpływy młodym dziewczętom rady sławy, która najwyraźniej cierpi na zaburzenie odżywiania?

Graham wytrzeszczył na mnie oczy. Był niskim, przysadzistym mężczyzną w okularach z grubymi szklami, który wyglądał, jakby od tygodnia sypiał w ubraniu. Później miałam się dowiedzieć, że istotnie od wielu dni w nim sypiał.

Praca nad książką o wziętym adwokacie pochłaniała mu tyle czasu, że musiał przynieść sobie do pracy łóżko polowe, żeby móc się czasem trochę przespać. Bo od poprzedniego piątku nie dotarł do domu.

- Vivian kupiła książkę Alexy - zripostował obcesowo Graham, otwierając następną teczkę ze stosu. Tym stwierdzeniem najwyraźniej zamknął sprawę.

Przez kolejną godzinę Dawn z Grahamem przedstawiali mi skrupulatnie wszystkie projekty, które miałam przejąć, wypunktowując każde zdanie sformułowaniami typu „Vivian żąda”, „Vivian domaga się” lub „Vivian oczekuje”.

Zrozumiałam. Moja praca redaktorska przy wszystkich dziesięciu odziedziczonych projektach sprowadzała się do realizacji wizji Vivian. Nie miałam zastrzeżeń. W ten sposób poznam jej tryb pracy, uznałam. Bo, szczerze mówiąc, nie marzyłam o redagowaniu żadnej z przydzielonych mi książek - żadna, najogólniej mówiąc, nie spełniała moich ambicji twórczych. Bardziej zależało mi na tym, żeby mieć wolną rękę przy opracowywaniu tych pozycji, które sama pozyskam dla wydawnictwa.

- Masz już wszystko? - zapytała Dawn, stukając ołówkiem w stół.

- Chyba tak. Gdyby nasunęły mi się jakieś pytania, czy mogę po prostu...

- Na niektóre odpowie Graham. Ale, prawdę mówiąc, wszystkie potrzebne informacje znajdziesz w teczkach. Powodzenia, Claire. Wiem, że niełatwo jest przejmować po kimś pracę.

Uśmiechnęła się i wybiegła z pokoju, a Graham skinął oschle głową i podążył za Dawn. Zostałam sama z ogromnym stosem teczek.

Pora zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

Pozostał jeszcze tylko jeden drobny problem - nie wiedziałam, gdzie jest moje stanowisko pracy. Ani toaleta. Siedziałam pozostawiona samej sobie, nie bardzo wiedząc, co robić...

- Wybacz. - Dawn wetknęła znów głowę do sali konferencyjnej. - Chodź ze mną, oprowadzę cię szybko po wydawnictwie.

* * *

- Przywitajcie naszą nową redaktorę - przedstawiła mnie Dawn. Pomachałam kolegom przy stole. Było to moje pierwsze kolegium redakcyjne w Grant Books, trzeci dzień pracy. - Claire przeszła do nas z P and P. Witamy cię w naszym gronie.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do Dawn i prędko rozejrzałam po sali w poszukiwaniu życzliwszych twarzy. Zobaczyłam same smętne, znużone miny. Wiele osób nawet nie pofatygowało się, żeby spojrzeć w moją stronę. Tylko Phil Stern, starszy redaktor, którego poznałam, kiedy Dawn na początku tygodnia oprowadzała mnie po wydawnictwie, szczerze się do mnie uśmiechnął.

Kolegia redakcyjne miały podobny przebieg w całej branży. W P and P wypowiedali się wtedy wszyscy - redaktorzy, pracownicy działów reklamy, marketingu, praw autorskich mogli zgłaszać pytania, wątpliwości, przedstawiać sprawozdania z przebiegu pracy, prośby o drugie redakcje na życzenie, żeby każdy wiedział, co dzieje się na wszystkich innych etapach procesu produkcyjnego. Lubiłam nasze cotygodniowe spotkania, głównie ze względu na drwiące poczucie humoru Gordona.

Już po krótkim oprowadzeniu przez Dawn domyśliłam się, że kolegia będą tu wyglądały inaczej. Przede wszystkim nowi koledzy nie wydali mi się zbyt towarzyscy, a może po prostu długo oswajali się z nowymi pracownikami. Kiedy Dawn

pukała do kolejnych zamkniętych drzwi, każdy ukryty za nimi redaktor bez słowa wytykał głowę, podawał mi rękę i chował się do środka, jak gdyby czmychał do nory. W odróżnieniu od kolegów z P and P, którzy wystawali w korytarzu, żeby porozmawiać, pracownicy Grant Books siedzieli całymi dniami skuleni w pokojach, nie wyścibiając z nich nosa, chyba że musieli coś zjeść, napić się wody albo skorzystać z toalety. Dostałam większy gabinet, niż się spodziewałam, z wielkim oknem wychodzącym na centrum. Mój boks sprzed tygodnia nie mógł się z nim równać.

- Zaczniemy bez Vivian - zaproponowała energicznie Dawn, przerywając ciszę. Spojrzałam na kolegów przy stole. Dawn zwróciła się do Karen Heffernan, naszej utalentowanej kierowniczki działu graficznego. Grant Books słynęło z oryginalnych, pomysłowych okładek. Chociaż niebagatelną rolę odegrała przy ich powstaniu Vivian, uznanie należało się również Karen. Ta dziewczyna naprawdę mi imponowała. Drobną, ładną dwudziestokilkulatka miała nie lada tupet. Chociażby na wczorajszym kolegium postawiła się stanowczo Vivian, a nawet w pewnej sprawie przekonała ją do zmiany zdania. Natychmiast polubiłam jej rzeczowość i bezpośredniość.

- Nie podoba jej się okładka Whipped and Chained (Whipped and Chained - Pejczy i łańcuchy.) - powiedziała Dawn. - Dzwoniła już do ciebie? Bo próbowała się z tobą skontaktować. Bardzo jej się nie podoba.

Karen westchnęła głęboko.

- Tak, tak, wiem. Już nad nią pracuję. Na kiedy jest ci potrzebna do katalogu?

- Na zeszły czwartek - odparła Dawn, zaglądając do wykazu.

Graham, który siedział u szczytu stołu, odchrząknął oficjalnie.

- Kto sprawdza nadesłaną niedawno ofertę książki o sekretach kręcenia filmów dla dorosłych?

Patrząc po kolegach, bez trudu odpowiedziałabym na jego pytanie, bo zauważyłam, kto się najbardziej rumieni.

- Ja - szepnęła Melissa, asystentka redaktora, dosłownie kilka tygodni po dyplomie. - Vivian dała mi ją godzinę temu.

- I co o niej sądzisz? - natarł na nią Graham. Melissa wpatrywała się tak uporczywie w notatki leżące przed nią na stole, że miałam obawy, czy lada chwila nie przesunie ich wzrokiem. Widziałam, że jest nieśmiała i że z trudem przychodzi jej się wypowiadać przed grupą, a konieczność mówienia o pornografii tylko potęguje to speszenie.

- Jest niezwykle... dosadna - powiedziała po chwili milczenia. - Napisana dość niezbornie. Ale nie zdążyłam skończyć, bo musiałam na twoją prośbę uaktualnić wykaz nadesłanych ofert, dlatego...

- Dzięki za komentarz, Melisso - przerwał jej sarkastycznie Graham. - Ale czy ta pozycja ma szanse na sukces komercyjny? Asystenci, oczekujemy od was oceny w tym zakresie. Poziomem literackim zajmiemy się sami. Do naszych obowiązków należy zadbanie o poziom literacki, co powtarzam na wypadek, gdyby nikt ci wcześniej tego nie powiedział. Ale czy dana książka się sprzeda? Poza tym mam do asystentów jedną prośbę. Pamiętajcie, że jeżeli Vivian daje wam coś do czytania, rzućcie wszystko i zajmujecie się tą pozycją. Vivian ma dostać informacje natychmiast. Nie wolno kazać jej czekać. Jej czas jest cenny. Musicie w pilnym trybie sformułować uzasadnioną opinię, czy dana książka wybije się na rynku.

Kiedy Graham kończył swoją tyradę, na jego policzkach wykwitły czerwone rumieńce.

Zauważyłam, że Phil Stern dyskretnie przewraca oczami.

- Przepraszam, ale ja... - odezwała się roztrzęsiona Melissa.

Uśmiechnęłam się do niej współczująco i pomyślałam, że później będę musiała zamienić z nią słowo.

Zanim wróciliśmy do napiętej wymiany zdań, drzwi otworzyły się z rozmachem. Wkroczyła Vivian. Phil natychmiast zerwał się z krzesła i ustąpił jej miejsca u szczytu stołu. Zapadło milczenie.

Vivian miała pewną niebezpieczną, fascynującą cechę. Przypominała tornado nadciągające gwałtownie na horyzoncie Iowa. Człowiek nie mógł oderwać oczu od tego nieokiełznanego żywiołu, chociaż wiedział, że niesie wielkie kłopoty.

- Witam zespół - powiedziała, łypiąc groźnie okiem. Odrzuciła cieniowane blond włosy na ramię tak zamasyście, że dosłownie usłyszałam świst. Kilku redaktorów z nerwowym uśmiechem zaczęło się wiercić w krzesłach. Zegar na ścianie tykał głośno. Wszyscy wydawali się dziwnie sparaliżowani obecnością szefowej.

W końcu Dawn odzyskała opanowanie.

- Witaj, Vivian! - zawołała. - Mamy dziś sporo do omówienia.

Gdyby ktoś oglądał tę scenę z wyłączonym głosem, a potem został poproszony, żeby zgadł, co właśnie powiedziała Dawn, sądząc jedynie z miny Vivian, mógłby wywnioskować, że pracownica rzuciła swojej chlebodawczyni w twarz przykrą obelgę. Vivian nie odezwała się do Dawn, tylko skrzywiła, jak gdyby poczuła zapach gnijącego mięsa.

Zapadła brzemienna cisza. Dawn wbiła wzrok w notatki.

- Jak zapewne słyszeliście - odezwała się w końcu Vivian, wyraźnie i ostrożnie cedząc słowa - wydawnictwo nalega, żebym dała asystentom podwyżki. Przez godzinę rozmawiałam przez telefon z kadrami, dopytując się,

dlaczego, do cholery, ja mam wypłacać wyższe pensje ze swojego budżetu redakcyjnego, skoro to oni w zeszłym roku dali się wydymać pieprzonym związkom zawodowym. - Podnosiła stopniowo głos, modulując go od wzburzenia do furii. - Najwyraźniej chcą, żebym razem z nimi poszła na dno! Jak zwykle! Ta firma wycycka mnie do ostatniej kropli krwi! W każdym razie, asystenci, dostajecie po sto dolarów miesięcznie podwyżki. Używajcie na całego!

Nikt nie odrywał oczu od stołu, żeby nie wchodzić z nią w kontakt wzrokowy.

- I co? - zdziwiła się Vivian. - Co mi powiecie na temat rozpoczynającego się tygodnia? Proszę, żeby każdy kolejno omówił to, nad czym pracuje.

I wtedy przeżyłam wstrząs. Patrzyłam z niedowierzaniem, jak kolejni profesjonaliści z imponującym dorobkiem bąkają coś pod nosem, odczytują ze spuszczonej głowami własne notatki. Zupełnie jakby cały personel zwiądnął pod groźnym spojrzeniem Vivian.

Tylko jedna kobieta - olśniewająca blondynka z orlim nosem, starannym makijażem, w eleganckim, szytym na miarę czarnym garniturze - z wprawą i opanowaniem przedstawiła swoje sprawozdanie Vivian. Wyglądała na chodzący ideał, począwszy od prostych, kosztownych czółenek, na blad różowych paznokciach skończywszy. Chyba dzieliła nas niewielka różnica wieku. Nie widziałam jej, odkąd Dawn oprowadziła mnie po wydawnictwie, ale liczyłam, że znajdę w niej sprzymierzeńca.

- Udało mi się również przekonać autora, że musi pokryć z własnej zaliczki honorarium murzyna, fotografa i specjalisty od reklamy, mimo że wcześniej obiecaliśmy mu zapłacić - zakończyła swoją wypowiedź kobieta, wyraźnie zadowolona z siebie.

- Bez dwóch zdań, Lulu - mruknęła Vivian rozkojarzonym głosem. Po czym przeniosła uwagę na mnie.

- Claire! - wykrzyknęła radośnie. - Czy wszyscy już poznali Claire?

Zebrani pokiwali głowami, nie odrywając oczu od stołu.

- Witajcie - powiedziałam wesoło. - Bardzo mi miło, że mogę...

- Och, Vivian, zapomniałam wspomnieć, że Universal bardzo interesuje się prawami do sfilmowania *The Stripper Wears Pasties* (*The Stripper Wears Pasties* - Wabiki striptizerki.) - wtrąciła Lulu.

- Potem mi o tym powiesz - warknęła Vivian. - Nie zauważyłaś, że Claire coś mówi?

Szybko wymieniałam kilka z przydzielonych mi tytułów i dorzuciłam do nich dwie książki, do których chciałam się jak najprędzej zabrać. Vivian wysłuchiwała z tak uszczęśliwioną miną, jak gdybym właśnie dokonała rozszczepienia atomu.

- Moje gratulacje, Claire! - zawołała. - Mam nadzieję, że wszyscy przy tym stole nauczą się od ciebie inicjatywy. Pracujesz dopiero od kilku dni, a już ściągasz wspaniałe książki! Tego właśnie oczekuję, ludzie... wystarczy odrobina przedsiębiorczości i cała naprzód!

Po tych słowach zerwała się z fotela i jednym susem wypadła z sali. Kolegium się skończyło, chociaż poznałam po minie Dawn, że zostało jej do omówienia z Vivian jeszcze kilka spraw. Nikt jednak się nie poruszył.

Kiedy znikła z pola widzenia, Lulu spojrzała na mnie.

- Claire, ciesz się, póki jesteś u łask - zadrwiła.

W jej głosie wyczułam prawdziwy jad i tylko westchnęłam cicho.

Nikt nie zauważył tej naszej krótkiej wymiany zdań. Pozostali pracownicy Grant Books wyszli z sali konferencyjnej w milczeniu, nie patrząc w moją stronę.

* * *

- Jak ci leci, mała?

Phil Stern zajrzał do mojego gabinetu. Był pięć albo sześć lat starszy ode mnie, ale worki pod oczami i szpakowate, choć bujne włosy dodawały mu lat.

- Dziękuję, dobrze - powiedziałam z lekkim wahaniem. Nadal nie pozbierałam się po nieoczekiwanym ataku Lulu na kolegium, ale za żadne skarby nie chciałam podsycać napięć w pracy, rozpuszczając język na ten temat.

- Nie przejmuj się Lulu - poradził mi Phil i usiadł na krześle przy moim biurku. - Przez jakiś czas była ulubienicą Vivian. Zajmowała ten gabinet, bo jedną z genialnych strategii kierowniczych Vivian należy przesuwanie w górę i w dół podwładnych, żeby dać nam złudne poczucie awansu i degradacji. Dlatego teraz chodzi z nosem na kwintę. Ale przejdzie jej. Po prostu ma niesamowicie rozbudowany instynkt rywalizacji.

Pokiwałam głową, wciąż nieco stropiona, chociaż wdzięczna Philowi za szczerość.

- Dziękuję. Wiem, że trzeba czasu, żeby poznać kolegów. Może trafiłam na jej zły dzień.

- Obyś miała rację, ale nie licz na to, że pójdzie ci z nią łatwo. Vivian Grant wypełnia Lulu cały świat, toteż pchnęłaby nawet człowieka pod autobus, byle utrzymać swoją dobrą pozycję u szefowej. Poza nią wszyscy tu są milsi, niż się wydają na pierwszy rzut oka. Tyle że w Grant Books jest tak duża rotacja ludzi, że czasem nie warto się zaprzyjaźniać z nowymi kolegami. Wielu członków personelu jest tak samo nowych jak ty, a ci, którzy pracują tu dłużej, są zmęczeni witaniem nowych redaktorów co trzy tygodnie. Tutejsze drzwi obrotowe kręcą się wyjątkowo szybko. Zresztą sama się przekonasz. Bylebyś nie brała sobie tego zbyt do serca. Ludzie, może z wyjątkiem Grahama i Lulu, okażą ci serce,

kiedy się przekonają, że zostaniesz tu na tyle długo, aby warto się było zaprzyjaźnić.

Uśmiechnęłam się.

- Dzięki, Phil. Doceniam twoją pomoc.

- I przyjmij jeszcze drugą radę. - Phil skinął na mnie głową, wychylił się w krzesło i ściszył głos do szeptu. - Jak sobie radzić z Vivian. Na pewno słyszałaś, że to nie jest najbardziej przyjazne miejsce pracy pod słońcem. A ona nie należy do najbardziej przyjaznych zwierzchników. Statystyki przeżycia u nas są wyjątkowo niskie.

- Coś tam słyszałam - potwierdziłam - ale podejrzewam, że dużo w tym przesady.

Phil roześmiał się ponuro.

- Nie bądź taka pewna. Nie chcę cię straszyć, ale wiedz, że większość historii opowiadanych o Vivian, zakrawających na horrory, stanowi raczej złagodzone wersje prawdziwych wydarzeń. Bo jej szaleństwa, za których nierozpowiadanie dyrekcja płaci byłym pracownikom, pozostają tajemnicą firmy. Obwarowaną nakazem sądowym.

- Podasz mi przykłady? - zapytałam, czując ciarki na plecach. Czaszki zalegające w składziku? Ofiary z ludzi składane na gwiazdkowym przyjęciu? Poczułam się jak na koloniach letnich, a Phil grał rolę wychowawcy z latarką pod brodą.

- Teraz nie czas na to i nie miejsce - odpowiedział wymijająco.

- Skoro jest tak źle, jak wytrzymałeś tu cztery lata? . Philowi aż oczy wyszły na wierzch.

- Bo przestrzegałem pięciu żelaznych zasad Grant Books. Wyłożono mi je, kiedy zaczynałem tu pracę, dlatego teraz przekazuję je tobie.

- Czy ty przypadkiem nie studiowałaś aktorstwa, Phil?

- Żebyś wiedziała. W Oberlin! - odpowiedział, szczerze zdziwiony.

- Tak mi się skojarzyło - powiedziałam ze śmiechem. - Dobra, mów, jak brzmią te żelazne zasady Grant Books.

Phil odchrząknął i uniósł palec wskazujący.

- Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie podawaj ani jej, ani nikomu w pracy prywatnego numeru telefonu. Z żadnego powodu. Bo nie dadzą ci chwili spokoju.

- Tak uważasz? - Rano dostałam e - mail od asystentki Vivian właśnie z prośbą o mój numer, ale nie zdążyłam jeszcze odpowiedzieć. - A jeżeli...

Phil pogroził mi palcem, żebym nie kończyła.

- Możesz jej podać numer komórki, ale nie stacjonarnego. Jasno się wyrażam?

- Zrozumiałam.

- Po drugie, nie ufaj Grahamowi, nazywanemu przez asystentów Himmlerem, ani trochę bardziej niż Lulu. Nawet mniej. Całe błoto, którym obrzuca go Vivian, on zwała potem na biednych asystentów. Jego ataki furii obrosły niemal taką samą legendą jak jej. Żaloszny widok. To samo dotyczy całego działu kadr. Pracuje tam banda idiotów. Zdradzą cię bez pardonu, byle zaskarbić sobie odrobinę przychylności Vivian.

- Kumam - powiedziałam stropiona.

- Po trzecie. - Phil sięgnął do kieszeni, wyjął i wręczył mi wizytówkę. - Musisz mieć dobrego terapeutę, i to od zaraz. Ta kobieta od lat zajmuje się pracownikami Grant Books, dlatego zna panujący tu dryl. Jest droga, a nasza polisa ubezpieczeniowa nie obejmuje kosztów terapii, ale kadry to pokryją. Dzieci pani psycholog studiują teraz na koszt Grant Books, ale wierz mi, dyrekcja nie ma wyboru.

- Dzięki, ale naprawdę nie uważam, żebym musiała...

- Wiem, że teraz nie musisz - przerwał mi Phil - ale sama się zorientujesz. Po czwarte, nie twierdzę, że mamy podsłuch

na wszystkich liniach telefonicznych, ale weź sobie do serca moją dobrą radę i na wszelki wypadek wychodź z budynku, kiedy odbywasz rozmowę prywatną.

- Phil, chyba nie chcesz mi powiedzieć...

- I ostatnia, złota zasada - szepnął Phil. - Kiedy Vivian wpada w szal, nigdy, przenigdy nie patrz jej prosto w oczy. Nawet jeżeli topór już spada, uchylaj się.

- Topór? - zapytałam osłupiała.

- Pewno uznasz to za tchórzostwo - odpowiedział - ale kiedy Vivian się pieni, tylko pogorszysz sprawę, jeśli się zaczniesz stawiać. Nie walcz. Nie wystawiaj głowy. Rób uniki.

Zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pokazał się numer wewnętrzny Vivian. Phil i ja spojrzeliśmy na niego.

- O wilku mowa - mruknął Phil i wyszedł.

ROZDZIAŁ PIĄTY BIEGNAĆCA Z WILKAMI

- Ściany! Okno! Asystentka! Coś podobnego! - droczyła się ze mną Bea, kiedy wymieniłam jej listę moich nowych zdobyczy w Grant Books. Wybrałyśmy się jak zawsze w czwartek na obiad do Bilboquet, a ponieważ w moich obu teatrach, miłości i pracy, zaszły takie rewolucyjne zmiany, odkąd podano tatara z łososia, usta mi się nie zamykały.

- Wiem! Czuję się bardzo ważna.

Z tymi słowy wsadziłam sobie zachłannie garść frytek do ust. Znów nie miałam czasu zjeść obiadu w środku dnia, jak zwykle zresztą od dwóch tygodni, odkąd zaczęłam pracować w Grant. Dzisiaj, pominawszy poranną kawę, zdążyłam tylko o wpół do czwartej przełknąć garść drażetek M&M z orzechami, ale na więcej nie mogłam sobie pozwolić.

- I co? Przeżyłaś już jej słynny napad hysterii? Gwizdały ci zszywacze obok uszu?

Bea miała dużo doświadczenia z obłądnie znerwicowanymi klientami, ale i tak doznałaby chyba wstrząsu, słysząc plotki krążące na temat Vivian Grant. Przesłałam jej kilka co bardziej przerażających e - maili od kolegów z P and P.

- Nie poleciał nawet najmniejszy przycisk do papieru - odparłam. Bo nie uznałam za stosowne wspomnieć swojego pierwszego spotkania z Grahamem i Dawn ani kilku drobnych utarczek, których byłam świadkiem. - Bea, zapomniałam ci powiedzieć, że już podpisałam umowy na trzy książki, którymi od miesiący usiłowałam zainteresować P and P. Wystarczył jeden krótki telefon do Vivian, wyjaśniłam jej, w czym rzecz, i od razu pozwoliła mi przystąpić do licytacji! Nie masz pojęcia, jaka to ulga nie musieć pokonywać tylu przeszkód.

- Niesamowite! - ucieszyła się ze mną Bea. - Praca wymarzona dla ciebie! Teraz możesz się skupić na wyszukiwaniu znakomitych tekstów i redagowaniu zamiast na urzędniczej działalności...

- Tak, tyle że teraz muszę poświęcić większość czasu na książki otrzymane w spadku po poprzednich redaktorach. Niektóre są w proszku. Ale kiedy już wyprowadzę je na równe tory, sama stworzę ciekawą listę.

- Moje gratulacje! - Bea uniosła kieliszek i trąciła mój. - Wygląda na to, że podjęłaś słuszną decyzję. Tylko uważaj na siebie, bo musi być choć ziarnko prawdy w szalonych pogłoskach krążących na temat twojej szefowej.

- Niekoniecznie - powiedziałam, nieoczekiwanie przyjmując postawę obronną. - Ludzie chyba wiele łatek przypinają Vivian niesprawiedliwie. Ona chce po prostu zmusić podwładnych do ciężkiej pracy, wymóc na nich kreatywność.

Staje na głowie, żeby wydawnictwo firmowane jej nazwiskiem odniosło sukces, a personel dorównał jej normom.

- Zakładam, że wiesz, co mówisz - powiedziała Bea, kiwając sceptycznie głową. Zabrała się do kurczaka po kajeńsku.

Może zabrzmiało to, jakbym przez cały tydzień popijała Kool - Aid, ale naprawdę było mi trochę żal Vivian. Pominąwszy kilka wyskoków, podziwiałam jej intuicję, entuzjazm, opiekuńczość, pracowitość.

- Uczę się od osoby genialnej - wypaliłam. - Jej mózg działa na takich obrotach, że aż furczy.

- Cieszę się twoim szczęściem, Claire. Widocznie trafiłaś do wymarzonej pracy. A skoro mowa o spełnieniu marzeń, opowiedz o Randallu!

Klasnęła w ręce jak dziecko na widok melby: Randall. Wszystko idealnie się nam układało - bardzo mnie wspierał w

pierwszych tygodniach pracy, dzwonił co wieczór, żeby się dowiedzieć, jak minął mi dzień. Pod koniec pierwszego tygodnia przysłał mi nawet róże do redakcji. W weekend wybraliśmy się na kolejną fantastyczną kolację, tym razem do Le Cirque, po której dostałam jeszcze bardziej fantastyczny pocałunek na dobranoc. Randall zwał mnie nim z nóg. Wybrałam w myślach imiona dla naszych dzieci.

Wczoraj wieczorem mieliśmy czwartą randkę. Zadzwoiłam pięć po ósmej do jego apartamentu, a Randall otworzył mi w rozchełstanej sportowej koszuli i w dżinsach i zaprosił do środka. Spodziewałam się, że ładnie mieszka, ale w moim rozumieniu oznaczało to czystą pościel oraz ani śladu karaluchów lub innego robactwa. Nie byłam przygotowana na przestronne, przeszklone kawalerskie mieszkanie z widokiem na Metropolitan Museum of Art, Central Park, Fifth Avenue i Upper East Side... nie mówiąc o kolekcji sztuki współczesnej na miarę tych widoków. Przyznam, że zupełnie mnie to rozłożyło.

- Bea, w łazience wisi u niego Rothko - wyszeptałam, nadal w szoku. - Dodam, że w jednej z pięciu łazienek, notabene większej od całego mojego mieszkania!

- O to nietrudno, skoro twoje mieszkanie ma dziesięć metrów kwadratowych - wypomniała mi. - I prysznic jest w kuchni.

- No właśnie! - zawołałam. - U mnie w kuchni jest prysznic, a u Randalla nad sedesem wisi Rothko! Daj spokój, Bea, to jakiś obłąd! W dodatku na stałe mieszka u niego kucharka. Ma na imię Svetlana i wygląda jak dziewczyna Bonda! Na przystawkę podał wiadro kawioru, a w dodatku siedzieliśmy przy takim długim, rozkładanym stole jadalnym, wiesz, przy jakim zawsze jedzą w filmach bogate małżeństwa z problemami...

- Nie do wiary! - przerwała mi Bea. - Co ty wygadujesz? Latami jak idiotka usprawiedliwiałaś poważne wady wszystkich swoich sympatii. A teraz chodzisz z najwspanialszym facetem na świecie, tylko nie powtarzaj tego Harry'emu, w którym obie kochałyśmy się platonicznie przez dziesięć lat, a który chyba ma wobec ciebie poważne zamiary, i nagle przeszkadza ci, że jest za bogaty? I że zrobił za dużą karierę?

Rzeczywiście, idiotycznie to zabrzmiało.

- Wcale mi to nie przeszkadza - sprostowałam. - Tylko mnie peszy.

- Oj, wiem - przyznała Bea. - Radzę ci, wrzuć na luz. Przecież tu chodzi o Randalla Coksa. Musisz przewyciężyć swoje speszenie.

Miała rację. Robiłam z siebie pośmiewisko. Skoro wytrzymałam z Jamesem, który spał w brudnej klitce w opuszczonym magazynie na Brooklynie, powinnam móc strawić supermieszkanie Randalla i ekstrawagancką sztukę w łazience. Jest wobec mnie kochany, opiekuńczy, w dodatku świetnie całuje... dlaczego więc zachowuję się jak idiotka?

Wtedy przypomniał mi się pewien bolesny szczegół... Omal nie uciekłam od niego poprzedniego wieczoru! Po obiedzie Randall zaprowadził mnie z powrotem do salonu, gdzie zaczął się do mnie przystawiać. Ale ja się usztywniłam, poczułam się niezręcznie, dlatego rzuciłam kiepską wymówkę, że wcześniej rano jestem umówiona na spotkanie, i prędko wyszłam.

- Ale ze mnie kretynka - jęczałam. - Randall pewnie myśli... zresztą nie mam pojęcia, co myśli. A jeżeli tym durnym zachowaniem przekreśliłam swoje szanse?

- Faceci uwielbiają wyzwania. Może uzna, że niełatwo cię zdobyć, a to tylko zadziała na twoją korzyść?

Boże, oby miała rację. Poczułam wibracje telefonu w torebce. Rozmówca nieznany.

- Odbierz. Może to Randall? - zapiszczała Bea z pełnym otuchy uśmiechem na twarzy.

Odebrałam.

- Claire, tu Vivian. - Zauważyłam, że moja szefowa nie traciła czasu na powitania. Po podaniu swojego imienia natychmiast wyniszczała sprawę, a następnie rzucała: „Oddzwoń”. Może załatwiała telefony bez specjalnego wdzięku, ale za to bardzo skutecznie. - Muszę omówić z tobą kilka projektów na jutro. Masz coś do pisania?

- Cześć, Vivian. - Uniosłam brwi, patrząc na Beę, wyjęłam prędko notes z torby. - Już mam, dawaj.

Dwadzieścia minut później Bea, uśmiechając się z politowaniem, rzuciła kilka banknotów na stół i wyszła. Miałam wyrzuty sumienia, że nie zdążyłam się dowiedzieć, co u niej słyhać, ale i tak nie skupiłabym się teraz na jej życiu. Skoncentrowałam się bez reszty na zapisywaniu projektów Vivian dotyczących książek. Wyrzucała je z siebie z prędkością licytatora prowadzącego aukcję. Rozmawiałyśmy już tego dnia, ale od tamtego telefonu przyszedł jej do głowy tuzin nowych pomysłów, z których połowa miała z całą pewnością szansę powodzenia. Notowałam przez godzinę, przelewając na papier geniusz Vivian. Na szczęście kelnerzy z Bilboquet nie mieli mi za złe, że okupuję stół. Widocznie zadziałał przywilej stałej klientki. Przyniesli mi nawet kieliszek wina.

- Jutro o dziesiątej rano oczekuję sprawozdania na temat tych projektów, żebyśmy mogli natychmiast przystąpić do ich realizacji - zakończyła Vivian przed odłożeniem słuchawki.

O dziesiątej? Przełknęłam ślinę. Jak ja zdążę do dziesiątej rano przejrzeć wszystkie projekty, skontaktować się z

potencjalnymi autorami, dopracować pomysły, które Vivian przedstawiła mi jedynie w zarysie?

Aż mnie coś ścisnęło w dołku, zaraz jednak zebrałam się w sobie. Czas podjąć nowe wyzwanie, pokazać, na co mnie stać. Trochę mnie to wszystko przerastało - i praca, i Randall - ale może po prostu dostałam duże pole do popisu.

* * *

Kiedy nazajutrz o 6.15 rano wjechałam na jedenaste piętro, sądziłam, że wydawnictwo będzie świeciło pustkami. Tymczasem zastałam połowę kolegów przy pracy - mniej więcej trzy godziny wcześniej, niż zwyczajowo zaczynało się w naszej branży. Nic dziwnego, że tak szczupły personel wypuszcza na rynek sto tytułów rocznie, pomyślałam. Drzwi były zamknięte, ale paliły się światła, zza których dochodził łoskot klikania na klawiaturach.

O dziesiątej miałam już za sobą trzy filiżanki kawy i sześć pomysłów Vivian - sześć najlepszych. Bawiła mnie ta praca. Odpowiadało mi kreatywne wyzwanie tworzenia książki od podstaw. W wydawnictwie P and P większość redaktorów podpisywała umowy na książki proponowane im przez agentów, a w oficynie Grant powstawały oryginalne pomysły, zwykle podsuwane przez Vivian, zdecydowanie najbardziej płodną osobę z naszego grona, które realizowaliśmy, znajdując im najlepszego autora i murzyna. Niezwykle emocjonował mnie dobór właściwej koncepcji i ekipy, a następnie odpowiedniego podejścia... ślęczałam nad tym wiele godzin.

Jednakże z pewną tremą dzwoniłam o dziesiątej rano do Vivian ze sprawozdaniem, bo przebrnęłam za ledwie przez połowę pomysłów, które wyrecytowała mi wieczorem. Jeżeli utrzymam to mordercze tempo, do południa powinnam uporać się ze wszystkim. Miałam nadzieję, że ją to zadowoli. Uznałam, że lepiej dać jej część pracy, niż zawalić termin.

- Tu gabinet Vivian Grant - odebrał Gregory, który z głosu przypominał Milтона, tyle że chorego na zapalenie zatok.

- Cześć, Gregory. Jest Vivian? Miałam...

- Jest w Los Angeles. Zapisuję telefony na dwunastą w południe - odparł smętnie.

W Los Angeles? Nie zdawałam sobie sprawy, że Vivian tyle czasu spędza na Zachodnim Wybrzeżu, kolejna z wielu różnic, które dystansowały ją od innych wydawców. Wciąż załatwiała adaptacje naszych książek w innych mediach, promocje w programach telewizyjnych, aktywnie rozszerzała sprzedaż praw do kinematografii.

- W takim razie porozmawiam z nią o dwunastej. Dziękuję, Gregory.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzał David, mój nowy asystent. Od pierwszej chwili przypadł mi do gustu. Inteligentny, nadzwyczaj kompetentny, pracowity chłopak, świeżo po dyplomie z Northwestern. Kilka tygodni plątał się po Grant Books po nagłym odejściu redaktora, który go zatrudnił. Od tamtej pory współpracował z trzema różnymi redaktorami, którzy dosłownie zwalili na niego pilne prace. Najwyraźniej był wdzięczny losowi, że ma teraz jednego szefa, podobnie jak ja, że mam do pomocy kogoś, kto zna się trochę na rzeczy. Chociaż dziwnie się czułam, mając asystenta, bo przez tyle lat sama pracowałam na tym stanowisku. David bardzo mi pomagał, służył inteligencją i skrupulatnością, dlatego wiedziałam, że szybko przyzwyczaję się do nowego układu.

- Właśnie przyszły róże dla ciebie.

Uśmiechnął się i otworzył szerzej drzwi, żebym zobaczyła ogromny bukiet z trzech tuzinów długich czerwonych róż. Podbiegłam, przeczytałam liścik i aż mnie przeszedł dreszcz.

Claire,

niech te kwiaty rozweselą Ci dzień. Bo ja na samą myśl o Tobie już się rozweselałam. Rozjaśniłaś mi ostatnie tygodnie. Nie mogę się dociekać, kiedy spędzimy razem więcej czasu.

Randall

- Wielbiciel? - spytał David.

- Można tak powiedzieć - odparłam z uśmiechem. Najchętniej fiknęłabym koziołka ze szczęścia! Poczułam ulgę, że Randall nie ma mi za złe powściągliwości podczas tamtego wieczoru. W każdym razie chciał mi dać kolejną szansę. Nie mogłam się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Bei.

- Czym mogę ci dziś służyć? - zapytał David, poprawiając krawat. Przedstawiłam mu dwa pomysły Vivian, do których powinien zebrać materiały, wyjaśniłam, jakich informacji oczekuję. Pokiwał głową, zapisał kilka szczegółów, które zanotowałam poprzedniego dnia wieczorem. - Za godzinę będę coś miał - oznajmił z godną pozazdroszczenia pewnością siebie. Co za ulga, że mogłam komuś przekazać część pracy. Miałam nadzieję, że w dwie godziny zdążę się uporać sama z pozostałymi czterema projektami.

Najpierw jednak zadzwoniłam do biura Randalla, żeby mu podziękować. Odebrała Deirdre i spytała, czy mam czas na kolację w sobotę wieczorem. Skwapliwie przyjął zaproszenie. Zapowiedziała, że Randall zadzwoni do mnie po spotkaniu.

Rozradowana wróciłam do pracy, chociaż co chwilę przerywałam, żeby powąchać róże i przeczytać liścik po raz nie wiadomo który.

Okolo wpół do pierwszej, nie doczekawszy się telefonu od Vivian, poprosiłam Davida, żeby zajrzał do Gregory'ego. Zaraz wrócił, drapiąc się w głowę.

- Już go nie ma - powiedział. A ścisząc głos, dodał: - Przeczynałem, że na to się zanoszę. Wczoraj Vivian zdenerwowała się na niego, kiedy nie znalazł jej w

dwadzieścia minut prywatnego odrzutowca do Los Angeles. Wygarnęła mu bez pardonu, to rozwścieczyło go nie na żarty. Odszedł godzinę temu, ale miał chociaż tyle przyzwoitości, żeby zawiadomić kadry.

Nagła rezygnacja z pracy w środku dnia? W głowie zadudniło mi echo horrorów, jakimi raczyli mnie dawni koledzy.

- Rozmawiałem z Johnnym, naszym nowym stażystą, który twierdzi, że Vivian przez cały dzień ma spotkania - ciągnął David, który chyba gładko przełknął tę zmianę. - Podejrzewam, że szefowa zadzwoni dopiero około ósmej wieczorem naszego czasu.

- Nie mogę uwierzyć, że Gregory tak po prostu odszedł, i to bez uprzedzenia.

David zamknął drzwi.

- Zwróć uwagę, Claire, że Gregory wytrzymał tu cały tydzień, a to niewiele poniżej średniej - powiedział szeptem. - Mało kto utrzymuje się tu dłużej niż dwa tygodnie. Albo Vivian wywala ludzi, albo sami uciekają. Zresztą jedno nie wyklucza drugiego. Pracuję tu zaledwie dwa miesiące, a w tym czasie już przewinęło się pięcioro asystentów.

- Poważnie? - spytałam.

Pokiwał głową i sięgnął po mój dzwoniący telefon.

- Odbiorę - powiedziałam i podniosłam słuchawkę. - Claire Truman.

- Tu Vivian - przedstawiła się dobitnie. Kartki z notatkami na temat projektów, których opracowanie mi zleciła, miałam rozrzucone po całym biurku. Zbierałam je teraz, a Vivian wydawała kolejne polecenia. - Przyszło mi do głowy kilka pomysłów, które musisz dla mnie sprawdzić. Po pierwsze, trzeba odnaleźć dziewczynę, która wyszła za zabójcę swojej siostry. Czytałaś, że wzięła ślub wczoraj wieczorem w jego celi? Artykuł na ten temat ukazał się w

„The Star”, poproś asystenta, żeby załatwił ci prenumeratę. Zadzwoń do niej i spytaj, czy zgodzi się na książkę, zaproponuj dwieście pięćdziesiąt. Sporządź mi listę pisarzy, którzy nadawaliby się na murzynów, bo książka musi trafić na półki w dwa miesiące, zanim dziewczyna zniknie z nagłówków. Pogadaj z Dawn na temat terminu, ale nie daj sobie wmówić, że to za mało czasu. Mam już dość jej jęczenia, bo dla niej zawsze jest za mało czasu! Po drugie, musimy zerwać umowę na książkę z szefem kuchni Mariem. Wiem, że podpisaliśmy, ale zorientowałam się, że to drugorzędny kucharzyna. Czy ktoś, do cholery, w ogóle o nim słyszał? Julie wystąpiła z kretyńską inicjatywą, żeby zaprosić go do współpracy, ale odeszła, dlatego porozum się z działem prawnym, jak się z tej umowy wyplątać. Nie musimy wywalać tyle kasy na publikowanie mistrza patelni dla ubogich.

Aż mi się coś przewracało w środku. Przejęłam książki, nad którymi pracowała Julie, w tym kucharską pióra legendarnego restauratora ze słynnej włoskiej Arthur Avenue. Poprzedniego dnia zadzwoniłam do szefa kuchni Maria, żeby się przedstawić i zapewnić, jak bardzo czekamy na jego książkę.

- Sympatyczna z pani osóbką - pochwalił mnie na koniec rozmowy. - Musi pani wkrótce wpaść do mojej restauracji! I zaprosić przyjaciół! Oczywiście na koszt firmy!

Cholera. Zerwanie umowy wcale nie będzie miłe. Nigdy przedtem nie musiałam przekazywać tak złej informacji autorowi. Co gorsza, wiedziałam, że Mario zapłacił w dobrej wierze fotografowi, czekając na pierwszą ratę zaliczki. Miałam okropne wyrzuty sumienia, że go wystawiliśmy... może po wyjaśnieniu sytuacji uda mi się wydebić od Vivian forszę przynajmniej na pokrycie dotychczasowych wydatków Maria. Wiedziałam, że jej się to nie spodoba, ale nie wypadało

postąpić inaczej. Obliczę, jakie wydatki musiał ponieść do tej pory, i przedstawię jej później kosztorys.

- Poza tym mam już dość wysłuchiwania, jakie bzdury opowiada co wieczór w telewizji Fox ten prawicowiec Samuel Sloane. Co za debil! Wiem, że wydaliśmy jego książki, ale to skończony kretyn. Nienawidzę go. Nadęty, obrzydliwy, sprzedajny matoł z parciem na szkło. Zdobądź mi listę autorów, którzy mogliby go zniszczyć. Chcę najdalej za miesiąc widzieć taką książkę u siebie na biurku...

Vivian dorzuciła mi jeszcze pięć projektów, a następnie oznajmiła, że właśnie przyjechała do „pracowni” i że zadzwoni za kilka godzin po sprawozdanie. Zorientowałam się, że słuchając jej, wstrzymałam oddech, dlatego teraz głęboko wciągnęłam powietrze. Kolejne zlecenia? Jeszcze nie miałam kiedy opracować poprzednich projektów ani przedstawić Vivian rezultatów pracy.

A karuzela dopiero się rozkręcała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY CZASY, W KTÓRYCH PRZYSZŁO NAM ŻYĆ

Spóźnię się!

Pędziłam na stację metra, przy każdym kroku wylewając mrożoną kawę z perlącego się plastikowego kubka. Phil prosił mnie, żebym spotkała się wcześniej rano z naszą potencjalną nową autorką i jej agentką, ale zasnęłam. Chyba po części dlatego, że do pierwszej w nocy siedziałam w pracy. Kiedy Randall wyjeżdżał w sprawach służbowych, w tym tygodniu do Tokio, korzystając z okazji, zostawałam trochę dłużej w wydawnictwie.

Otworzyłam oczy dopiero o siódmej, dobre półtorej godziny po budziku. Na szczęście, gdyby poranne czynności stanowiły konkurencję olimpijską, wróciłabym do domu ze złotym medalem. W razie potrzeby umiałam skrócić poranny obrządek do niecałych pięciu minut. Wskakiwałam pod prysznic, w locie przeczesywałam włosy; krem nawilżający, dezodorant, tusz do rzęs, odrobina perfum i typowy strój do pracy - nieśmiertelna czerń. Dzisiaj, ze względu na sierpniowy upał, włożyłam czarną spódnicę i lekką bluzkę z krótkimi rękawami. Już kilka lat wcześniej zrezygnowałam z kolorów - jedna z pierwszych oznak, że stałam się prawdziwą mieszkanką Nowego Jorku - i dobierałam garderobę, która nawet ślepemu w dziesięć sekund skojarzy się ze strojem odpowiednim do pracy.

Pociągnęłam jeszcze jeden łyk kawy, która i tak prawie cała pociekła mi po ręce, i zeszłam na stację metra.

Pomyśl o czymś przyjemnym, przykazałam sobie w duchu, kiedy wcisnęłam się do zatłoczonego pociągu jadącego w kierunku przedmieść, ale niestety owionął mnie cierpki odór mężczyzny obok. Kiedy zatrzymaliśmy się przy 51st Street, wyszłam razem z tłumem na lepki, cuchnący peron. Idąc na górę po schodach, czułam znajomą rozpacz kolejnej owcy,

która wlecze się do pracy noga za nogą wraz z całym stadem. Fala ludzi idących chodnikiem posuwała się dosłownie po centymetrze naprzód.

Co ich wstrzymywało? Dwa kroki wyżej zobaczyłam na własne oczy. Stał tam dorosły mężczyzna w niemowlęcym czepku z plakatami reklamowymi z przodu i na plecach i rozdawał ulotki każdemu, komu zdołał je wepchnąć. Ogarnęła mnie tak świerzbująca nienawiść, że dłonie same zacisnęły mi się w pięści.

- Proszę państwa, zapraszam na doroczną wyprzedaż w Buy Buy Baby - grzmiał jego głos po schodach. - Wyprzedajemy cały asortyment, do ostatniego artykułu! Ruchome zabawki, ubranka dziecięce, pieluchy w dużych paczkach. Szanowni klienci, nie możecie przegapić tak wyjątkowej okazji! Obniżki o sześćdziesiąt procent.

Już prawie byłam na ulicy. Jeszcze kilka stopni.

- Nigdy nie wiecie, kiedy niespodziewanie zawita do was bocian! - wołał naganiacz.

Starsza pani obok zrobiła na tę sugestię oburzoną minę. Mężczyzna z drugiej strony - staroświecki, o wyglądzie adwokata, w granatowym garniturze - prowadził ze sobą na głos zagorzałą debatę. Bez przewodów, bez słuchawek w uszach. Ostatnio zauważyłam, że coraz częściej obywatele Nowego Jorku, na pozór zdrowi na umyśle, idąc ulicą, mówią bez skrępowania do siebie. Najwyraźniej przez te pięć lat, które tu spędziłam, stygmat wariata bardzo się zdewaluował.

Wyszłam na świeże powietrze... umownie świeże, bo w istocie pełne trujących spalin i zwałającego z nóg odoru bijącego od handlarza, który piekł już na ulicy pikantne mięso (nigdy nie podeszłam na tyle blisko, żeby zbadać, co to za potrawa).

- Claire... Claire?

Zdziwiłam się, że ktoś woła mnie po imieniu. Rozejrzałam się, ale w ponurej masie ludzi nie dostrzegłam znajomej twarzy.

O Boże, wołał mnie ten przerośnięty bobas!

Szedł w moją stronę, roztrącając tłum. Przestraszyłam się, że wdepnęłam w epizod rodem z Alfego McBeala, ale kiedy niemowlak podszedł, dostrzegłam znajome rysy. Tyle że nie mogłam sobie przypomnieć, skąd go znam. I co mu strzeliło do głowy, żeby zaczepiać dawną znajomą, kiedy występuje w tak kretyńskim przebraniu? Zarumieniłam się za niego.

- Claire Truman? - zapytał. - Jestem Luke, kuzyn Jacksona Mayville'a. Poznaliśmy się...

- Jasne, Luke! - Od razu rozjaśniło mi się w głowie.

Luke był kuzynem Jacksona, przymierającym głodem artystą, który odmawiał wszelkiej pomocy od rodziców i klepał biedę jako muzyk... a może dramaturg? W każdym razie Jackson po prostu go uwielbiał. Często słyszałam o Luke'u, ale spotkałam go tylko raz. - Miło cię widzieć! - powiedziałam, nie odrywając oczu od jego twarzy, żeby nie peszyć go z powodu przebrania. - Co u ciebie?

- Świetnie, to znaczy coraz gorzej, odkąd spotkaliśmy się na siedemdziesiątce wuja Jacka - odparł Luke ze szczerym śmiechem. - Doszło do tego, że czuję wdzięczność wobec losu, jeśli pozwala mi zająć stanowisko w sprawie pieluch dla dorosłych.

Roześmiałam się. Trzeba przyznać, że facet - niezależnie od idiotycznego wyglądu - jest pewny siebie. Najwyraźniej udzielił mu się urok Mayville'ów. I nawet wydał mi się dość przystojny, dziką urodą Marka Ruffalo, jeżeli przymknąć oczy na czepek. Co, przyznam, wcale nie było takie łatwe.

- Wiesz co? Kończę na dzisiaj pracę. Może skoczylibyśmy na kawę? - zapytał, próbując delikatnie wyciągnąć mnie z fali przechodniów.

- Niestety, nie mogę - powiedziałam, wymawiając się porannym spotkaniem, na które biegłam, i tak już spóźniona. I starałam się nie patrzeć na ogromny gumowy smoczek, który wisiał Luke'owi, niczym albatros, na szyi.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę. Okazało się, że Luke miał się dla chleba różnych dziwnych zajęć, kiedy robił dyplom z twórczego pisania na Columbii, i że teraz prawie kończy pierwszą powieść.

- Kiedy skończysz, chętnie przeczytam - zaproponowałam, szukając wizytówki. - Pracuję jako redaktorka w Grant Books. Pewno słyszałeś, że to wydawnictwo bardzo się różni od P and P, ale ja zawsze szukam ciekawej prozy.

- Wspaniale! Bardzo bym się cieszył - powiedział. Uściskał mnie (trochę niezręcznie ze względu na plansze reklamowe) i rozeszliśmy się, każde w swoją stronę.

- Pozdrów ode mnie Jacksona! - zawołałam przez ramię.

Jackson rozpoczął nowe życie w Wirginii. Odkąd przeszłam do Grant Books, rozmawialiśmy kilka razy, ale ostatnio byłam tak zajęta, że nie miałam kiedy do niego oddzwonić.

Luke obiecał, że przekaże pozdrowienia. A ja pobiegłam do pracy.

* * *

- Ten dom naprawdę by się ożywił - szczebiotała moja mama, a ja trzymałam słuchawkę między ramieniem a uchem, żeby mieć obie ręce wolne do przeglądania nowych spraw do załatwienia - gdyby dodać cytrynowej żółci, różu petunii, akwamarynowego błękitu, ciemnego ametystu, intensywnej fuksji...

Głośny łoskot słuchawki, która spadła mi na biurko. Nadal słyszałam głos mamy, wyliczającej kolory swojej tęczy, tak zaabsorbowanej, że najwyraźniej nie usłyszała huku (kiedy się

tak nakręci, jej zazwyczaj wysoki poziom percepcji gwałtownie spada).

Mama planowała to i owo odświeżyć. Zostało jeszcze kilka miesięcy do corocznego przyjęcia na cześć taty, ale mama już szykowała dom. Przykładała, podobnie jak ja, wielką wagę do tego przyjęcia, dlatego wiedziałam, że zadba o wszystko aż do ostatniego szczegółu.

Ustanowiłyśmy tę tradycję pięć lat temu. W styczniową sobotę przypadającą najbliżej urodzin taty otwieraliśmy dom dla wszystkich krewnych i przyjaciół, a także sąsiadów, którzy zechcą wpaść. Gromadziliśmy się, żeby coś zjeść i wypić, a przy tym recytować ulubione wiersze. W zeszłym roku zebrałyśmy tyle pieniędzy, że ufundowałyśmy stypendium uniwersyteckie imienia taty. Impreza, która zaczęła się od kilkunastu osób zaproszonych do naszego salonu, szybko rozrosła się do popularnego wydarzenia na całej uczelni. W tym roku mama spodziewała się ponad dwustu osób.

- Uważasz, że kuchnia będzie lepiej wyglądała w miętowej zieleni czy pomidorowej czerwieni? - spytała.

- Ja ci radzę zielen. A co mnie zostanie do roboty? Mam się zająć menu i firmami dostarczającymi jedzenie? A może zwrócić się do Prairie Lights z pytaniem, czy podarują nam jakieś książki na loterię?

Prairie Lights to niezależna księgarnia w naszym mieście. Co roku w moje urodziny tata zabierał mnie do niej - znajdował się tam jeden z najlepszych dziecięcych kącików czytelniczych w kraju - żebym wybrała sobie pięć nowych książek. Zawsze hojnie wspierali nasze przyjęcie poetyckie na cześć taty.

- Bardzo byś mi pomogła, kochanie, ale czy na pewno masz na to czas? - zapytała z przejęciem mama. - Właśnie zmieniałaś pracę. Może w tym roku zostaw wszystko mnie?

Niechętnie przyznałam jej rację. Dopiero od miesiąca pracowałam w Grant, a moja lista spraw do załatwienia rosła w zastraszającym tempie. Tylko w ostatnim tygodniu poproszono mnie o zajęcie się pięcioma nowymi tytułami, a wszystkie przejęłam w spadku po redaktorce, która zdaniem Vivian była „szurniętą babą nieumiejącą sprostać wymogom naszej pracy”. Nie byłam pewna co do trafności diagnozy Vivian, ale tak czy owak nowe tytuły spiętrzyły mi się na biurku.

Chciałam się jednak przyłożyć do organizacji przyjęcia na cześć taty. Jemu przecież nigdy praca nie przeszkodziła w pomocy przy moim odrabianiu lekcji albo przyjsciu na mój występ taneczny, mecz piłki nożnej czy wieczorne tulenie do snu. Muszę wygospodarować czas.

- Dobrze, kochanie - zgodziła się z ociąganiem mama - ale daj znać, gdyby to miało kolidować z twoją pracą. Nie pozwól się zaorać na śmierć.

- Obiecuję - przyrzekłam, głaszcząc się po burczącym brzuchu. Outlook znów wrzucił mi nowy e - mail. Od razu poznałam, że jest od Vivian. Pisała swoją charakterystyczną szesnastopunktową czcionką, przez co każdy list od niej brzmiał jak krzyk. - Poczekaj, mamó, oddzwonię później albo jutro, dobrze? Jeszcze nie jadłam obiadu, umieram z głodu...

- Jeszcze nie jadłaś? Claire, dochodzi czwarta! Wiem, że ta nowa praca jest stresująca, kochanie, ale proszę cię, dbaj o siebie.

- Wiem, mamó, będę dbała.

- Bea twierdzi, że schudłaś.

Wrrr! Nie znosiłam, kiedy Bea dolewała oliwy do ognia.

- Mamó, nic mi nie jest... przyzwyczajam się do nowego tempa.

- Powiedziała mi też, że przez cały tydzień ślęczałaś przy pracy jeszcze po północy.

Beatrice często rozmawiała z mamą. Chyba gadały ze sobą częściej niż ze mną, zwłaszcza odkąd przeniosłam się do Grant Books. Cieszyła mnie ich bliskość, ale nie podobało mi się, że Bea opowiadała mamie szczegóły z mojego życia, które przyprawiły ją o bezsenność.

- Nie przesadzaj, mamó. Po prostu muszę przywyknąć do nowego tempa pracy.

- No dobrze. Tylko nie pozwól sobie wejść na głowę. Bea twierdzi, że Vivian...

- Wcale nie wchodzi mi na głowę - przerwałam. - Mnóstwo się od niej uczę. To dla mnie życiowa szansa! Nie rozumiem, dlaczego tylko ja ją doceniam...

- Dobrze, wiem, przepraszam - powiedziała mama z westchnieniem.

- Zadzwoń za kilka dni. Kocham cię, mamó. Czułam się głupio, że tak ucinam rozmowę, ale miałam z głodu mroczki przed oczami. Zerknęłam w locie na e - mail od Vivian - sprawa mogła poczekać dziesięć minut - i złapałam portfel. Wzywał mnie Burger Heaven, istny raj dla głodomorów po drugiej stronie ulicy.

Nie uszłam jednak daleko, bo otworzyły się drzwi mojego gabinetu.

- Witaj, śliczna, seksowna mamasita! - wykrzyknęła jedyna i неповtarzalna Candace Masters we własnej osobie, kiedy wpadła rozszczebiotana na kilkunastocentymetrowych szpilkach do mojego gabinetu.

Candace, jedna z moich nowych autorek, w latach osiemdziesiątych okrzyknięta międzynarodową supermodelką, szalała po najmodniejszych knajpach od Studia 54 po Bungalów 8, prowadziła ściśle określoną strategię randkową ograniczającą się „tylko do miliarderów”, walczyła z uzależnieniem od wszystkich używek na świecie, poszła pod nóż więcej razy, niż mogłaby zliczyć, miała na swoim koncie

kilka małżeństw, kilkoro dzieci, a w trakcie wysmażyła na temat swojego życia kilka niezwykle poczytnych bestsellerów. Nadal olśniewała urodą, chociaż wskutek regularnych wizyt u doktora 90210 zaczęła pomалу przypominać figurę woskową z gabinetu Madame Tussaud. A sądząc po jej niesłychanej żarliwości i żywotności, można by podejrzewać, że raczej nie usunęła wszystkich składników chemicznych z diety.

- Witaj, Candace! Jak leci? - przywitałam ją, ubolewając, że nikt mnie wcześniej nie uprzedził o jej wizycie. W korytarzu stał za nią David i wzruszał przepaszająco ramionami, ale wina nie leżała po jego stronie. Powstrzymanie Candace przed wtargnięciem do mojego gabinetu można by porównać do stawienia czoła szarżującemu słoniowi.

- Leci, leci, złotko - odparła, przeczesując palcami sterczące platynowe włosy. - Co sądzisz o mojej nowej micromini? To Gucci, złotko. Plus trzy inne drobiazgi do kompletu. - Z wdziękiem spikerki telewizyjnej wskazała pantofle, torbę, spódnicę. Następnie sięgnęła pod spódnicę i wyciągnęła skórzany rzemyk stringów. Dla takiego widoku kilka pokoleń mężczyzn z całej Ameryki ustawiłoby się w kolejce, ale ja poczułam się niezręcznie. - Też od Gucciego - pochwaliła się.

- Bardzo ładny! - przyznałam.

- Myślałam nad tematem swojej następnej książki! - pisnęła i schyliła się nade mną, żeby mi dmuchnąć w powietrzu dwa całusy. - Poczekaj, lalka, zanim zapomnę... przyniosłam ci mały drobiażdżek.

Wyjęła z torby zwinięte w kulkę czerwone koronkowe stringi i rzuciła je figlarnie w moją stronę.

Podziękowałam, ale nie podniosłam. Zachodziłam w głowę, czy aby na pewno są czyste. Czy może zdjęła je z siebie poprzedniego wieczoru i wrzuciła do torby.

- Niech ci się dobrze noszą, lalka! - Cmoknęła jeszcze raz głośno i podeszła do regałów, z których zaczęła wyciągać dziesiątki książek wydanych przez Grant Books, a następnie wrzucać sobie do olbrzymiej torby zakupowej Chanel. - Lubię się tu przy okazji obłowić - wyjaśniła, przeczesując kolejno wszystkie półki.

Już wcześniej Phil uprzedzał mnie, że miewa takie napady kleptomanii i kradnie książki. Pewnego razu przyprowadziła do wydawnictwa czworo asystentów, żeby pomogli jej wynieść łupy. Phil był przekonany, że sprzedaje je na eBay.

- Ale wracając do mojej książki - powiedziała w końcu, podając ogromną torbę zakupową wielkości kubła na śmieci zakłopotanej młodej asystentce, która zjawiała się w drzwiach. - Chcę opisać swoje poszukiwania właściwego mężczyzny, a także wszystkich zboczeńców, łajdaków i bydlaków, napotkanych po drodze. Jak choćby ten facet, z którym widywałam się zeszłego lata w Hamptons. Miał fortunę ulokowaną w tekstyliach, jeździł wielkim czerwonym hummerem, biesiadował z rozmachem w Gin Lane, w Jet East traktowano go jak VIP - a. Wyglądał mi na wymarzoną partię. Aż tu pewnej nocy, kiedy zdjął koszulę przy świetle, zobaczyłam, że ma na całym ciele wytatuowane waginy! Wyobrażasz sobie? Wariat! No więc byłaby to książka o czerwonych światełkach i facetach, którzy je zapalają. I jak? Brzmi dobrze?

Książka o złych facetach i odważnym seksie? Vivian od razu się na nią rzuci. Niejeden agent zwierzał mi się, że wystarczy wysłać Vivian ofertę książki o uciśnionej kobiecie i facecie ponoszącym winę, a na sto procent wesprze takiego autora. A jeśli autor jeszcze dorzuci szalony seks, mamy jej ulubioną mieszankę.

- Nieźle, Candace - pochwaliłam. - Może zacznij spisywać konkretne historie, które chciałabyś uwzględnić.

Zależy nam na pikantnych szczegółach, których nie umieściłaś w poprzednich książkach. I przyślij do mnie asystenta z listą. To będzie nasz punkt wyjścia.

- Supcio, lalka. Kendra! - Asystentka, w całej gotowości, wpadła znów do pokoju. - Weź moje rzeczy. Czy szofer czeka na dole?

- Tak, Candace, na Fifty - fourth Street.

- No to biegnij. Jeszcze tylko wpadnę na moment przywitać się z Philem i zaraz wychodzę. Dzięki, Claire. Mam nadzieję, że utrzymasz się tu przez chwilę.

Candace puściła do mnie oko, posłała jeszcze dwa całusy i odpłynęła korytarzem do gabinetu Phila.

Zdjęłam ostrożnie stringi z biurka i wyrzuciłam do śmieci. Zadzwoił telefon.

- Jest szansa, że wyrwiesz się o sensownej porze z pracy, żeby wpaść na jogę? - zapytała Bea. - W Om mają zajęcia, które zaczynają się o ósmej. Dosłownie o krok od twojego wydawnictwa, a chyba nieźle by ci zrobiło, gdybyś się trochę rozciągnęła. Potem mogłybyśmy coś przekąsić. Tym bardziej że zaważyłaś ostatnio nasze dwa czwartkowe obiady.

W tamtej chwili joga wydała mi się torturą. Energii miałam na minusie. Ale może kiedy coś zjem, ten pomysł zabrzmiał kusząco. Umówiłam się z Beą. Burger Heaven. Muszę się wyrwać.

- Wracam o piątej! - krzyknęłam do Davida przez ramię, skracając za róg do windy w tym samym czasie co Lulu. Skrzywiła się. Jasna cholera! Teraz będziemy musiały udawać komitwę przez jedenaście kondygnacji.

Z mojej strony to będzie bez wątpienia gra. Lulu od początku podważała moją pozycję. Na kolegiach redakcyjnych bombardowała zaciekłe każde moje stwierdzenie. Jeśli chwaliłam ofertę jako interesującą, tłumiała ziewnięcie. Jeżeli mówiłam, że nigdy nie czytałam gorszej chały, pytała

uprzejmie, czy nie dałabym jej egzemplarza. Niby dla wyrobienia sobie własnego zdania.

Niech to licha, zacisnę zęby i zrobię pierwszy krok, pomyślałam, kiedy obie w milczeniu weszłyśmy do windy.

- Cześć, Lulu. Co słyszeć? Masz piękną bluzkę. Lulu nacisnęła guzik parteru i wpatrywała się przed siebie.

- Claire - wycodziła niskim głosem.

I tyle. Żadnych przyjacielskich pogawędek w drodze na dół, żadnego słowa powitania. Tylko moje imię. Potem już ani jeden dźwięk nie dobył się z jej idealnie umalowanych ust.

A zresztą! Kto by się przejmował? Minięcie każdej kondygnacji trwało wieczność, ale w końcu zjechałyśmy na parter i złote drzwi otworzyły się, uwalniając nas z tej klatki. Pierwsza wyszła oczywiście Lulu. Ze szklanym uśmiechem na twarzy przemierzyła recepcję, pomachała palcami ochroniarzowi, jak gdyby nie była największą zdzirą na świecie.

Na szczęście z całą pewnością nie szła do Burger Heaven. Według Phila zamawiała jedynie sałatki z baru ze zdrową żywnością na naszej ulicy. Nazywał go dla równowagi Tofu Hell, czyli Piekłem Tofu. Jeżeli o mnie chodzi, najlepiej gdyby Lulu spłonęła w nim żywcem.

* * *

Bea i ja leżałyśmy na plecach i czekałyśmy na początek zajęć. Sala wypełniała się powoli, ale przy mojej macie nadal były wolne miejsca. Zamknęłam na chwilę oczy, starając się odprężyć po nerwowym dniu. Wszystkie drobne powody do irytacji muszą iść w zapomnienie. Dać spokój obłudzie przymilnej kierowniczkii Alexy Hanley, która mówi do mnie „pysiaczku”. Machnąć ręką na denerwujący telefon od agenta, który upominał się o ratę zaliczki należną zenująco dawno temu. Książkę już opublikowaliśmy, ale Vivian bezczelnie nie przyjmowała do wiadomości, że praca została wykonana.

„Nienawidzę tej książki”, tłumaczyła, jak gdyby stanowiło to wystarczający powód, żeby nie płacić autorowi. Wyprzeć z pamięci twarz zadowolonej z siebie Lulu w windzie.

Kiedy otworzyłam oczy, elegancka blondyna, zadbana aż po idealny francuski pedicure, rozkładała wielowarstwową matę z emblematem firmy Louis Vuitton. Dopiero po chwili poznałam tę kobietę.

Lulu. Nawet jej imię brzmiało nienaturalnie wymuskanie.

Rozłożyła matę niecałe pół metra ode mnie. Co mi pozostało? Znowu silić się na uprzejmość? Nie mogłam przecież udawać, że jej nie widzę, zresztą nie chciałam się zniżać do jej infantylizmu.

- Cześć, Lulu! - szepnęłam.

- A, witaj - odpowiedziała oziębło.

Następnie zrobiła skłon do przodu, opierając czoło między kolanami. Jak na sztywną, spiętą dziewczynę, która chodziła, jakby kij połknęła, Lulu okazała się zdumiewająco gibka.

- Proszę usiąść w wygodnej pozycji przed matami - polecił instruktor.

W dalszym ciągu zajęć Lulu wykonywała nienagannie wszystkie pozycje. Zauważyłam delikatne kropelki potu na jej czole, lecz ani jedna nie kapnęła na ziemię.

Tymczasem ja stękałam jak Maria Sharapova na korcie, a moja zlana potem mata zamieniła się w ślizgawkę. Po dwudziestu minutach, kiedy stawałam na czworakach, ręce i nogi ślizgały mi się jak na rolkach. Pot spływał mi strugami po głowie. Podkoszulek i szorty wyglądały tak, jakby zostały na sznurze podczas ulewnego deszczu. Kiedy zajęcia wreszcie się skończyły, osuszyłam czoło jedynym suchym skrawkiem podkoszulka. Nawet Bea zrobiła zdziwioną minę.

Zwinęłam matę i odwróciłam się do Lulu, zdecydowana raz na zawsze zawrzeć z nią sojusz. Skoro tyle czasu

oczyszczałyśmy razem czakry, może bardziej się na mnie otworzy.

- Niezła jesteś, Lulu - pochwaliłam. - Od dawna ćwiczysz jogę?

Nie odezwała się, toteż przez chwilę zastanawiałam się, czy moje słowa nie zawisną w powietrzu tak samo jak wcześniej w windzie. Wytrzeszczyła tylko na mnie oczy. W końcu postanowiła się jednak odezwać, ciskając we mnie słowami, jakby brzydziła się nimi, podobnie jak mną.

- Jogi się nie ćwiczysz, Claire, jogę się uprawia. I nie wszystko sprowadza się wyłącznie do rywalizacji - warknęła, podciągając sobie ramię torby na ramieniu. Z tymi słowami wyszła. Moja próba zawarcia sojuszu spełzła na niczym.

- Witaj, kochanie. Właśnie wylądowałem. Zdażyłabyś wpaść do mnie za godzinę? - spytał Randall.

- Jasne - rzuciłam krótko, bo uznałam, że Bea pozwoli mi zrezygnować z obiadu. Obliczyłam w duchu, że zdążę wrócić do siebie (kwadrans), wziąć szybki prysznic (pięć minut), ubrać się (kwadrans, a ponieważ spotykam się z Randalle, muszę doliczyć cztery minuty na wybór odpowiedniej bielizny) i pobiec prosto do niego (dwadzieścia minut). Nie widziałam go od kilku dni - pracował w Tokio nad jakimś dużym kontraktem, dlatego nie kontaktowałam się z nim nawet przez telefon. Na szczęście tak byłam zavalona robotą, że nie miałam kiedy usychać z tęsknoty.

- To był Randall? - spytała Bea, kiedy odłożyłam słuchawkę.

- Tak - potwierdziłam.

- Czyżby szykował dziś wielki wieczór? - spytała. Nie przyszło mi to w ogóle do głowy, ale skoro wysunęła taki domysł... Spotykaliśmy się od miesiąca, widywaliśmy po kilka razy w tygodniu... słyszałam, jak przez telefon przedstawia

mnie swoim kolegom jako swoją dziewczynę... A ja zadurzyłam się już w nim na amen.

- Może i tak - odparłam z uśmiechem. - Niewykluczone, że dzisiaj coś się wydarzy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY MIŁOŚĆ W CZASACH ZARAŻY

- Claire? - David zapukał do moich drzwi. Od czterech godzin siedziałam skulona nad maszynopisem, aż mi się plecy wygięły w kabłąk. - Ktoś czeka na ciebie w recepcji. Jakiś Luke.

Luke Mayville? Poprosiłam Davida, żeby go do mnie wprowadził.

- I znów dzwoni Bea.

- Cześć - przywitałam cicho Beę, odbierając telefon. Od rana dzwoniła już trzeci raz.

- No i? - zawołała bez wstępów.

- Rzeczywiście, wczoraj był nasz ważny wieczór - odpowiedziałam. Nie miałam ochoty go omawiać, roztrząsać ani, prawdę mówiąc, nawet wracać do niego myślą. Tak byłam zajęta pracą, zresztą cały dzień miałam wypełniony spotkaniami. Poza tym, niestety, wszystko trwało tak krótko, że zdarzały mi się w życiu ataki kichania, które trwały dłużej. Nie martwiłam się - widocznie potrzebujemy z Randallem czasu. Pierwszy raz z kimś często przynosi rozczarowanie. Prawie nie ma wyjątków od tej reguły. Ale nie uśmiechało mi się wałkować tego tematu z kimkolwiek, nawet z Beatrice.

Luke wsadził głowę do mojego gabinetu. Kiedy zobaczył, że rozmawiam przez telefon, szybko się wycofał.

- Mogłabym oddzwonić? - spytałam Beę. - Bo ktoś na mnie czeka...

- Dobra - ucieszyła się, najwyraźniej zawiedziona, że nie usłyszała szczegółowej relacji z wydarzeń poprzedniego wieczoru. - A, tylko ci jeszcze powiem, że Harry i ja właśnie zarezerwowaliśmy bilety do Iowa. Prześlę ci e - mailem nasz plan. Niby zostało jeszcze dużo czasu, ale wiesz, jakie Iowa ma wzięcie w połowie stycznia.

- Wiem, prawie jak wyspa Świętego Bartłomieja na Karaibach. Mama bardzo się ucieszy z waszego przyjazdu. Rozważam, czy by nie zaprosić Randalla, chociaż to jeszcze kawał czasu...

- Jasne, że zaproszę. Kończę, ale nie zapomnij oddzwonić.

Wyszłam na korytarz, żeby poszukać Luka'a. Oglądał regały, na których stały egzemplarze wszystkich książek wydanych przez Grant Books w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Ależ wy macie wspaniałych autorów! - skomentował z pewnym niedowierzaniem, jak wszyscy, którzy dowiadywali się, że lista książek Grant nie ogranicza się do pornosów, szmiry i polityki. - Przeszkadzam? Wpadłem nie w porę? Przepraszam, że zajrzałem tak bez zapowiedzi.

- Oszalałeś? Zawsze możesz wpaść.

Ponieważ Jackson osiadł już na emeryturze w Wirginii, Luke był moją jedyną ostoją z rodu Mayville'ów. Łączyło ich silne podobieństwo rodzinne, chociaż niekoniecznie w sferze wyglądu. Luke był około dziesięciu centymetrów niższy od Jacksona, który był słusznego wzrostu, bo miał metr dziewięćdziesiąt pięć przy szczupłej sylwetce, a ponadto ostrzejsze rysy i ciemniejszą karnację. Obaj mieli natomiast coś podobnego w sposobie bycia.

Muszę przyznać, że Luke prezentował się dziś nadzwyczaj atrakcyjnie w spłóviałym podkoszulku i bojówkach - na pewno znacznie lepiej niż wtedy, obwieszony plakatami, ze smoczkiem na szyi. Chętnie umówiłabym go z jakąś fantastyczną dziewczyną, jeżeli jest sam. Teraz, kiedy znalazłam Randalla, chciałam, żeby cały świat się zakochał. Może Mara? Ostatnio przechodziła zły okres, fajnie byłoby ją przedstawić takiemu facetowi jak Luke.

- Dzięki, wybaczone, że tak cię nachodzę - przeprosił, po czym uniósł wielki plik kartek nad głowę, tak jak atleta podnosi sztangę. Te worki pod oczami... ta ulga na twarzy...

- Przyniosłeś dzieło swojego życia?! - zawołałam. - Skończyłeś?

Roześmiał się, usiadł w fotelu dla gości, wyciągnął długie nogi.

- Powiedzmy. Sam jeszcze nawet nie wiem. Ale to idealny lek na bezsenność dla ciebie.

- Tak? - Roześmiałam się. - Nawiasem mówiąc, kiedy ty ostatnio spałeś?

- Pozory mylą. - Luke potarł oczy. - Jestem wypoczęty jak diabli. Ale dołożę starań, żeby to zatuszować podczas wizyt u wydawców. Jeżeli ktoś chce uchodzić w Nowym Jorku za poważnego pisarza, musi przedstawiać obraz nędzy i rozpaczy: blady jak ściana, uwalany atramentem, do tego powinien palić jak smok, przymierać głodem i ożywiać się na każdą wzmiankę o śmierci.

- Żebyś wiedział. Albo przebrać się za dorosłego oseska? Nie mogłam sobie odmówić szczypty ironii na to wspomnienie.

- Otóż to. - Pokiwał poważnie głową. - Byle zwrócić na siebie uwagę.

Wtedy już bez większych ceregieli wręczył mi rękopis. Poczułam jego ciężar.

- Na razie daję ci surową wersję - wyjaśnił. - Wymaga jeszcze dużo pracy. Zakończenie napisałem na kolanie, fabuła trochę się wlecze i na razie żaden tytuł nie przychodzi mi do głowy. Dlatego jeżeli nie znajdziesz czasu, nie przejmuj się...

- Luke - przerwałam mu stanowczo. - Bardzo chętnie przeczytam. Dziękuję.

Zawsze wyobrażałam sobie, że pisarza składającego swoje dzieło można porównać do matki, która po raz pierwszy odprowadza dziecko do szkoły - duma i nadzieja mieszą się z obawami, że inni je osądzą, mogą wyśmiać albo

zlekceważyć. Jako redaktorka nie chciałam przedłużać tych męczarni ani chwilę dłużej ponad absolutną konieczność.

Widziałem, że Luke cierpi na ponadprzeciętny syndrom rozłąki, dlatego obiecałam sobie w duchu, że nie pozwolę, aby jego maszynopis obrósł kurzem. Bez względu na nawał pracy znajdę czas, żeby od razu przeczytać rozdział albo dwa. Naprawdę trawiła mnie ciekawość. Jackson zawsze się przechwalał swoim inteligentnym kuzynem. Otworzyłam na pierwszej stronie, przebiegłam wzrokiem pierwsze linijki, podniosłam oczy i zorientowałam się, że chyba spieszyłam Luka'a.

- Chyba powinienem teraz świętować - oznajmił, przerywając ciszę. - Uczcić to, że skończyłem pisać. Chociaż jeszcze nie wiadomo, czy sprzedam tę książkę. Chyba że zechcesz mi złożyć ofertę na podstawie niezaprzeczalnej błyskotliwości pierwszego zdania...

- Zastanowię się. Ale na pewno masz co świętować, bo to ogromne osiągnięcie.

- A może dałabyś się zaprosić wieczorem na kolację? Ostatnio uzależniłem się od przeuroczego włoskiego lokaliku w West Village. Nazywa się U Mimi i jest...

- Uwielbiam Mimi! - wypaliłam, zdumiona, że ktoś jeszcze zna tę knajpkę, cudowną restaurację z domową kuchnią, którą przez ostatnich kilka lat uważałam dosłownie za swoją. Ich makaron z masłem, cukinią i dynią to niebo w gębie, a gnocchi... Po prostu ślinka mi cieknie na samą myśl.

- Cudownie! To co, o ósmej? - zapytał Luke, najwyraźniej przyjmując mój zachwyt za potwierdzenie. Nie sprostowałam. W końcu nie zapraszał mnie na randkę. Byliśmy przyjaciółmi. Może niezupełnie przyjaciółmi, ale łączył nas Jackson. Poza tym pewnie Luke chciał wkraść się w moje łaski, zanim przeczytam jego powieść.

Odkąd zaszczepił mi w głowie pomysł wyjścia do Mimi, nie widziałam odwrotu. Po półtora miesiąca ślęczenia za biurkiem, kiedy rzadko miałam okazję zjeść jeden porządny posiłek dziennie, perspektywa uczyty u Mimi zabrzmiała niezwykle kusząco. A Randall miał pracować do późna, dlatego nie musiałam rezygnować ze wspólnego wieczoru.

Zadzwoił telefon, wyświetlił mi się numer wewnętrzny Vivian.

- Szefowa - przeprosiłam Luka'a. - W takim razie do ósmej.

- Do zobaczenia wieczorem, Claire - pożegnał się, pomachał i wyszedł.

- Claire, Vivian nie oddzwania od trzech tygodni. Moja klientka nie pojmuje, co się dzieje! Ani Vivian, ani Graham nie odbierają.

Derek Hillman, agent literatury brukowej z Los Angeles, który reprezentował gwiazdę porno, Mindi Murray, szalał z oburzenia. Często bywał poirytowany i arogancki, ale teraz przechodził sam siebie.

O co chodziło? Miesiąc wcześniej Mindi przedstawiła nam propozycję swojej drugiej książki - pieprzny poradnik dla kobiet, które chcą odciągnąć mężczyzn swojego życia od pornosów i zwabić z powrotem do łóżka. Z niewiadomych powodów, mimo wyraźnego zainteresowania Vivian, wspartego tuzinem nagranych wiadomości i e - maili, nie mogłam zmusić szefowej do podpisania umowy. Przystawiłam już Derekowi cały swój arsenał wymówek, ale dłużej nie mogłam grać na zwłokę.

- Zrozum, Derek - zaczęłam tłumaczyć - właśnie szacujemy zyski i straty, dlatego dopiero...

- Gówno prawda. Ulokowałam dwadzieścia książek u Vivian, serduszko, i wiem, że nie potrzebuje żadnych szacunków, żeby wiedzieć, ile chce zaproponować. W czym

tkwi problem? Czy Vivian jest dzisiaj w pracy? W tej sytuacji muszę napuścić na nią Harolda. Przekaż jej to, dobrze? Może Harold powinien negocjować tę umowę?

Harold Kramer, adwokat - żyłeta, znany ze swych spektakularnych wyczynów, zajmował wysokie miejsce na liście osób znienawidzonych przez Vivian. Z całą pewnością nie ucieszy jej wiadomość, że musi z nim negocjować.

- Wstrzymaj się, Derek. Spróbuję wydusić z niej odpowiedź do końca tygodnia, bo wtedy wraca z Los Angeles.

- Vivian jest w Los Angeles? Że też ja nic nie wiem! Zwykle wyczuwam jej obecność w mieście... bo na niebie tworzy się pentagram, krew ścieka po ścianach. Posłuchaj, serdeńko, dosyć tego! Do końca dnia muszę znać odpowiedź, bo poszukamy sobie innego wydawcy.

- Derek, stanę na głowie. Przepraszam, po prostu...

- Wiem, wszyscy byli nieziemsko zajęci. Daruj sobie przeprosiny i tłumaczenia. Już tylko dzisiaj czekam na telefon z ofertą.

I rzucił z trzaskiem słuchawkę.

- Co tam u ciebie, mała? - zapytał Phil, stając w drzwiach. Trzymał całe naręczne teczek, pewno ze dwadzieścia sztuk. - Idziesz?

- Dokąd? - spytałam i od razu się zaniepokoiłam. Czyżbym zapomniała o jakimś spotkaniu?

- Na konferencję w sprawie sprzedaży. Przecież masz chyba tuzin książek w wiosennym katalogu?

Usłyszałam krew tętniącą mi w uszach. Konferencja marketingowa, jedyna szansa redaktorów na prezentację i reklamę naszych tytułów całej ekipie marketingowej, była zaplanowana na przyszły tydzień.

- Chyba pomyliły ci się daty, Phil - powiedziałam, usiłując zachować spokój. - Konferencja jest dopiero w przyszłą środę.

Phil wytrzeszczył na mnie oczy. Cały spurpurowiał, jak gdyby grał w futbol na mrozie.

- Nie wierzę, że to zrobiła... W poniedziałek Lulu zawiadomiła e - mailem cały personel, że konferencję przesunięto na tydzień wcześniej. Zaczyna się zaraz, za jakieś dziesięć minut! Wszyscy stawaliśmy na głowie, żeby zdążyć. Na pewno nie dostałaś od niej informacji pocztą elektroniczną?

Drżącymi palcami przewinęłam wiadomości w Outlooku. Przez cały tydzień nie przyszło nic od Lulu.

- Czy to możliwe, żeby zawiadomiła wszystkich poza mną? - spytałam, nie wierząc, że mogła się dopuścić aż takiej podłości.

- Ja też nic nie dostałem - pisnął David zza pleców Phila. Zdzira.

Nie miałam czasu, żeby się złościć. Ani obmyślać zemstę.

- Ile minut mi zostało?! - krzyknęłam do Phila, już nurkując do swojej szafki i wyciągając żółte teczki. Dwanaście książek. Muszę atrakcyjnie je przedstawić działowi sprzedaży, żeby zdecydowali, jak najlepiej je zarekomendować naszym głównym kontrahentom. Moja pierwsza konferencja marketingowa w Grant Books - z całą pewnością najważniejsza w kalendarzu spotkań na ten sezon - a Lulu zastosowała wobec mnie pełen sabotaż!

Oblał mnie zimny pot, i to nie tylko z powodu zawiadomienia w ostatniej chwili. Przez cały czas paraliżowała mnie perspektywa wystąpienia publicznego. Zawsze ogarniała mnie wtedy trema, odbierało mi mowę. Za każdym razem jedyną szansę upatrywałam w starannym przygotowaniu - zamierzałam więc spędzić cały weekend nad notatkami - a tu taka wpadka.

- Zgłoszę się pierwszy i będę mówił wolno, dzięki temu zyskasz kilka minut - zaproponował Phil, który nadal nie

posiadał się ze zdziwienia. - Powiedzmy, kwadrans. Ale dłużej nie dam rady przeciągnąć.

Spojrzałam na Davida, swojego skrzydłowego, który podbiegł do szafki, żeby mi pomóc.

- Weź sześć pierwszych od góry - poleciłam mu, pokazując tytuły na liście, którą wyciągnął. - Ja wezmę sześć następnych. Po trzy aspekty przy każdej książce. Prezentacja ma być prosta i rzeczowa.

Pokiwał głową. Zabraliśmy się do roboty. W pełnej napięcia ciszy zbieraliśmy materiały i sporządzaliśmy z zacięciem notatki.

- Zostały dwie minuty - zawiadomił mnie David, spoglądając na zegarek. - Ja skończyłem.

- Ja też. Jeszcze przejrzę w windzie. Idziemy! Pędem dobiegliśmy do wind, nacisnęłam guzik drugiego piętra. Przejrzałam notatki, kiedy winda jechała w dół.

- Gdzie jest sala konferencyjna? - spytałam, zasapana, rozglądając się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy.

- W lewo.

Pokazał mi dwuskrzydłowe drzwi mniej więcej dziesięć kroków dalej. Dopadłam je, otworzyłam i...

- Claire! - zawołał na mój widok Graham, podnosząc wzrok znad ogromnego stołu konferencyjnego, przy którym siedział tłum ludzi. Z jednej strony siedział cały personel wydawnictwa Grant Books, poza Vivian, która bawiła w Los Angeles. Wypatrzyłam wolne miejsce obok Phila i spojrzałam na zadowoloną z siebie Lulu, która siedziała z miną niewiniątka. Zabiję ją później. Teraz mam zadanie do wykonania.

- Poznajcie naszą najnowszą redaktorę, Claire Truman - przedstawił mnie Graham. - Claire, w samą porę, żeby zaprezentować wszystkim dwanaście książek, które figurują w naszym wiosennym katalogu.

Usiadłam, wyciągnęłam fiszki. I wtedy dotarło do mnie, że w ogóle nie czuję tremy. Strach odczuwany przez ostatni kwadrans, adrenalina w żyłach i szalony bieg korytarzem magicznie uleczyły mnie z obawy towarzyszącej wystąpieniom publicznym. Kiedy zaczęłam omawiać pierwszy tytuł, poczułam się zrelaksowana, pewna siebie, elokwentna. Nigdy z podobną swadą nie przemawiałam przed żadnym zgromadzeniem. Miałam pod ręką notatki Davida, umiałam też odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Kiedy skończyłam, spojrzałam na Lulu. Siedziała z założonymi rękami, chuda jak szkielet, i tylko usta ściągnęła w ohydny ryjek. Widziałam, że w środku aż się gotuje.

- Świetnie się spisałaś, mała - pochwalił mnie Phil i objął, kiedy wracaliśmy całą gromadą na jedenaste piętro.

- Dzięki Davidowi - powiedziałam, kiedy koledzy wchodzili do windy. - A właśnie, Lulu, nie dostałam od ciebie e - maila o zmianie planów. Wiesz może, dlaczego nie było mnie na liście?

- Nie było cię na liście? - powtórzyła, ale nawet nie raczyła się do mnie odwrócić. - Widocznie muszę ją uzupełnić.

- Piękne, szczerze przeprosiny, nie ma co - skomentował Phil, kiedy wysiedliśmy na jedenastym. - Wiesz, Lulu, że gdyby Claire i David, przyparciu do muru, nie wybrnęli z takim wdziękiem, zaszkoziłabyś dwunastu tytułom z naszego katalogu. Ciekawe, co by na to powiedziała Vivian.

Lulu spojrzała na nas. Miała strach w oczach.

- Uzupełnij swoją listę e - mailową personelu - poprosiłam i skierowałam kroki do swojego pokoju. Odtąd muszę się mieć na baczności, ale prawie cały gniew ze mnie uszedł. Phil miał rację - świetnie się spisałam.

* * *

- Claire! - Mimi pędziła przez całą knajpkę, żeby mnie uściskać. - Jak ty wyglądasz? Bella, sama skóra i kości! Dlaczego tak schudłaś? - Po czym spojrzała na Luka'a, uszczypnęła go mocno w policzek. Widziałam, że go zabolalo, ale uśmiechnął się mężnie. - Dwoje moich ulubionych klientów, i to razem! Miód na serce Mimi! - zawołała, prowadząc nas do stołu.

Wystrój restauracji Mimi zatęczał kiczem - obrusy w czerwonej kratkę, ociekające woskiem świece wstawione do starych butelek po winie, w tle aksamitny głos Sinatry - ale nic nie mogło się równać z powitaniem Mimi w progu. Jeszcze jedna rurka z serem cannolo, a miałyby dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi. Przy niej człowiek od razu czuł się, jakby należał do la famiglia.

Kiedy usiedliśmy, Luke uśmiechnął się do mnie z zażenowaniem. Miał na sobie sportową koszulkę, a jego ciemne włosy były trochę zmierzwiłone.

- Mój chłopak uwielbia makaron z sosem bolońskim - wypaliłam, przeglądając kartę. Mijało się to z prawdą, bo Randall nie tknąłby tak kalorycznego jedzenia, a poza tym nie mogłam go oficjalnie nazywać swoim chłopakiem. Ale mimo drobnego niedociągnięcia poprzedniego wieczoru szalałam na jego punkcie i dlatego chciałam wspomnieć o nim podczas tego spotkania. Za nic w świecie nie mogłam dopuścić, żeby ukochany kuzyn Jacksona uznał nasz wypad za coś więcej niż tylko przyjacielski obiad.

- Masz szczęście. - Luke uśmiechnął się, podnosząc oczy znad karty. - Bo moja dziewczyna jest ścisłą weganką, co znaczy, że jadamy w Zen Palate częściej, niżbym chciał. Właśnie się przekonałem, że kotlety glutenowo - sojowe są jadalne. - Przerwał, zastanowił się. - Chociaż właściwie nie do końca.

Dziewczyna? Sądziłam, że jest samotny. Wzmianka o dziewczynie mnie zaskoczyła... szczerze mówiąc, nawet sprawiła mi zawód. Luke byłby idealnym facetem dla Mary. Przystojny, inteligentny, z ciepłej rodziny, i te jego zmysłowe ciemne oczy. Do tego Mara wprost szalała na punkcie mężczyzn o pięknych uśmiechach. Trudno! Nie zabawię się w swatkę, ale chyba lepiej, że Luke też się z kimś spotyka. W każdym razie nie pomyśli sobie niczego niewłaściwego. Usiadłam wygodniej w krześle i wypłam łyk wina.

- Odnoszę wrażenie, jakbym cię znał przez wuja Jacka - powiedział Luke. - On cię tak uwielbia.

- Ja też bardzo za nim tęsknię. Odwiedzałeś go już w Wirginii? Carrie mówiła, że codziennie jeździ konno, a Jackson upodobał sobie częste wycieczki.

Omam się nie roześmiałam na tę wiadomość, bo Jackson był najmniej wysportowanym człowiekiem spośród moich znajomych. Nie wyobrażałam go sobie spacerującego po lesie. Nie wyobrażałam go sobie nawet w szortach.

- Coś podobnego. Chyba wycieczki w plener wujka Jacka oznaczają rezygnację z parkingowych.

Uśmiechnęłam się.

- Ciekawe, jak się obywa bez czerwonego długopisu. Znasz kogoś, kto bardziej lubiłby redagować od Jacksona? Przyłapałam go nawet na nanoszeniu poprawek tym długopisem w już wydanych książkach.

- Wiem. Kiedyś szliśmy razem ulicą, a on przystanął, żeby poprawić graffiti nabazgrane na przystanku autobusowym. Mimo że przeszedł na emeryturę, daje głowę, że jego czerwony długopis nadal jest w użyciu.

Umoczyłam świeżo pieczony chleb Mimi w oliwie z oliwek.

- Pewno emerytura przynosi człowiekowi bardzo dziwną odmianę. Nie mogę sobie wyobrazić, jak można nie chodzić do pracy i nie pracować w pełnym wymiarze godzin.

- Tak? Bo może też urodziłaś się, żeby redagować? - spytał Luke z uśmiechem.

- Bez przesady. Ale bardzo lubię to robić. Właściwie nauczył mnie tata. Kupił mi pierwszy The Chicago Manual of Style (Najbardziej znany amerykański poradnik dla wydawców, redaktorów i korektorów.). Do dzisiaj słyszę czasem jego głos w głowie, jak mi przypomina, kiedy należy używać zaimka „który”, a kiedy „jaki”, karci, gdy pomylę się przy przenoszeniu wyrazu...

- A ja tylko własną rodzinę posądzałem o takie wybryki - zakpił Luke. - Twój tata też jest redaktorem?

- Był głównie poetą, a poza tym profesorem, wykładał na Uniwersytecie Iowa. Umarł pięć lat temu.

- Bardzo mi przykro - powiedział Luke. Dolał nam wina. Po chwili spojrzał na mnie. - Czekał, chyba niemożliwe, że miał na imię Charles?

- Owszem, Charles Truman. Czytałeś jego wiersze?

- Czy czytałem? Uwielbiam jego twórczość! Jego wiersz Tranquility wisiał u mnie nad biurkiem przez całe studia! Czytałem go więcej niż sto razy! Nie mogę uwierzyć, że Charles Truman to twój ojciec.

Rozpromieniłam się. Miłość mojego taty do poezji ustępowała jedynie miłości do mamy i do mnie. Serce mi rosło, kiedy słyszałam, że ktoś ceni jego twórczość.

- Czy mogę państwu polecić specjalności dnia? - spytał kelner. Recytował całą listę, a każde danie wydawało nam się pysniejsze od poprzedniego.

- Może będzie szybciej, jeśli wymienimy, czego nie chcemy - zażartował Luke z figlarnym uśmiechem.

Zamówiliśmy tyle jedzenia, jakbyśmy spędzili wiele miesięcy na bezludnej wyspie i mieli zjeść pierwszy posiłek po powrocie do cywilizacji.

Mijały godziny. Przeskakiwaliśmy z tematu na temat. Od naszych ulubionych pisarzy wszech czasów (jego: Faulkner i Hemingway; moi: Salinger i Kundera) do rzeczy, które nas najbardziej drażnią (jego: drobiny jedzenia między zębami; mnie: Amerykanie, którzy szpikują swoje wypowiedzi komicznie brzmiącymi anglicyzmami).

- Bardzo proszę - powiedział kelner z serdecznym uśmiechem, kładąc między nami rachunek. Oboje sięgnęliśmy jednocześnie. Ja złapałam pierwsza, a kiedy dłoń Luka'a spoczęła na mojej, aż przeszedł mnie dreszcz.

- Pozwól! - poprosiłam. - Dołączę go do wydatków firmowych, bo przecież może zostaniesz naszym autorem...

Odrzucałam myśl, że mogłabym mu pozwolić zapłacić. Był przecież, że tak powiem, głodującym artystą, a ja widziałam, jakiej pracy się chwycił, żeby związać koniec z końcem.

Luke jednak nie dawał za wygraną.

- Nie zgadzam się, Claire. Doceniam, że przyjęłaś moje zaproszenie, żeby uczcić ukończenie mojej książki, nie zważając na swój brak czasu i na to, że widziałas mnie ostatnio w niemowlęcym czepku.

Kiedy się uśmiechnął, ponownie zauważyłam, jak mu błyszczą oczy. Może nie wyjdzie mu z tą weganką, a wtedy Mara miałaby szansę.

Wygrawszy batalię o rachunek, uparł się, żeby odprowadzić mnie do domu, chociaż mieszkał dziesięć przecznic w drugą stronę. Kiedy stanęliśmy na moim ganku pod markizą, pocałował mnie delikatnie w policzek.

Z uśmiechem pokonywałam sześć kondygnacji do mojej kawalerki (a zwykle wchodzę na górę jedynie skrzywiona i

czerwona z wysiłku). W domu przebrałam się w piżamę, włożyłam do lodówki cannoli, które wzięłam do domu na talerzu za radą Luka'a, weszłam do łóżka i zabrałam się do lektury maszynopisu.

* * *

Nazajutrz zmęczona, ale podniecona, zapukałam do drzwi Vivian. Trzymałam w ręce czysty maszynopis Luka'a. Z samego rana poprosiłam Davida, żeby mi wydrukował dziesięć egzemplarzy, bo chciałam od razu przekazać tę książkę dalej do czytania. Mój asystent wciąż jeszcze stał przy kserokopiarce.

- Proszę! - rozległ się krzyk.

Otworzyłam ciężkie drzwi, poczułam powiew mroźnego powietrza (Vivian utrzymywała w gabinecie temperaturę bliską zera) i zastałam szefową pochyloną nad kilkoma czasopismami. Kiedy podeszłam, zorientowałam się, że to wszystko egzemplarze „Hustlera”.

- Jak ci się podoba ta dziewczyna na okładkę Just do me? (Just do me - Tylko mnie przeleć.) - spytała.

Just do me była to sprośna powieść relacjonująca dwadzieścia lat „sekskapad” pewnej kobiety, począwszy od orgii na koloniach letnich, a skończywszy na randce razem z zaprzyjaźnioną matką kolegi syna. Najzwięźlej określały ją antonimy słów „dobra” lub „przyzwoita”.

- Według mnie książka lepiej się sprzeda, jeśli podpicujemy okładkę - ciągnęła Vivian. Otworzyła rozkładówkę i podsunęła mi pod nos.

Proceder przypominał zmianę leżaków na Titanicu. Pragnąc uniknąć odpowiedzi, skinęłam tylko głową i niby to zakasłałam.

- Vivian, chciałam z tobą porozmawiać na temat książki, której kupno rozważam - zwróciłam się poważnie do szefowej. - Nigdy niczego podobnego nie czytałam. Nie

mogłam się od niej oderwać przez całą noc. Daje bliskie spojrzenie na...

- Literatura czy komercja? - spytała Vivian, odkręcając nakrętkę na butelce, w której na pierwszy rzut oka pływały glony. Pociągnęła haust. - Mam nową dietę. Mogę teraz jeść wyłącznie kapustę włoską i surową cebulę.

- Literatura, w dodatku z uniwersalnymi odniesieniami, które...

- I siemię lniane. Z pewnością człowiek się takim siemieniem nie przeje. Pytanie tylko, czy książka się sprzeda.

Większość jej pytań zdecydowanie bardziej przypominała stwierdzenia lub nawet rozkazy. Zupełnie jakby Vivian nie chciała przyznać, że zwraca się do kogokolwiek z jakimkolwiek problemem.

- Nie mam najmniejszych obaw. - Jak brzmi tytuł?

- Tytułu jeszcze nie ma. Autor nazywa się Luke. Nawiasem mówiąc, jest kuzynem Jacksona Mayville'a. Właśnie zrobił na Columbii dyplom ze sztuk pięknych i z literaturoznawstwa.

- Kuzyn Jacksona? - Vivian odrzuciła głowę i parsknęła jak dziki koń. - Boże, czemu od razu nie mówisz? Chyba stary Jackson dostanie szału na emeryturze, kiedy usłyszy, że wydaję kogoś z jego rodziny. Cudne. Popieram. Ile musimy zaproponować, żeby ruszyć z tą książką?

Co? Czyżby to naprawdę było takie proste? Tyle razy ćwiczyłam w głowie tę rozmowę, jadąc rano do pracy, ale nie sądziłam, że pójdzie tak gładko. Vivian nie przeczytała nawet słowa maszynopisu... czyżby naprawdę podjęła decyzję, powodowana niedojrzałym pragnieniem, żeby dopiec Jacksonowi?

- Ziemia do Claire! - warknęła Vivian. - Pytam ile?

- Nie mam pojęcia, nie doszliśmy do warunków. Dopiero wczoraj dostałam maszynopis.

- Czy ma go ktoś poza nami z Mather - Hollinger? - zapytała.

- Nie, ale chyba Luke mówił, że pokazał tekst jeszcze koledze z Farrar, Straus and Giroux.

- Ale nie dostał go żaden agent?

- Żaden - potwierdziłam. Vivian zrobiła zadowoloną minę.

- W takim razie zaproponuj sto. Dam każde pieniądze, żeby zobaczyć, jak Jackson wije się na widelcu.

Oczekałam chwilę, zanim podziękowałam Vivian i wyszłam. Z całą pewnością nie spodobał mi się powód, ale za bardzo zależało mi na książce, żeby się czepiać. Może swoim redaktorskim zaangażowaniem uda mi się zrekompensować Jacksonowi jego niechęć do osoby Vivian jako wydawcy.

Kwadrans później, kiedy Luke Mayville z radością przyjął moją ofertę, zostałam oficjalnie jego redaktorką.

ROZDZIAŁ ÓSMY NIESFORNA DUSZA

Auć! Auuu, auuu, auuu, auuu, auuu.

Padałam z nóg, wyczerpana do cna po osiemnastu godzinach użerania się z trudnymi autorami, pomyłonymi agentami i wygórowanymi żadaniami. Marzyło mi się kilka rzeczy: gorąca kąpiel z bąbelkami, masaż tkanek głębokich w wykonaniu utalentowanego Szweda Hansa, nieprzebrane ilości krówek.

Absolutnie natomiast mogło mnie ominąć kilka innych, chociażby stłuczenie, kiedy uderzyłam się w okrutny kant porcelanowej wanny, wyskakując z niej o drugiej nad ranem, żeby znaleźć swój dzwoniący bezprzewodowy telefon.

Nie dbając o ręcznik, zostawiając kałuże wody na podłodze, biegłam w stronę natarczywego dzwonka. Kto mógł telefonować w środku nocy? Staralam się nie ulegać panice, chociaż w myślach przewijałam najczarniejsze scenariusze. Randall właśnie leciał samolotem, w podróży służbowej, do Europy. Vivian nie miała mojego numeru telefonu, a w każdym razie - za radą Phila - nie podałam go jej. Mama albo Bea dzwoniłyby o tej porze tylko w sytuacji najwyższej konieczności... dlatego serce podeszło mi do gardła, nie zauważyłam otwartej szuflady komody i...

AUUU, AUUU, AUUU. Cóż za złowroga kosmiczna siła sprawia, że jak już człowiek raz się uderzy w goleń, potem wciąż będzie się urażał w tym samym miejscu, natykając na wszystkie ostre i twarde przedmioty w promieniu dziesięciu metrów? Upadłam na rozgrzebane łóżko, wyciągnęłam rękę po... No właśnie, tam się schował.

- Słucham? - wysapałam.

- Claire? Vivian. Co przygotowałaś do książki Sweet D? Vivian. Serce nadal waliło mi jak oszałałe. Skąd ona, do diabła, ma mój domowy numer? Przecież jest zastrzeżony, a ja

okłamałam jej asystentkę i powiedziałam, że używam tylko komórki. Nawet poprosiłam Randalla, żeby nikomu nie podawał tego numeru. Jak go zdobyła? I dlaczego dzwoni do mnie o drugiej nad ranem?

- Claire? Jesteś tam? W jakim stanie jest książka Sweet D? Nie mam czasu czekać całą noc!

Szczerze? Odkąd Vivian kilka dni temu przedstawiła mi ten pomysł, nie kiwnęłam palcem w jego sprawie. Codziennie zawałała mnie tyloma pomysłami, że ten jeden umknął mojej uwadze. Sweet D niestety trafił do zapomnianych. Należał do najmodniejszych gwiazd na firmamencie rapu, jego ostatni album Brom Tail pokrył się platyną, a facet został postrzelony dwa razy. Vivian chciała wydać zbiór jego tekstów, nieskróconych i nieocenzurowanych. Trzy razy dzwoniłam do jego menedżera, ale nie oddzwonił.

Wiedziałam, że taka odpowiedź jej nie zadowoli. Zadowoliliby następująca: „Ponieważ agent nie oddzwonił do mnie w ciągu doby, pomaszerowałam do jego biura i siedziałam pod drzwiami tak długo, aż zgodził się mnie przyjąć. Przekonałam go, że nieodzownym kamieniem milowym kariery Sweet D będzie publikacja książki dla fanów, a Grant Books musi zostać jej wydawcą, i że muszą przyjąć nasze warunki, czyli sprzedać ją nam za bezcen lub coś koło tego”.

- Przepraszam, ale jeszcze nie mam za wiele - odpowiedziałam z gulą w brzuchu. Przez cztery miesiące udało mi się uniknąć gniewu Vivian, co zdaniem Phila, stanowiło rekord w dziejach firmy, ale teraz moja dobra passa najwyraźniej dobiegała końca. - Z samego rana przedstawię ci więcej informacji.

Milczenie w słuchawce. Wyobraziłam sobie zapalony lont, kiedy ogień zbliża się do bomby.

- No dobrze - odezwała się wreszcie Vivian. Dobrze? Odetchnęłam. I tyle? Żadnej reprimendy, żadnej hysterii?

- Jak tam twoje sprawy z Randallem? - spytała Vivian. Zadrżałam, otuliłam się ręcznikiem. - Bo jego ojciec był bardzo kiepski w łóżku. Uważał się za Bóg wie kogo, ale fiutka miał jak pryszcz. Ale lepsze to niż nic, a taki był wtedy mój stan posiadania. Wiesz, kiedy ostatni raz ktoś mnie przeleciał?

Tak się składa, że chyba wiedziałam. Tydzień wcześniej na kolegium Vivian przedstawiła nam graficzny wykres popołudniowej randki z pociągającym boyem z hotelu Beverly Hills. Jeździł skuterem marki Vespa i depilował sobie tors.

- Na ogół biorąc - zwierzyła się dwadzieściorgu najbliższych, zaufanych podwładnych - młodszy mężczyźni nie umieją zadowalać kobiet. Chociażby ty, Harry, na pewno nie potrafiłbyś się zabrać do rzeczy. Ale ten chłopak na skuterze był wyjątkiem.

Harry, asystent z działu graficznego, oblał się rumieńcem. Zwolnił się następnego dnia.

- Taką mam chcię - ciągnęła Vivian, kiedy usiadłam sztywno na kanapie i starałam się zdystansować psychicznie od tej rozmowy. - Właśnie ujeżdżałam oparcie fotela, kiedy wparował mój syn i zawołał: „Ma - a - mo!”. Od razu mi przeszło. Teraz będzie miał co przepracować ze swoim terapeutą.

Coś mi mówiło, że ten chłopak nigdy nie ucierpi na brak materiału do psychoterapii.

- Nigdy przedtem nie dzwoniłaś do mnie do domu, Vivian - powiedziała, spoglądając przekrwionymi oczami na budzik na stoliku nocnym. - Skąd masz mój numer? Rzadko bywam w domu, chyba więc ci go nawet nie podawałam.

- Lulu mi dała - odparła od niechcienia Vivian.

Po co w ogóle pytam? Któż by inny? Mogłam się jedynie domyślać, skąd go ma. Przyłożyłam głowę do poduszki, walcząc ze snem, bo szefowa wdała się w długą opowieść o swojej utracie dziewictwa.

Wyciągnęłam notatnik i wpisałam: „Zmienić domowy numer” na długą listę spraw do załatwienia.

* * *

Zdarzyło się to pod koniec mojego piątego miesiąca pracy.

W piątek postanowiłam zostać dłużej w wydawnictwie, żeby zająć się dziewięcioma książkami odziedziczonymi po koledze, który niedawno odszedł.

W ciągu pięciu miesięcy bardzo się zbratałam z resztą personelu. Zbliżały nas wspólny grymas pod drzwiami Lulu, współczujący uśmiech na kolegium redakcyjnym, zwięzły e-mail z pytaniem, czy „wszystko OK?”, gdy znów nas zawalono robotą, ale pożegnania odbywały się całkowicie bez fajerwerków. W P and P zawsze urządzaliśmy pożegnalne przyjęcie dla każdego z odchodzących kolegów. Gdybyśmy ustanowili taką tradycję w Grant Books, niechybnie wpadlibyśmy w alkoholizm.

Jedyny rytuał w Grant polegał na przekazywaniu akt. Po każdym odejściu jednego z redaktorów na moim biurku lądował ogromny stos dokumentów i teczek. Patrzyłam z rosnącym lękiem, jak pod ścianą mojego gabinetu piętrzy się miarowo góra nowych akt.

Kiedy moi najnowsi autorzy trafili do mnie, mieli już za sobą mnóstwo urazów. Większość przeszła przez ręce kilkorga redaktorów. Kiedy dzwoniłam, żeby się przedstawić, któraś autorka wyraziła nadzieję, że pozostanę w firmie dłużej niż ostatnia pani redaktor. Zapewniłam ją, że wszystko na to wskazuje, a ona udawała, że mi wierzy, chociaż czułam, że wcześniej słyszała już taką obietnicę.

W piątek wieczorem, po całym tygodniu obłądu, na jedenastym piętrze zapadła grobowa cisza. Vivian dzień wcześniej poleciała do Los Angeles, a pozostali pracownicy wymknęli się na zasłużony weekend.

Też już czekałam z utęsknieniem na zimowy wypad. Randall i ja postanowiliśmy wybrać się na wagary, skoczyć na Long Island na cały weekend z Beą i Harrym w Montauk. Nie mogłam się doczekać. Cudownie będzie wyrwać się z miasta, tym bardziej że wybierałam się na święta. Miałam tyle gardłowych terminów, które spiętrzyły się pod koniec roku, w tym książkę do zredagowania w świąteczny weekend, że moja kochana mama zgodziła się przyjechać na tydzień do mnie do Nowego Jorku. Nie był to wymarzony odpoczynek, ale przynajmniej spędzimy ten czas razem.

Miałam nadzieję, że podczas tej wizyty mama pozna Randalla. Chciałam też, żeby podczas najbliższego weekendu on poznał lepiej Beę i Harry'ego. Zbieg okoliczności, że wszyscy mieliśmy kołowrót w pracy, pozwalał nam tydzień w tydzień dosłownie na kilka ukradzionych chwil ze sobą, dlatego nie sposób było zaplanować wspólne spotkanie dwóch par. Dziwne, zważywszy, że spotykaliśmy się już od pół roku, a ja nie poznałam jeszcze nikogo z kręgu jego przyjaciół. Raz wpadliśmy na ulicy na kolegę Randalla ze szkoły Goldmana - jego rówieśnika, który omal nie klękał przed moim chłopakiem - ale nikogo więcej.

Mój chłopak. Nadal wydawało mi się, że to sen. Randall okazał się tak wspaniałym mężczyzną, za jakiego zawsze go uważałam. Był bardzo troskliwy - planował obiady w najlepszych restauracjach w mieście, zawsze mnie pytał o samopoczucie, zasypywał kwiatami w pracy. A ja dobrze zrobiłam, że zbagatelizowałam nasze falstarty w sypialni... bo po kilku tygodniach wyraźnie się „dotarliśmy”.

Zatopiona w myślach, podskoczyłam na krześle, słysząc dzwonek telefonu w pokoju Dawn Jeffers, na lewo od mojego. Po chwili usłyszałam, że dzwoni w gabinecie Lulu, po drugiej stronie korytarza. Spojrzałam na zegar w komputerze, dochodziło wpół do dwunastej. Już tak późno się zrobiło?

Zadzwoił telefon w moim gabinecie. Na swoje nieszczęście odebrałam.

- Gdzie, do cholery, są wszyscy? - warknęła Vivian do słuchawki. Dosłownie dyszała z wściekłości. - Ledwo zniknę, już wszyscy uznają, że lekcje odwołane? Jestem na nogach od piątej rano, a wieczorem mam jeszcze trzy spotkania. Dlaczego muszę harować więcej niż wszyscy moi pracownicy razem wzięci? Co robiłaś przez cały tydzień? Bo słowem się nie odezwałaś... w ogóle nie wiem, co ty całymi dniami robisz w pracy...

Zamarłam, wstrząśnięta. Długopis zawisł mi w pół drogi do notatnika. Czy Vivian zdawała sobie sprawę, która godzina jest w Nowym Jorku? Czyżby niechcący wybrała mój numer wewnętrzny? Może sądziła, że rozmawia z kimś innym? Słyszałam już, jak beszta niemal wszystkich podwładnych, ale mnie dotąd najwyraźniej się upiekło. Nie mogę powiedzieć, żeby zasypywała mnie pochwałami przez te pięć miesięcy, ale też ani razu nie zrobiła mi karczemnej awantury. Nie sądziłabym, że szczęście się ode mnie odwróci, kiedy Vivian zastanie mnie w pracy tak późno w piątek wieczorem.

Nabrałam powietrza i zaczęłam tłumaczyć.

- W - w - właśnie gonię z kilkoma książkami, które przejełam w tym tygodniu.

Vivian nawet przez druty telefoniczne wyczuła strach i przypuściła atak.

- Nie przerywaj, kiedy do ciebie mówię. I co ma znaczyć, że właśnie gonisz? - Przedrzeźniała mnie wysokim, piskliwym głosem. - Czyta się materiały, rozmawia z autorami, każdy

głupi to umie, nie powinno ci to pochłaniać aż tyle czasu. Aha, dostałam twoją wiadomość na temat kolejnej ambitnej książki, którą chciałybyś u nas umieścić. Dość już mam takich tytułów. Kilka da się przepchnąć, niech będzie, ale pamiętaj, że one nie przynoszą zysków! Starczy tego dobrego! Może Jackson. Mayville leciał na takie wydumane literackie fanaberie, które potem kupi dziesięć osób na krzyż, ale nie ja. Grant Books jest instytucją dochodową, Claire. Musisz zstąpić z tej swojej wieży z kości słoniowej, jeżeli chcesz u nas zostać. Musisz wyczuwać, co ludzie chcą czytać. Czy tylko ja to łapię? Dlaczego ja jedna, do cholery, mam czuja? A wy, banda snobów, chodzący w chmurach absolwenci Ligi Bluszczowej. Jesteście tak cholernie... tak cholernie anemiczni, że rzygać się chce.

Dosłownie mnie zatkało. Czułam się, jakbym dostała obuchem w głowę. Nie przesłyszałam się? Vivian naprawdę mi wygarniała? Chociaż urabiałam sobie ręce po łokcie, żeby dowieść swoich talentów redaktorskich, chociaż bez słowa skargi przyjąłam dwadzieścia pięć książek, chociaż ledwo mi wystarczało czasu na własne projekty, chociaż od przyjścia do pracy zrezygnowałam ze wszystkich wolnych weekendów...

- Ile ty masz lat, dwadzieścia sześć?! - wykrzyknęła Vivian, pałając gniewem, który zawibrował w słuchawce, aż ścisnęłam ją mocniej. - Jesteś jeszcze dzieckiem. Sytuacja cię przerasta. Nie wiem, gdzie ja miałam rozum, żeby cię zatrudnić. No nic, muszę kończyć. Bo ja tu pracuję, Claire, nie mogę tracić całej nocy na pogaduszki z tobą.

Trzask.

Głowa opadła mi na ręce. Zatkało mnie. Na kilka minut w pustym gabinecie zapadła taka cisza, że słychać było, jak chwytam powietrze.

Właściwie rozum stale podpowiadał, że i na mnie któregoś dnia spadnie gniew Vivian, podobnie jak na wszystkich jej

współpracowników. Ale żywiłam idiotyczną nadzieję, że może dla mnie szefowa zrobi wyjątek, że na zawsze pozostane jej pupilką, jej prymuską.

Z ciężkim sercem zebrałam manatki i wyszłam z gabinetu, zostawiając porozrzucane teczki. Takie zmieszanie z błotem przez szefową wywołało nie lada wstrząs u osoby tak złaźnionej aprobaty. Nigdy wcześniej nikt na mnie nie krzychał, przynajmniej nie tak zjadliwie, żrąco.

Miodowy miesiąc najwyraźniej dobiegł końca.

* * *

- Kochanie, niemożliwe, żeby tak cię to zdenerwowało - zaświergotał Randall, grzechocząc kostkami lodu w szklance whisky. Ponieważ Bea pojechała już na Long Island, zadzwoniłam do Randalla po wsparcie i otuchę, chociaż było to dla nas nowe wyzwanie. Zgodził się spotkać ze mną na szybkiego drinka w Hudson Bar & Books przed moim powrotem do pracy. - Widocznie miała ciężki dzień i szukała kozła ofiarnego. W świecie biznesu często się to zdarza. Kiedy piałem się po szczeblach kariery u Goldmana, codziennie tak obrywałem. Gdybym brał sobie do serca każdą awanturę, którą urządzał mi ktoś z dyrekcji, a która nie miała nic wspólnego ze mną... nie wytrzymałbym tam dłużej niż trzy dni.

Roześmiał się na tę myśl.

Wiedziałam, że Randall ma rację. Zachowywałam się jak dziecko, powinnam wziąć się w garść. Co z tego, że nakrzychała na mnie szefowa? Miliony podwładnych radzą sobie z czymś takim na co dzień. Na pewno i ja sobie poradzę. Reaguję przesadnie, bo nie przywykłam do takiej sytuacji. Całe życie trzymano mnie pod kloszem. Rozpieszczano. „Ty się tylko staraj, a będziemy z ciebie dumni” - zapewniali mnie zawsze rodzice. Szóstki za same chęci. U Jacksona

obowiązywały te same zasady. Wiedziałam, że bliscy mieli jak najlepsze zamiary, ale zrobili ze mnie nadwrażliwą bekę.

Randall miał rację. Skoro wkroczyłam na wyższy poziom odpowiedzialności, muszę nauczyć się znosić ciosy.

Przy drugim, szybko wypitym kieliszku wina poczułam się trochę lepiej niż po wyjściu z pracy. Łzy obeschły, a ja, do cna wyczerpana, miałam w głowie już tylko spokój. W głębi jednak czaiło się mroczne poczucie, ślad gniewu Vivian, którego nie wchłonęłoby całe jezioro szampana.

A jeżeli Vivian uzna mnie za tak niekompetentną, że mnie zwolni? Nie umiałam się przyznać do takiego braku poczucia bezpieczeństwa przed swoim wybitnie utalentowanym chłopakiem, chociaż ludzie bez przerwy wylatywali z Grant Books. Gdybym została bez pracy, może musiałabym po kilku miesiącach wrócić jak niepyszna do P and P. Co za upokorzenie! Skoro wywołałam taki gniew szefowej ciężką pracą w piątek w nocy, kto wie, kiedy w moją stronę poleci zszywacz, a na biurku znajdę wymówienie? Vivian wyrzucała podwładnych równie bezmyślnie i regularnie, jak inni opróżniają kosz na śmieci.

Machnęłam na kelnerkę, żeby dołała mi wina. Moje nadzieje sprzed pięciu miesięcy, że sprawdzę się jako redaktorka Grant, znajdę świetne książki, pchnę swoją karierę kilka kroków naprzód, teraz wydały mi się płonne. Kogo chciałam oszukać? Jestem jeszcze smarkata i chociaż wychodzę ze skóry, żeby jak najlepiej wykonywać swoją robotę, chyba nie mam odpowiedniego doświadczenia, niezbędnego do prowadzenia tylu projektów naraz. Może naprawdę sytuacja mnie przerosła.

- Serce mi się ściska, kiedy widzę cię taką roztrzęsioną, cher Claire - powiedział Randall, zwracając się do mnie tym nowo ukutym dla mnie pieśczośliwym określeniem.

Pogłaskał mnie po ramieniu. - Może ta praca nie jest warta twoich nerwów. Może...

- Przestań - przerwałam mu, potrząsając głową. Mimo rozdygotania wiedziałam, że nie zrezygnuję. Poprzysięgłam sobie, że utrzymam się tam przez rok, dlatego jedna bura z pewnością nie wysadzi mnie z siodła. - Udowodnię jej, że nie ma racji - szepnęłam, bardziej do siebie niż do Randalla.

Będę musiała bardziej się przyłożyć. Pociągnęłam duży haust wina.

- Jestem tego pewny, kochanie - powiedział Randall krzepiąco. - Jesteś gwiazdą. Vivian Grant ma szczęście, że do niej trafiłaś. Sama dobrze o tym wie, może tylko miała złą noc, a ty znalazłaś się na linii ognia. Jestem pewien, że to minie, cher Claire.

- Kochany jesteś - powiedziałam, całując go w policzek. - Od razu mi lepiej.

Świetnie się spisał w zastępstwie Bei.

- Cieszę się. - Pocałował mnie w nos. - Nie mogę patrzeć, jak się denerwujesz. Żałuję, że muszę wracać do pracy. - Spochmurniał, spojrzął na zegarek. - Ale jeżeli nie zrobię tej notatki dzisiaj, zostanie mi na jutro.

- Obiecuję, już wszystko będzie dobrze - zapewniłam go.

W głębi duszy jednak skręcałam się po powrocie do domu sama. Tego wieczoru nie chciałam nawet słuchać własnych myśli, a co dopiero echa myśli Vivian. Mogłam pójść do Randalla i tam na niego zaczekać, ale nie wiadomo, jak długo zostanie w pracy, a ja zawsze czułam się niezręcznie sam na sam w jego apartamencie ze Svetlaną.

Randall poszedł do baru, żeby zapłacić. Markotnie upiłam jeszcze łyk wina, patrząc, jak atrakcyjna barmanka robi słodkie oczy do mojego chłopaka. O dziwo, wcale mnie to nie zirytowało, bo wiedziałam, jakim porządnym, godnym zaufania facetem jest Randall, zresztą nigdy przy mnie nie

oglądał się za spódniczkami. Wcale się pod tym względem nie wdał w ojca. Inna sprawa, że zupełnie się tej kobiecie nie dziwiłam. W doskonale skrojonym garniturze, w krawacie Hermesa, Randall prezentował się niezwykle atrakcyjnie, jak zawsze.

Co tam, pocieszałam się, nieważne, że w pracy uderzyłam w wielki mur, ale przynajmniej nadal mam wymarzonego faceta.

Wrócił do stolika i położył mi rękę na ramieniu.

- Przyjadę po ciebie jutro o trzeciej. A, byłbym zapomniiał. Moi rodzice nieoczekiwanie przyjechali do Southampton na weekend. Chyba umówili się z kierownikiem budowy w sprawie nowego domku gościnnego w naszej rezydencji. Sądzisz, że wykroimy dla nich godzinę przed wyjazdem do Montauk? Gdybyśmy wpadli na koktajl o szóstej, jeszcze zdążymy dojechać do Bei i Harry'ego na kolację.

- Twoi rodzice? Fantastycznie - odpowiedziałam, wspinając się na palce, żeby pocałować go na pożegnanie.

Wymarzony facet, który chce mnie przedstawić rodzicom. Ech, naprawdę życie nie traktuje mnie tak źle.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY WYKOŃCZYĆ BOGATYCH

- Bardzo chciałbym, żebyś poznała moich rodziców, ale jeśli uważasz...

- Nie, nie, chętnie ich poznam, tylko...

Randall położył mi palec na ustach. Dwie godziny od wyjazdu z miasta toczyliśmy nieprzerwanie tę dyskusję i żadne z nas nie mogło dokończyć zdania. Owszem, poprzedniego dnia zgodziłam się wpaść na koktajl do Lucille i Randalla Coksa II przed obiadem w Montauk z Beą i Harrym. Oczywiście, że miałam na to ochotę, lecz również czułam tremę. A jeżeli nie uznają mnie za odpowiednią partię dla ich syna? Jeden druzgoczący cios w ciągu całego weekendu to i tak aż nadto, a za sprawą Vivian poprzedniego wieczoru wyczerpałam limit.

- Nie masz powodów, by się denerwować. Moja mama dosłownie szaleje z zachwytu, że spotykam się z córką Patricii Truman - twierdził Randall. - Uwierz, spełniło się jej najskrytsze marzenie.

Jedną ręką trzymając kierownicę, drugą przyciągnął moją głowę, tak że spoczęła niezdarnie na jego muskularnym ramieniu. Chwilę wytrzymałam w tej niewygodnej pozycji, ale samochód wpadł na wybój. Kiedy uderzyłam w Randalla skronią, wróciłam do wyprostowanej pozycji.

- Jesteśmy na miejscu! - oznajmił kilka minut później i ścisnął mnie za kolano.

Tak? Wydawało mi się, że jedziemy spokojną polną drogą, wysadzaną z obu stron rozłożystymi dębami, a teraz zorientowałam się, że to długi prywatny podjazd do rezydencji Coksów. Randall zaparkował porsche w parku, wysiadłam, rozejrzałam się. Ogromny, szalowany deskami dom projektu Stanforda White'a, rolowane trawniki, znakomicie utrzymane korty tenisowe, słońce zachodzące tuż za domem za ocean.

Wkroczyłam w scenę wyjętą z Wielkiego Gatsby'ego. A Randall - który przeciągnął się jak sportowiec, aż mu koszulka polo podjechała do góry, odsłaniając naprężone mięśnie brzucha - idealnie pasował do obrazka.

- Dojechaliśmy w znakomitym czasie - powiedział, czule klepiąc maskę samochodu.

Kiedy weszliśmy do olbrzymiego marmurowego holu, słyszałam niski, tubalny śmiech przeplatający się z perlistym, sopranowym chichotem. Randall wziął mnie za rękę, poprowadził w kierunku tych wybuchów radości i brzęku kieliszków.

- Kochanie! - Gdy tylko weszliśmy do salonu, podbiegła do nas Lucille Cox. Uściskała nas oboje, a mnie wycałowała z dubeltówki. Była najszczuplejszą, a zarazem najbardziej opaloną kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam, nienagannie ubraną, z kopułą rozjaśnionych włosów na głowie. - Witaj, synku! I witam ciebie, Claire. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy cię poznamy, skarbie. Randall opowiada o tobie w samych superlatywach.

Od razu zrobiło mi się miło. Randall tak się mną zachwyca?

Ojciec Randalla, który nie zdołał wtrącić słowa, podszedł i podał mi rękę. Zobaczyłam, po kim Randall odziedziczył urodę. Mimo sześćdziesiątki na karku ojciec nadal był bardzo przystojny. Szczeka mu nieco obwisła, a z nosa sterczały kępki włosów, ale twarz nie straciła oryginalnego rysunku.

- Miło mi cię u nas widzieć, Claire - powiedział donośnym głosem. - Ale do rzeczy. Czego się napijesz?

Po dwóch zaskakująco mocnych wódkach z tonikiem stworzyliśmy kwartet roześmianych głosów. Patrzyłam z rozczuleniem na wszystkie osoby w pokoju. Na pewno przyzwyczaję się do tej rodziny, pomyślałam, kiedy Randall II nalał mi następnego drinka, a Lucille podsunęła kolejnego

dunhilla. Ciekawa odmiana - poznać ludzi, którzy nie starają się walczyć z własnymi słabościami.

Burczało mi trochę w brzuchu, bo od rana prawie nic nie jadłam. Za bardzo byłam zdenerwowana po reprimendzie Vivian i wobec perspektywy spotkania z rodzicami mojego chłopaka. Jak na zawołanie wkroczyła z tacą przystawek pokojówka w wykrochmalonym uniformie. Z wdzięcznością wzięłam kawałek melona z szynką. W samą porę. Gdybym teraz się nie posiliła, nie dotrwałabym do obiadu. Tata Randalla nie ograniczał się z wódką.

- Nie, dziękuję, Carlotto - odmówiła Lucille, nie spoglądając nawet na tacę.

- Ja też podziękuję - zawtórował jej Randall. Pokojówka postawiła srebrną tacę między mną a panem

Coksem, który z radością pochłoniął kilka ciasteczek krabowych.

- Pyszne - pochwaliłam i wzięłam drugą porcję. Pan Cox pokiwał głową.

- A spróbuj ptysiów łososiowych - zaproponował serdecznie.

- Jak ty utrzymujesz tak wspaniałą figurę, kochanie? - zapytała Lucille z powściągliwym uśmiechem, kiedy brałam przekąskę ze lśniącej tacy.

- Mamo - szepnął ostrzegawczo Randall. Upuściłam ptysia na serwetkę, bo nagle poczułam, że zaraz wyrośnie mi ryjek. Nic dziwnego, że ta kobieta wychowała syna, który przeżuwa każdy kęs sto razy.

- Claire, musisz wiedzieć, że uwielbiałam twoją matkę na studiach - powiedziała Lucille, kładąc kościste palce na mojej ręce. Od razu rozmowa potoczyła się dwutorowo. Randall wdał się z ojcem w dysputę na temat inwestycji. Siedzieli z wyciągniętymi naprzeciwko siebie skrzyżowanymi nogami, odsłaniając identyczne kaszmirowe skarpetki nad

dopasowanymi butami Gucciego. Chuda Lucille przysiadła się do mnie.

- Miło słyszeć - odparłam. - Mama mówi to samo...

- Bo byłyśmy w Vassar jak siostry! Wszystko miałyśmy wspólne: szczotki do włosów, notatki z wykładów, ciuchy, czasem nawet chłopców. - Lucille roześmiała się perliście na to wspomnienie. - I wiesz, że nigdy, ani przedtem, ani potem nie miałam tak bliskiej przyjaciółki. Tish - Tish była jedyna, niepowtarzalna.

Tish - Tish? Nigdy przedtem nie słyszałam tego koszmarnego przezwiska mamy. Jakie to smutne, że przyjaźń może tak wystygnać. Od razu pomyślałam o Beatrice. Ostatnio tak byłam zajęta pracą i nowym związkiem, że nasze rozmowy ograniczały się do dwuminutowych kontaktów. Czy to możliwe, że nasze drogi się rozejdą tak jak w przypadku mamy i Lucille? Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Zmroziła mnie ta myśl. Jeżeli wierzyć Lucille, ona i mama były dawniej jak papużki nierozłączki, a teraz nie widziały się przeszło dziesięć lat.

- Nie masz pojęcia, jak tęsknię za twoją matką - ciągnęła melodramatycznie Lucille, aż zadrgało jej czoło. Gdyby z większym umiarem wstrzykiwała sobie botox, pewno zmarszczka smutku ściągnęłaby jej czoło. - Bardzo nad tym ubolewam, bo sama wiesz, Claire, jakie ona prowadzi tam życie. Serce mi się do niej wrywa. Gdybyśmy tylko zdołały ją przekonać, żeby przeprowadziła się bliżej Nowego Jorku.

Jakie prowadzi życie? Wedle mojej najlepszej wiedzy mieszkała na pięknej małej farmie na cudownym terenie. Żyła w otoczeniu przyjaciół, którzy uwielbiali ją, podobnie jak niegdyś mojego tatę. Nigdy wcześniej nie pracowała z większym zaangażowaniem, a ku swojej ogromnej radości zaczęła sprzedawać prace nawet do małych galerii w całym kraju.

- Mnie się wydaje, że jest szczęśliwa - sprostowałam.

- Wiem, że tak twierdzi, skarbie, ale chyba w to nie wierzysz. Jak ktoś może być szczęśliwy w głuszy? Z dala od kultury, praktycznie pozbawiony możliwości podróżowania. W dodatku zmuszony sprzedawać własne prace? Gdyby twój ojciec potrafił... ale nie mówmy źle o zmarłych.

Krew napłynęła mi do twarzy. Spojrzałam ostro na Randalla, który siedział całkowicie pochłonięty rozmową z ojcem i nie mógł mnie wesprzeć. Czyżby jego matka po dwudziestu minutach wizyty próbowała wyprowadzić mnie z równowagi? Bo jeśli tak, oburzająca insynuacja na temat mojego taty i protekcyjnalna uwaga na temat mamy z pewnością zrobią swoje.

Trzymaj nerwy na wodzy, Claire. Zaczepnęłam głęboko tchu.

- Pani Cox, moja mama naprawdę jest szczęśliwa - powiedziałam stanowczo. - Może Iowa City nie jest metropolią ale zdziwiłaby się pani, jakie tam kwitnie życie kulturalne. A mamę bardzo cieszy rosnący popyt na jej prace. Satysfakcjonuje ją z różnych powodów, nie wyłączając finansowego.

- Rozumiem, rozumiem. - Lucille, wyraźnie nieprzekonana, pokiwała głową. - Mam nadzieję, skarbie, że się nie mylisz.

I mama lubiła tę kobietę? Kiedyś się z nią przyjaźniła?

- Ja też znam Vivian Grant - ciągnęła Lucille, sygnalizując gestem Carlotcie, żeby nam dołąła. Spostrzegłam, że na dźwięk imienia Vivian ojciec Randalla oderwał się na chwilę od rozmowy, ale umknęło to uwadze Lucille. - Straszna ta Vivian. Nawiedzona kobieta. Doceniam jej karierę, ale co ona zrobiła ze swoim życiem? Nie uważasz, że warto zachować równowagę między pracą a domem?

Lucille miała rację - Vivian była straszna. A po awanturze, którą zrobiła mi w nocy, bardzo chętnie słuchałam wszelkich słów krytyki na jej temat. Wychyliłam kolejny łyk wódki z tonikiem i skinieniem głowy przyznałam skwapliwie rację mamie Randalla.

Oho. W głowie przestało mi się kręcić, ale pokój wirował nadal.

Lucille uśmiechnęła się do mnie serdecznie, jak gdybym usunęła niewidzialną przeszkodę.

- Jak to miło spotkać młodą kobietę, która podobnie myśli. Zwłaszcza że mój syn tak bardzo się zaangażował. Może nie powinnam ci tego mówić, ale jego ostatnia dziewczyna, Coral... - Skrzywiła się, żeby pokazać mi dobitnie, co sądzi na temat tej osoby. - Za bardzo skupiała się na pracy. O niczym innym nie umiała rozmawiać. Nie mam oczywiście nic przeciwko pracy zawodowej kobiet, ale serce matki podpowiada mi, że Randall byłby szczęśliwszy z kobietą... nieco mniej ambitną.

Co? Uważała mnie za mniej ambitną?

- Prawdę mówiąc, sama dość dużo pracuję, proszę pani...

- Ależ naturalnie, moja droga, przecież nie twierdzę, że nie traktujesz swojej pracy poważnie. Zapomnij, że w ogóle to powiedziałam.

Przynajmniej wybrała odpowiednią porę - po wypiciu trzech mocnych drinków na pusty żołądek chyba nietrudno mi będzie zapomnieć ten komentarz.

- Osobna sprawa to pochodzenie Coral - kontynuowała swój wywód Lucille, jakby miała obsesję na punkcie byłej dziewczyny Randalla. - Jak by to powiedzieć oględnie... cóż, nie potrafię. Wychowała się w dzielnicy domów w przyczepach kempingowych. Może uznasz, że przesadzam albo koloryzuję, ale zapewniam cię, że nie. - Lucille potrząsnęła głową, jak gdyby nadal trudno jej to było

przełknąć. - Niby nie powinno się wytykać dziewczynie jej pochodzenia. Trzeba przyznać, że wysoko zaszła, bo w końcu dotarła aż na prawo w Yale, ale oboje, ja i mój mąż, uznaliśmy, że Randallowi i Coral będzie dużo trudniej, ponieważ nie pochodzą z podobnych sfer. Bo, na przykład, gdyby mój syn zechciał zostać członkiem klubów Bath and Tennis czy Shinnecock? Może to straszne, ale niektóre z najlepszych klubów przestrzegają ściśle zasad nawet wobec członków takich rodzin jak Coksowie. I po co sobie utrudniać życie tam, gdzie nie trzeba? Nie umiałam odpowiedzieć na to pytanie, bo pokój wybuchnął kwiecistym różem i nagle zakręciło mi się w głowie.

- Randall - przerwałam trochę zbyt głośno. - Musimy pilnować czasu. O ósmej mamy być u Bei i Harry'ego.

Uśmiechnął się, pokiwał głową i wrócił do rozmowy. Lucille ciągnęła swoje.

- Wiem, skarbie, że powinnam zachować większą wstrzemięźliwość - szepnęła konfidencyjnym tonem, lecz tak głośno, żeby panowie usłyszeli. - Ale jesteś taką dziewczyną, o jakiej zawsze marzyłam dla Randalla. Jak powiadam, wprost uwielbiałam twoją matkę. Zawsze była taka elegancka, wytworna, piękna. Mogła mieć wszystkich mężczyzn na świecie. Żadna tajemnica, że Harrison Westville Trzeci, dziedzic fortuny pasty do zębów Westville'ów, porwałby ją bez mrugnięcia okiem.

Aż syknęła z wrażenia.

- O czym wy tu plotkujecie? - wtrącił w końcu Randall. - Mamo?

- Ach, takie tam babskie sprawy - powiedziała Lucille ze śmiechem. - Kochanie, może namówię was, żebyście zostali na obiad? Kucharka przyrzadziła swoją specjalność, kury kornwalijskie, a my chętnie spędzimy z wami więcej czasu.

- Co ty na to, Claire? - zapytał. - Czy Bea i Harry nie będą mieli pretensji, jeżeli umówimy się jutro z nimi na wczesny obiad, a zanocujemy tutaj?

Co?! Pokój wreszcie przestał wirować i raptownie się zatrzymał. Bea i Harry przez pół dnia szykowali dzisiejszą kolację, czekając na naszą wizytę. Nie możemy odwoływać spotkania w ostatniej chwili! Tyle wiedziałam nawet w tym swoim zamroczeniu.

- Bardzo żałuję - powiedziałam, odczekawszy chwilę - ale nie chciałabym sprawiać przykrości naszym przyjaciołom. Długo czekali na okazję, żeby spędzić więcej czasu z Randallem, a tę kolację planowaliśmy od dość dawna.

- Oczywiście. Szkoda, ale rozumiemy - powiedziała Lucille. - Odłożmy to na kiedy indziej. Mam nadzieję, że wkrótce znów cię zobaczymy, Claire. I twoją mamę też! Musisz koniecznie mnie zawiadomić, jeśli przyjedzie do Nowego Jorku. Marzę o spotkaniu z nią.

Wszyscy czworo wstaliśmy, wycelowaliśmy się na pożegnanie. Musiałam dokładać starań, żeby utrzymać się w pionie.

Kiedy Randall pomógł mi wsiąść do sportowego porsche, pomachałam jego rodzicom na pożegnanie, starając się robić dobrą minę do złej gry.

- Nie do wiary, że się tak zachowałeś! - ofuknęłam Randalla, gdy tylko zamknął drzwi.

- Jak?

- Próbowaleś wystawić Beę i Harry'ego! Zrzuciłeś na mnie odpowiedzialność. Musiałam odmówić twojej mamie, kiedy zaprosiła nas na obiad.

Randall nie odrywał oczu od drogi. Przez chwilę jechaliśmy w brzemiennej ciszy. Kiedy opuszczaliśmy kręty podjazd, nad nami wzeszedł na niebo księżyc.

- Przepraszam cię, kochanie. Nie pomyślałem - powiedział w końcu i pocałował mnie w rękę.

Nie wiadomo dlaczego (chyba pod wpływem wódki) jego machinalna kapitulacja dołała tylko oliwy do ognia.

- I co to za historia, że mama nie polubiła twojej byłej dziewczyny, bo... urodziła się w za biednej rodzinie? Albo za bardzo skupiała się na pracy? Cóż to jest za ograniczone myślenie. Przecież to samo można powiedzieć o mnie!

- Mama nie powinna się tak wypowiadać na temat Coral! W ogóle nie powinna nic o niej mówić! - wyrzucił z siebie Randall, szczerze poirytowany. Zaraz się jednak zmitygował. - Ale ciebie to przecież nie dotyczy. Twoja mama pochodzi z bardzo dobrej bostońskiej rodziny, a twój tata był szanowanym wykładowcą. Nie ma w ogóle porównania z dzielnicą przyczep mieszkalnych.

- Nie to mnie tak drażni! - zawołałam rozzłoszczona. Nie rozumiał, że przeszkadzało mi wywyższanie się jego matki? W dodatku z jego słów wywnioskowałam, że dobrze się zastanowił nad moim pochodzeniem. A sprawa pracy?

- Chyba wiesz, jak poważnie podchodzę do pracy? - spytałam, odwracając się bokiem, żeby móc na niego patrzeć.

Obrzucił mnie spojrzeniem.

- Claire, na tylnym siedzeniu leży woda mineralna. Może się napijesz? Bo chyba trochę za dużo ci nalano.

- Wiesz, że zależy mi na pracy, czy nie? - powtórzyłam. Z pewnością byłam napastliwa, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Oczywiście, że wiem. Boże! Naprawdę nie rozumiem, o co się tak pieklisz. Przecież to ja pomogłem ci znaleźć pracę, na której teraz tak bardzo ci zależy. Napij się wody. Zachowujesz się jak dziecko.

Zupełnie jakby mi dał w twarz. Jak dziecko. Najpierw szefowa, a teraz chłopak.

- Claire - zwrócił się do mnie Randall znacznie spokojniejszym tonem, kładąc mi rękę na kolanie. - Przepraszam. Przepraszam za mamę, że cię tak wytrąciła z równowagi. Chce dobrze, ale czasem potrafi coś palnąć... Z całą pewnością nie powinna wspominać o Coral ani wygadywać tych bzdur o pracy. Chyba bała się tego spotkania z tobą i dlatego pobłądziła. Przyjmij moje przeprosiny. Również za propozycję zmiany planów. Rzadko widuję rodziców, bo stale jestem zajęty, dlatego poczułem wyrzuty sumienia, że nie możemy zostać u nich dłużej. Od wielu tygodni tak bardzo chcieli cię poznać. Moja mama o niczym innym nie mówiła.

Gniew natychmiast ustąpił. Co ja wyprawiam? Może Lucille trochę mnie zdenerwowała, ale czy naprawdę muszę skakać Randallowi do oczu zaraz po zamknięciu drzwi samochodu? Nawet jeżeli przesadził z tą kolacją. Postąpił jak dobry syn, który nie chce sprawiać zawodu rodzicom. Dlaczego niszczyć pierwszy od miesiący wspólny weekend, który udało nam się wygospodarować?

- Przepraszam, Randall, nie wiem, co we mnie wstąpiło - powiedziałam cicho, z zażenowaniem. Podał mi butelkę wody, napiłam się.

- Nie przejmuj się. Wrzućmy na luz i bawmy się dobrze. Pokiwałam głową, napiłam się wody, a porsche Randalla mknęło pod bezgwiezdnym zimowym wieczornym niebem.

Przechyliłam się na bok, pocałowałam swojego mężczyznę w policzek, czym wywołałam jego uśmiech. Przystojny, mądry, dobry syn... i wybaczący. Ideał.

* * *

Bea stała na ganku, obramowana ciepłym światłem, i machała radośnie. Nigdy nie cieszyłam się bardziej na jej widok. Po wielu tygodniach szczątkowych kontaktów i po

rozmowie z Lucille marzyły mi się prawdziwe pogaduchy z przyjaciółką.

- Cześć, kochani! - przywitała nas, kiedy wysiedliśmy. Na szczęście czterdziestominutowa jazda do Montauk i litr wody przywróciły mnie do stanu względnej trzeźwości. Przekonałam Randalla, żeby pozwolił mi trochę uchylić okno, chociaż nienawidził najłżejszego wiatru w aucie, który mógłby mu zmierzwić idealnie nażelowane włosy, ale tym razem zrobił wyjątek. Chłodna, czysta bryza morska przewietrzyła mi głowę.

- Wyglądasz jak zawsze pięknie, Beatrice - przywitał ją Randall i pocałował, a Harry'ego klepnął w plecy.

- Coś wspaniałego! - pochwaliłam dom, kiedy weszliśmy do świeżo wyremontowanej kuchni. Wydała mi się niezwykle przytulna: piękna boazeria, ogromny stary wiejski stół, portrety rodzinne, które Bea ze znanostwem powiesiła na jednej ścianie.

- Prawda, że ślicznie wszystko urządziła? - spytał Harry, prowadząc nas do salonu.

- Przepięknie! - zawtórował Randall, rozglądając się. - Bea, a może zechciałabyś zadbać o wystrój mojego nowego domu w Nantucket? Odpowiada mi twój gust.

- Naprawdę? - spytała z ożywieniem. - Bardzo chętnie.

- Świetnie. W przyszłym tygodniu moja sekretarka przekaże ci szczegóły. Byłbym zapomniiał. - Randall wręczył Harry'emu nieco zakurzoną butelkę wina. - Petrus, osiemdziesiąty piąty, znakomity rocznik.

- O rany! - zawołał Harry. - Niesamowita butelka! Dzięki, Randall, doceniam gest.

Poczułam wewnętrzne ciepło. Cóż za piękny widok - mój fantastyczny chłopak w tak dobrej komitywie z moimi przyjaciółmi. Jedna wielka szczęśliwa rodzina.

- I jak ci poszło z rodzicami Randalla? - zapytała szeptem Bea, kiedy usiadłyśmy na kanapie, a panowie poszli się zająć winem.

- Opowiem ci później. Nie da się tego streścić w jednym słowie.

- A, zapomniałem ci przekazać ploteczkę z zeszłego tygodnia - powiedział Harry, wchodząc do salonu z dwoma kieliszkami wina dla nas. - Nie zgadniecie, kogo widziałem migdalącego się w małej, dyskretnej knajpce obok mojego biura.

- Migdalącego? Chyba znów czytasz dział plotek w gazecie.

- Zgadnij - powiedział Harry ze śmiechem.

- Dobra, ale proszę o podpowiedź: gwiazda, polityk czy duch przeszłości?

- Polityk i... bo ja wiem, poniekąd gwiazda. W każdym razie ja ją poznałem. Trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy jak gołąbeczki. Poddajesz się? - Harry'ego dosłownie skręcało, żeby mi powiedzieć, skinęłam więc głową. - Vivian Grant z zastępcą burmistrza.

- Czekaj, a kto jest teraz zastępcą burmistrza?

- Stanley Prizbecki. Chyba byś go poznała. Wielki osiłek, wiecznie jakby niedogolony, potężne bicepsy... prawa ręka burmistrza.

- I widziałeś, jak się migdalił z Vivian?

Chyba nie do końca wyczuwałam to określenie, ale i tak wydało mi się za ciepłe i za miłe dla któregokolwiek z nich. O kurczę, to dopiero sensacja.

Burmistrz, a co za tym idzie jego zastępca Prizbecki, odniósł druzgoczące zwycięstwo podczas ostatnich wyborów, do których poszedł z hasłem: „Nowojorczyki potrzebują silnej ręki”. Spełnił obietnice przedwyborcze, bo przypuścił ostry atak na zorganizowane grupy przestępcze i korupcję wśród

urzędników, a Prizbecki najwyraźniej stanowił ramię zbrojne wielu jego batalii, ale ostatnio czytałam, że zdaniem wielu nowojorczyków obaj posuwają się za daleko. Nie miałam do końca przemyślanej opinii na temat ich rządów, ale jedno wiedziałam na pewno - Stanley Prizbecki wygląda mi na ponurego typu.

- Harry, czy Stan nie jest żonaty? - spytała Bea.

- Owszem, i ma czworo małych dzieci.

Wszystko jasne. Zobaczyłam wszystko jak na dłoni. Vivian wcieliła się w rolę tej drugiej kobiety, rozwalala czyjeś gniazdo... układało mi się to w spójną całość.

- Nienawidzę takich facetów. Żona pewno pomogła mu wdrapać się na szczyt, a on tak jej teraz odpłaca - rzuciła oburzona Bea. - Biedne te jego dzieci!

Zauważyłam, jak Randall marszczy czoło. Że też Bea musiała poruszyć ten temat! Kilkadziesiąt lat temu Randall sam był takim biednym dzieckiem. Nawet przyłapał Vivian w korytarzu po stosunku - moja szefowa opowiadała mi o tym wydarzeniu z nietaktownym rozbawieniem. Aż mnie przeszedł dreszcz. Kolejny powód, żeby ją znienawidzić.

- Bea, pomoc ci w kuchni? - zapytałam, marząc o tym, żeby uciec od tematu romansów Vivian. - Bo aż mi ślinka cieknie na te zapachy.

- Dzisiaj właściwie gotuje Harry. Poda gicz cielęcą.

- Gicz cielęcą? - powtórzył Randall. - Prawdziwy z ciebie człowiek renesansu. Pachnie niewiarygodnie.

- I chyba właśnie się dopiekła. Może przejdziemy do jadalni? - zaprosił Harry, wskazując drogę.

* * *

- To był bardzo miły weekend - powiedział Randall, kiedy jechaliśmy Midtown Tunnel w drodze powrotnej z Long Island. - Bea i Harry są wspaniali.

- Cieszę się, że znalazłeś z Harrym wspólny język! - pochwalałam go.

Rano wyrwali się na partyjkę ping - ponga. Ani ja, ani Bea nie miałyśmy takich sportowych ambicji. Zaparzyłyśmy dzban kawy, przygotowałyśmy cały talerz pączków, usiadłyśmy na kanapie i przegadałyśmy kilka godzin. Od razu lepiej się poczułam. Błękitne niebo, świeże powietrze, fantastyczni przyjaciele... życie potrafi być jednak cudowne, kiedy człowiek nie siedzi cały czas przykuty do biurka.

- Och, kochanie, nie musisz mnie odwozić pod same drzwi!

Nagle uprzytomniłam sobie, że Randall kieruje się w stronę centrum. Sądziłam, że pojedziemy prosto do jego garażu przy 78th Street, skąd wezmę taksówkę.

- Wiem, że nie muszę, cher Claire. - Uśmiechnął się, uniósł moją rękę, pocałował. - Ale chcę.

- No dobrze... w takim razie skręć w lewo. Patrzyłam, jak Randall wybałusza oczy, kiedy wjechaliśmy na moją ulicę. Nigdy wcześniej nie widział, gdzie mieszkam. Zawsze łądownaliśmy u niego, bo miał dużo ładniejsze mieszkanie, no i zrywał się absurdalnie wcześnie do pracy. Denerwowałam się jak głupia, co sobie pomyśli. Kiedy stanęliśmy na czerwonym świetle, odruchowo zamknął automatycznie wszystkie drzwi, odcinając nas od świata zewnętrznego.

Po chwili podjechał pod rozwalającą się markizę przed moim domem. Porsche natychmiast obstąpiła grupa podrostków, jakby ten pojazd przybył z kosmosu.

- Nie pozwolę ci samej wysiąść, skoro kręci się tutaj tylu meneli - oznajmił opiekuńczo.

- Meneli? Chodzi ci o tych chłopaków? Zawsze się tu kręcą. Zapewniam cię, że są absolutnie nieszkodliwi.

Pocałowałam go i sięgnęłam na tylne siedzenie po torbę.

- Claire, musimy znaleźć ci lepsze lokum - wypalił bez ogródek Randall, rozejrzawszy się po okolicy. Patrząc za jego spojrzeniem, od razu poczułam, jakby ulica, z którą żyłam się przez tyle lat, przeistoczyła się w śmietnisko. Na krawężniku leżały śmieci, kilka domów dalej na gankach czaiły się podejrzane typy. Kiedy zobaczyłam swoją kamienicę oczyma Randalla, od razu wydała mi się jedną wielką ruiną. - Nie zniosę myśli, że wracasz tędy sama wieczorem do domu.

Przez chwilę chciałam się nawet postawić Randallowi, ale jednocześnie wzruszała mnie jego szczerą troską.

- Może powinnam się przeprowadzić - przyznałam. Wciągnęłam w myślach przeprowadzkę na listę rzeczy do załatwienia. Tylko jakie miałam szanse na wygospodarowanie czasu, żeby poszukać nowego mieszkania? Bardziej mizerne niż Lucille.

Randall przybrał poważną minę, wziął mnie za rękę.

- Od dawna chciałem z tobą porozmawiać. Ten temat od kilku tygodni nie daje mi spokoju, a moja mama poruszyła go nawet wczoraj w rozmowie. Według mnie to niegłupi pomysł.

- Ale co? - zapytałam, bo od razu zjeżyłam się na wspomnienie jego mamy i jej niegłupich pomysłów.

- Nie chciałabyś się do mnie wprowadzić? Miejsca jest mnóstwo i nie musiałabyś wечно przenosić swoich rzeczy...

Serce mi stanęło. Wprowadzić się? Czy on mówi poważnie? I od tygodni o tym myśli? Czyj to był pomysł? Lucille?

- Wiem, że spotykamy się dopiero od pół roku, ale ja uważam, że to świetny pomysł. Częściej byśmy się widywali, zaoszczędziłabyś trochę pieniędzy, a... - Urwał, zebrał się w sobie. - Claire, kocham cię i chciałbym, żebyśmy zamieszkali razem.

Nie wierzyłam własnym uszom. Wyznanie miłości i propozycja zamieszkania padły jednocześnie podczas jednej

rozmowy na ulicy? Randall Cox mnie kocha? I chce ze mną zamieszkać? O takiej chwili Beatrice i ja marzyliśmy przez tyle lat... i to marzenie właśnie się spełniło! Najchętniej puściłabym się biegiem tą nędzną uliczką, krzyząc wniebogłosy z radości.

- Na pewno potrzebujesz czasu, żeby to przemyśleć - powiedział ze zrozumieniem smętnym głosem Randall.

Coś takiego! Czasem zapomniałam, że faceci nie potrafią czytać w myślach.

- Ja też cię kocham, Randall! - powiedziałam. Zarzuciłam mu ręce na szyję i go pocałowałam. - Bardzo chętnie z tobą zamieszkam.

Nad czym tu się było zastanawiać? Propozycja oczywiście spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie spodziewałam się, że mój chłopak mnie o to poprosi, bo byłam przyzwyczajona do wzbraniającego się przed wszelkim zaangażowaniem Jamesa, który nie pozwalał mi nawet zostawić dezodorantu w szafce pod umywalką. Oczywiście, że chciałam zamieszkać z Randallem. Jeżeli on był gotów na tak ogromny krok w naszym związku, to ja również.

- Doskonale! - Pokiwał z radością głową. - Jutro Deirdre zadzwoni do ciebie, żeby dogadać szczegóły. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Mam mnóstwo miejsca w szafach, a na piętrze jest sala ćwiczeń. No i Svetlana ugotuje ci, co tylko zechcesz.

Wyliczał szczegóły, a mnie w głowie huczała tylko jedna radosna informacja: Randall Cox mnie kocha. Kocha mnie i chce ze mną mieszkać.

- Dobra, wyskakuj, zanim wóz mi się zagotuje - powiedział na wpół żartem Randall.

Pocałowałam go, otworzyłam drzwi.

- Kocham cię - powiedziałam i odwróciłam się, żeby mnie jeszcze raz pocałował.

- Ja też cię kocham. Zmykaj!

I pokazał mi pijaka zataczającego się na ulicy.

- Jak ja zostawię cały ten przepych? - rzuciłam na odchodnym.

Roześmiałam się i trzasnęłam drzwiami, po czym pobiegłam z torbą po schodach. Zamieszkamy razem. O rany, ale czad. Aż mi się zakręciło w głowie.

Będzie mi trochę brakowało tego gniazdka, przyznałam, kiedy usiadłam z niedzielną gazetą na starej kanapie. Ta niewielka, licha kawalerka od pięciu lat była mi domem. Chociaż nie miałam wątpliwości, że wkrótce również zadomowię się u Randalla.

Weszłam do aneksu kuchennego, wyjęłam chleb na kanapkę, a buszując w lodówce, włączyłam automatyczną sekretarkę.

- Claire? Vivian. - Tak brzmiała pierwsza wiadomość. Urządzenie odtworzyło napięty, wściekły ton głosu szefowej. Zamarłam, besztając się w duchu, że nie zdążyłam jeszcze zmienić numeru. Odezwał się uraz masakry przeżytej w piątek wieczorem. - Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? Przez cały dzień dobijam się do twojej komórki, ale musiałaś ją wyłączyć. Dobrze wiesz, jak mnie drażni, kiedy nie mogę się z kimś skontaktować. Mam kilka spraw do omówienia, oddzwoń.

Nie. Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. Absolutnie nie oddzwonię do Vivian. Będzie musiała poczekać do jutra. Od wielu miesięcy jestem na jej zawołanie. Chyba należy mi się jeden wolny weekend. Muszę się choć przez chwilę nacieszyć miłością.

- Claire! - dosłownie warknęła na drugim nagraniu. - Vivian! Oddzwoń! Nie wiem, za kogo ty się uważasz ani czemu sobie wyobrażasz, że możesz tak sobie pryskać na wagary, ale żądam, żebyś natychmiast się odezwała!

Spojrzałam na maszynę. Mrugała do mnie czerwona lampka z liczbą 18. Czyli w niecałe trzydzieści sześć godzin dostałam osiemnaście wiadomości. Oparłam się o blat, podrapałam w głowę. Wiedziałam, że wiadomości pochodzą od Vivian, przynajmniej zdecydowana większość. Mam oddzwonić? Czyżby naprawdę wydarzyła się katastrofa, czy po prostu Vivian miała taki kaprys, żeby wypruć ze mnie flaki na odległość?

Niedziela, ósma wieczorem. Mogłam zebrać cięgi teraz albo rano. W każdym razie i tak mój spokój prysnął. Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Vivian.

- Już później, do cholery, nie mogłaś zadzwonić?! - wrzasnęła, odebrawszy po pierwszym dzwonku. - Krew mnie zalewa, Claire, słyszysz? Zalewa mnie. - Usłyszałam jakiś głos w tle. - Nie! Przecież mówiłam, żebyś nie dotykał stóp, ty debilu! Masuj mi tylko nogi, tak trudno to zrozumieć? Dzwonisz nie w porę, Claire, musimy przełożyć rozmowę na jutro rano. W końcu ja też mam prywatne życie. Nie rzucę wszystkiego tylko dlatego, że ty akurat masz czas teraz rozmawiać. Zadzwon do mnie jutro z samego rana, kiedy usiądziesz przy biurku.

Trzask.

Schowałam chleb z powrotem do lodówki i nalałam sobie duży kielich pinot grigio. Usiłowałam wskrzesić w sobie poczucie szczęścia, które miałam jeszcze przed chwilą, ale strach przed Vivian wziął górę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY WŚCIEKŁOŚĆ I WRZASK

- Claire!?

Poderwałam głowę znad biurka, zmrużyłam przekrwione oczy, rozdrażniona jarzeniowym światłem. Znowu? Chciałam tylko złożyć na chwilę bolącą głowę, ale sądząc po strużce śliny na redagowanym właśnie maszynopisie, musiałam przysnąć. Zresztą nic dziwnego, zważywszy na małą dawkę snu poprzedniego wieczoru i jakże błyskotliwy temat w opracowaniu - pamiętnik mężczyzny obdarzonego największym na świecie...

- Claire, jesteś tam?! - usłyszałam ryk Vivian w interkomie przebijający się przez lawinę złowieszczych trzasków.

- Jestem, jestem - wymruczałam w odpowiedzi, naciskając czerwony guzik.

- Masz się stawić w moim gabinecie - zaskrzeczała. - Natychmiast!

W jej gabinecie? Serce podeszło mi do gardła. Przez ponad tydzień udało mi się uniknąć tego lochu zjadliwości i spustoszenia. Minał miesiąc w tym piekle, odkąd Vivian nakrzyczała na mnie po raz pierwszy, a ja właśnie próbowałam przeżyć dzień bez konfrontacji z nią twarzą w twarz. Zresztą przez interkom też potrafiła człowiekowi nieźle dopiec. W swym samotnym jak lodowy pałac gabinecie, odgradzona od świata dźwiękoszczelnymi ścianami, doszła do wprawy.

- Już idę! - krzyknęłam do pudełka, a płomień strachu natychmiast strawił resztki mojego otumanienia. Szybko przebiegłam palcami po rozpuszczonych włosach, które ostatnio myłam trzy dni temu (niedostatki higieny poniekąd usprawiedliwione nawałem pracy) i postanowiłam, że upnę je ołówkiem w koczek.

Spojrzałam na siebie. Bezmyślnie włożyłam pierwszą bluzkę, która nawinęła mi się pod rękę. Czyli zdjęłam rano z fotela czarną koszulę, którą miałam na sobie w zeszły piątek, wyjątkowo stresujący dzień. Wyglądała jak wycieńczony rozbitek, a spod pach czuć było silnym alkalicznym zapachem.

Wychodząc z pokoju, spojrzałam na wielki kalendarz ścienny. Styczeń, siódmy miesiąc. Znajdowałam się w połowie drogi. Święta Bożego Narodzenia minęły niepostrzeżenie, a moja biedna mama siedziała przy mnie na kanapie i patrzyła, jak pracuję... Tak samo spędziłyśmy Nowy Rok. Randall miał równie nieciekawą grafikę pracy w świątecznym okresie, ale udało mu się wyrwać na szybką kawę ze mną i z mamą. Nie spędziliśmy razem zbyt dużo czasu, ale przynajmniej mama go poznała. Wydał jej się w porządku. Widziałam, że miała obawy przed moim wprowadzeniem się do niego, ale usiłowała mnie wspierać.

Wykreśliłam poniedziałek z kalendarza. Z trudem zapracowany iks. Najlepszy moment każdego dnia przeżywałam, kiedy stawiałam wielki czerwony iks w kalendarzu i patrzyłam, jak mijają dni, które z wolna przechodzą w tygodnie. Czasami czułam się jak więzień karbujący ścianę celi, chociaż najczęściej bywało lepiej... bo każdy czerwony iks przybliżał mnie do końca mojego dobrowolnego rocznego wyroku w Grant Books.

Początek nowego roku miał wyjątkowo makabryczny przebieg. Moja lista książek przejętych po innych redaktorach urosła do trzydziestu dwóch pozycji. Jeszcze nigdy tylu nie prowadziłam. Za tydzień czekała nas konferencja marketingowa, dlatego usiłowałam przygotować coś na łapu - capu, cokolwiek, byle zaprezentować wszystkie książki z listy. Dlatego musiałam odwołać randkę z Randallem i zostać w pracy do wpół do czwartej nad ranem. W weekend oficjalnie

miałam się do niego przeprowadzić, przy pomocy Deirdre i Lucille, która przyjechała, żeby dopilnować szczegółów. Wyjątkowo emocjonowała się myślą, że zamieszkam w grzechu z jej synem, wręcz zaczęła wydzwaniać do mnie do pracy po kilka razy dziennie, żeby omówić niecierpiące zwłoki drobiazgi (na przykład, czy wolę w swojej nowej garderobie wieszaki satynowe, czy jedwabne).

- Gdzie ty się, do diabła, podziewasz, Claire! - Ryk z interkomu przywołał mnie do porządku. - Kiedy mówię NATYCHMIAST, co to według ciebie może znaczyć?

Ręce mi się trzęsły. Drgało lewe oko. Mam pięć sekund, żeby wziąć się w garść. Znow coś podeszło mi do gardła. Czym sobie zasłużyłam na taki gniew Vivian od rana? Walila z ciężkiego kalibru.

Umocniłam się wewnętrznie i ruszyłam pędem przez labirynt korytarzy do gabinetu szefowej. Mijając kącik Lulu, wbrew sobie rzuciłam okiem w jej stronę. Ostatnio Vivian zamieniła nam pokoje. Mnie umieściła w ciemnej klitce obok stażystów, a Lulu dała gabinet z pięknym widokiem.

Siedziała teraz za pedantycznie uporządkowanym biurkiem (trącącym nerwicą natręctw), popijała kawę ze Starbucks i pisała coś pilnie na komputerze. Miała idealną fryzurę a la Jennifer Aniston (proste, długie blond włosy), a słoneczny żółty sweter niewątpliwie właśnie wrócił z pralni.

Niech ją cholera.

W dzieciństwie naiwnie uważałam, że kiedy dorosnę, nie będę już musiała się użerać z typami w rodzaju klasowego gnębiciela albo pupilki pani nauczycielki, ale przez ostatnie siedem miesięcy przekonałam się na własnej skórze, że ludzie tego pokroju pogarszają się z wiekiem. Vivian uosabiała wyjątkowo złośliwą odmianę dręczycieli z podstawówki - taka włoży fajtlapie głowę do sedesu, ukradnie mu pieniądze na obiady, a na dodatek da kuksańca w bok i obrazi jego matkę.

Lulu natomiast ucieleśniała klasową lizuskę po trzydziestce, denerwującą prymuskę z pierwszej ławki, która zgłasza się gorliwie do odpowiedzi na każde pytanie. Na zewnątrz niby bez zarzutu, nadzwyczaj ambitna, a w gruncie rzeczy - samolubna. Nigdy nie wolno takim ufać.

Zatem Lulu wróciła do łask Vivian, a ja zostałam wygnana do komnaty horrorów, co bynajmniej nie obudziło we mnie ciepłych uczuć do ulubienicy szefowej. Chyba nie wyraziłam się dostatecznie jasno. Lulu figurowała na samej górze listy wyselekcjonowanych osób, które chętnie zrzuciłabym w samo centrum Mogadiszu.

- Phil! - zawołałam, kiedy wpadłam na niego, skręcając do gabinetu Vivian. Wyglądał koszmarnie. Ostatnio prawie go nie widywałam, bo podobnie jak ja był zawałony pracą przy kilku grubych książkach.

- Na twoim miejscu nie wchodziłbym tam, chyba że absolutnie musisz - przestrzegł mnie. - Nasza tyranozaurzyca jest głodna.

- Niestety, zostałam wezwana. - Poczułam w gardle ogromną kulę wielkości kuli bilardowej. Jeśli Vivian jest w jeszcze gorszym humorze niż zwykle, najchętniej czmychnęłabym, gdzie pieprz rośnie, ale musiałam mężnie stawić jej czoło. Uścisnęłam Phila serdecznie. - Wyrazy współczucia. Postaraj się nie brać sobie do serca jej słów.

- I nawzajem.

Westchnął i powlókł się korytarzem do swojego pokoju.

Ponownie zebrałam się w sobie, napałam na drzwi gabinetu Vivian przypominające drzwi krypty i weszłam do środka. Panował tam arktyczny chłód. Od razu usta mi zsiniały i wszystkie włoski stanęły na rękach. Vivian rozmawiała przez telefon i uniesionym palcem dała mi znak, żebym zaczekała. Usiadłam sztywno na kanapie.

Z rozrzewnieniem przypomniałam sobie przytulny gabinet Jacksona w P and P, dosłownie wytapetowany książkami, z wygodnymi skórzanymi fotelami, ciepłym oświetleniem, zdjęciami rodzinnymi, starymi maszynami do pisania. Nierzadko kupowałam coś sobie do jedzenia na wynos, zapadałam się w fotelu i ślęczałam całymi wieczorami nad jakimś maszynopisem, a obok Jackson pracował przy biurku. Mara podobnie. Jego pokój przypominał rodzinną bibliotekę. Bo też zżyliśmy się jak rodzina.

Ech, dawne dzieje.

Teraz siedziałam otoczona lśniącymi czarnymi kanapami ze skóry i chromu, dorównującymi pod względem wygody ławkom w parku. Oświetlenie było lodowate, grafiki falliczne - głównie sterczące wieżowce, które tworzą pejzaż Nowego Jorku. Tradycyjne regały ustąpiły miejsca podświetlonym gablotom. W najbliższej stojącej za szkłem leżało pierwsze wydanie Księcia Machiavellego w oficynie Vivian, a po drugiej stronie kanapy - również u niej wydana The Happy Hooker (The Happy Hooker - Szczęśliwa dziwka.). Wybór najbliższych sercu książek wiele mówił o mojej szefowej.

- Chryste Panie, co też ty, do cholery jasnej, wygadujesz. Wystarczyło, żebyś dostał jedną nominację do National Book Award, a od razu wyobrażasz sobie...

Urwała, zamilkła jak rzadko, długimi palcami bębniła nadpobudliwie o biurko, jakby wystukiwała serię z karabinu maszynowego.

Przypominała mi gangstera w starym stylu. Tacy mafiosi chodzili w dziwacznych garniturach w prążki z szerokimi klapami, błyskali krzykliwym kanarkowym brylantem na małym palcu, w otoczeniu zastępów wazeliniarskich matolów, wyćwiczonych, żeby odwracać się, kiedy szefowa nie zostawia suchej nitki na polityce wydawniczej Mather -

Hollinger. Nieraz przyszło mi do głowy, że mogę się obudzić z końskim łbem w łóżku.

Gdy ktoś zirytował Vivian, była gotowa wykończyć go na wszelkie dostępne sposoby. Powodowana kaprysem, zrywała umowy, niszczyła ludziom reputację, miażdżyła psychikę. Co gorsza, odpowiadała ogniem na najdrobniejsze uchybienie, a zatem często wdeptywała w ziemię nieszczęśnika, który choćby w najłżejszy sposób zatracił o jej ostrą paranoję. Wydawało jej się, że wszyscy chcą ją wrobić, ograbić z zysków, podważyć jej władzę i pozycję.

- Coś ty powiedział? - warknęła do telefonu, gestem nakazując mi czekać. - Ustalmy jedno, ty śmieciu, ty pariasie. Nie jestem zwykłą zdzirą, lecz zdzirą nad zdzirami. A jeżeli nie przyniesiesz w zębach gotowego maszynopisu na czwartek... tak, najbliższy czwartek... to okażę się zdzirą, która odbierze ci całą zaliczkę, kumasz? I nie obchodzi mnie, że twojej matce zostały trzy godziny życia...

Trzasnęła słuchawką, po czym połączyła się z Tadem, swoim asystentem na ten dzień (który miał dwadzieścia cztery lata, przedtem pracował jako model bielizny męskiej, a w porannym e - mailu rozesłanym do całej firmy napisał „aktor”).

- Wykreśl Hiram Petersa z mojej listy - warknęła do słuchawki. - Pieprzony pedał.

No nie. Biedny Hiram. Phil dostanie szału. Tak bardzo się starał, żeby utrzymać u nas Hiram. Ostatnia powieść epicka Petersa dostała nominację do National Book Award, co niezwykle podniosło jego reputację. Ponadto był to najsympatyczniejszy facet, jakiego znałam. Phil mi wspominał, że Hiram spóźnia się dwa tygodnie z maszynopisem, bo jego matka jest ciężko chora, i za ten występek zasłużył w oczach Vivian na miano „śmiecia i pariasa”.

Vivian przeniosła teraz swoje stalowe spojrzenie na mnie. Krew zastygła mi w żyłach.

- Widziałaś projekty okładek do White House Confidential? (White House Confidential - Sekrety Białego Domu.) - zapytała cicho. Podejrzanie cicho.

Natychmiast wróciłam myślą do niedawnego programu telewizji kablowej na kanale Explorer. Grupa pływaków na łodzi wywróconej do góry dnem przez blisko godzinę obserwuje otaczające ich rekiny, ale dopiero kiedy bestie przestają krążyć, a płetwy znikają głęboko pod wodą, rozbitkowie wietrzą prawdziwe niebezpieczeństwo. I rzeczywiście! Z odmętów oceanu wyskakują rekiny z rozdziawionymi szczękami, żeby złapać ofiary za młóćące nogi. Przeżył tylko jeden pływak, który opowiedział, jak było. Cisza nie wróży nic dobrego - ani w przypadku rekinów, ani w przypadku ataków Vivian.

- Widziałam. Karen bardzo się przyłożyła. Są mocne, przykuwające... - Odchrząknęłam, szukając w myślach kolejnych pozytywnych epitetów. Nauczyłam się na początku kariery, że branża wydawnicza uwielbia wyszukane pochwały. Utwór nie jest dobry albo zły, lecz żarliwy, przejmujący, wyjątkowy albo rozsypany, błahy, wtórny. - Prowokujące - dokończyłam.

Karen była niezwykle utalentowanym dyrektorem graficznym, ale sądząc ze stłumionych szlochów dobiegających dziś rano zza drzwi jej gabinetu, domyśliłam się, że Vivian dała jej popalić. Bardzo podobały mi się okładki Karen zaprojektowane do White House Confidential, podobnie zresztą jak wszystkim, którym je pokazywałam.

- Prowokujące? Naprawdę tak uważasz? - Głos Vivian poniósł się hen, poza budynek. Przybrała grzmiący ton. - Szczerze mówiąc, Claire, nie przypuszczam, że poznałabyś prowokację, gdyby stanęła przed tobą we własnej osobie i

ugryzła cię w dupę. Wciąż mieszkasz w wieży z kości słoniowej. Pewno dlatego nie widzisz, że są, do cholery, fatalne. W życiu nie widziałam gorszych okładek. A ty, jako re - dak - tor - ka, masz pilnować dyrektora graficznego i zadbać, żeby oddał klimat tej pieprzonej książki! Powinnaś czuwać nad całym procesem edytorskim, Claire.

Przełknęłam głośno ślinę. W ustach Vivian nie wiadomo dlaczego nawet moje imię brzmiało jak podła zniewaga.

- Dlaczego tylko ja jedna, do cholery, to rozumiem? - rozdarła się zza biurka, a jej jadeitowe oczy zapłonęły ogniem.

Dziewięć na dziesięć razy Vivian powtarza stary motyw, jeden z trzech ulubionych: 1) Dlaczego tylko ja jedna, do cholery, to rozumiem?; 2) Nie jestem, do cholery, twoją matką; 3) Dlaczego, do cholery, muszę tyrać za wszystkich? Ale przy odrobinie szczęścia można było usłyszeć wiązanek nowych, podniecających melodii.

- Wybacz, Vivian - wybąkałam. - Zaraz zajrzę do Karen. To moja wina. Powinnam była udzielić jej więcej informacji o książce.

Oczywiście kilka razy omówiłam okładkę z Karen, a ona przeczytała cały maszynopis. I naprawdę bardzo mi się podobał jej projekt. Zasługiwał na nagrodę. Gdybym się jednak postawiła Vivian, rozwścieczyłabym ją jeszcze bardziej, przed czym przestrzegał mnie na początku Phil.

Miałam nadzieję, że razem z Karen wymyślimy coś, co zadowoli szefową. Na ogół wymagało to wkomponowania wyginającego się, półnagięgo ciała na okładkę, ale to była jedna z naszych nielicznych książek, które nie traktowały wyłącznie o seksie - będziemy więc musiały ruszyć głową.

- Nie mogę, do cholery, wiecznie harować za innych! - wykrzyczała Vivian, po czym odwróciła się do komputera. Zrozumiałam, że mnie tym samym odprawia, dlatego wycofałam się z gabinetu, jak gdyby Vivian była drapieżnym

zwierzęciem, w którym nagły ruch może wyzwolić mordercze instynkty.

- Claire, jesteś chora? - spytała obłudnie Lulu, kiedy mijałam ją przy pojemniku z wodą. - Bo wyglądasz nie najlepiej. Może przez ten brak światła w twoim nowym pokoju?

Zatrzepotała rzęsami, udając troskę o moje zdrowie. - Nic mi nie jest, Lulu - zapewniłam ją przez zaciśnięte zęby.

Reszta dnia upłynęła mi błyskawicznie. Kolejne spotkania, telefony od rozwścieczonych agentów, dżungla papierkowej roboty. Zapomniałam o drugim śniadaniu i pewno obiad też przeszedłby mi koło nosa, gdyby ręce nie zaczęły mi się trząść przy klawiaturze. Zjadłam więc nadgryzionego, nieco stwardniałego snickersa, którego zachomikowałam kilka tygodni temu w szufladzie biurka. Poprosiłam Davida, żeby nie łączył mnie z nikim poza Vivian, i odwaliłam trochę roboty. Około dziesiątej zgasiał komputer i wyszłam.

Na dworze było rześko. Ożywczy wiatr przyjemnie owionął mi policzki. Wkrótce zima ustąpi miejsca wiosnie, a mnie ominie kolejny sezon, bo spędzam po czternaście godzin dziennie w pracy. Postanowiłam przejść się do stacji metra Grand Central, żeby rozprostować nogi. Przed sobą niosłam torbę wypchaną maszynopisami, które musiałam zabrać do domu.

Rano Randall wyleciał do Londynu na ważne spotkanie na szczycie. Nawet mi to odpowiadało, bo chciałam się nacieszyć ostatnimi nocami w swojej kawalerce. Kończył się jakiś etap w moim życiu.

Odetchnęłam, kłęb pary zawisł w chłodnym powietrzu.

Nagle sobie przypomniałam - kompletnie wyleciało mi z głowy, żeby zadzwonić do Luke'a Mayville'a. Telefonował rano, ale cały dzień mi przeleciał, a ja nie miałam kiedy się do

niego odezwać. Sięgnęłam po komórkę, chociaż było już dosyć późno. Luke odebrał po drugim dzwonku.

- Cześć, mówi Claire. Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale w ciągu dnia nie miałam wolnej sekundy, a chciałam ci powiedzieć, że do końca przyszłego tygodnia powinnam dostarczyć ci już tekst po redakcji. Przepraszam, że zabrało mi to tak długo... ale ostatnio mam nawał roboty.

- Chętnie przyjmę te przeprosiny, absolutnie zresztą niepotrzebne, jeżeli ty przyjmiesz zaproszenie na drinka - odparł Luke. W tle słyszałam jakieś głosy. - Jestem teraz na Perry Street, niedaleko ciebie. Spotkamy się w Otheroom?

- Bardzo chętnie - odparłam, bo zrozumiałam, że chyba po to w ogóle zadzwoniłam. Marzyłam o kimś bliskim. I o drinku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

SAMOTNIA

Z samego rana po obudzeniu pomyślałam: chwała Bogu, że to był tylko sen. Przewróciłam się na drugi bok, żeby wyłączyć guzik w budziku. Rozdzwonił się, kiedy Vivian leciała na mnie z obnażonymi wampirzymi kłami, wrzeszcząc, że nie mogę zrehabilitować maszynopisu napisanego w całości sanskrytem.

Druga myśl: zaraz zwymiotuję.

Jednym susem znalazłam się w łazience. Często niedoceniana wygoda mieszkania w takiej klitce, pomyślałam, ściągając włosy z tyłu.

Fatalnie się czułam! Wciąż miałam na sobie brudną bluzkę i spódnicę z poprzedniego dnia. Bluzka, która już wtedy nie najlepiej pachniała, teraz wydała mi się wprost obrzydliwa. Szybko ją ściągnęłam, zmiełam w dłoni i wrzuciłam do kosza z brudami. Fuj! W życiu nie czułam się tak parszywie.

Poprzedni wieczór zapamiętałam jako sekwencję oderwanych strzępów wydarzeń. Najpierw spotkanie z Lukiem w Otheroom... dzika radość, kiedy wzięłam pierwszy łyk jacka danielsa z colą... rozmowa o książce Luke'a... następna kolejka... wylewam żółć na temat pracy, Vivian, Lulu... następna kolejka... wyznaję mieszane uczucia na temat przeprowadzki z mojego mieszkania do Randalla... następna kolejka... kłopoty z jego dziewczyną weganką (kiedy przyłapała go na oglądaniu zamszowej marynarki)... następna kolejka... Luke odprowadza mnie do domu, obejmując ramieniem, bo trzęsę się z zimna... i całuje w policzek przed domem...

Ojej, aż się wzdrygnęłam. Ten moment wprawiał mnie teraz w zakłopotanie. Pociągnęłam Luka'a za rękaw, próbowałam go przekonać, żeby wszedł ze mną na górę na jeszcze jednego drinka. Nie chciałam kończyć rozmowy. I co,

wszedł? Czy coś jeszcze wydarzyło się po tym pocałunku w policzek? Grzebałam w myślach w poszukiwaniu szczegółów... ale nie, przypomniałam sobie, że z zadowoloną miną szłam po schodach sama. Byłam absolutnie pewna, że nic więcej się nie wydarzyło.

Dlaczego więc miałam takie dziwne, niejasne... poczucie winy?

Czyżbym myliła je z oślepiającym kacem?

Mimo że wszystko mnie bolało, wzięłam prysznic, ubrałam się do pracy. Zdecydowanie muszę wziąć taksówkę. Dzisiaj nie ma mowy, żebym stawiała czoło tłumowi w metrze.

- Cześć, Claire - przywitał mnie David, kiedy pół godziny później człapałam obok jego boksu. - Vivian cię szuka. Wydzwania od wpół do dziewiątej. Chyba jest...

Ale nie dokończył.

- W złym humorze? - dodałam ponuro. - Chciałeś powiedzieć, że nie uraczyła cię na wstępie tekstem w stylu: „Ty, jak ci tam, dopilnuj, żeby ta durna cipa o kurzym mózdzku do mnie zadzwoniła”?

Ratował nas tylko wisielczy humor.

Dopiero wtedy nad skrzywioną twarzą Davida zauważyłam czyjś cień. Chrząkał tak energicznie, że przez chwilę przypominał kaszlący silnik. No nie. Błagam, tylko nie ona... - modliłam się w duchu, ale odwróciwszy się, zobaczyłam tuż za swoimi plecami Vivian, spienionego pitbulla gotowego do boju.

- Już straciłam nadzieję, że zadzwonisz do mnie przed obiadem! - wybuchła, stając na palcach, żeby zmniejszyć odległość między naszymi twarzami. Wiedziałam, że doprowadza ją to do szewskiej pasji: przy wzroście metr pięćdziesiąt pięć Vivian była ponad piętnaście centymetrów niższa ode mnie, dlatego musiała wyciągać szyję, kiedy rozmawiałyśmy, stojąc blisko siebie. Dodatkowe wyzwanie

stanowiły szpilki, które nosiłam dzień w dzień, nawet jeśli bolały mnie nogi albo miałam bezlitosnego kaca.

Spojrzałam na zegar za biurkiem Davida - 9.03 - po czym skuliłam się, gotowa na grad mocnych ciosów z jej strony.

- Musimy porozmawiać - warknęła Vivian. - Musisz przygotować cztery ekspresowe książki. Każda ma trzytygodniowy cykl produkcyjny, a autorzy dostają, licząc od tej chwili, trzy tygodnie na złożenie ostatecznej wersji. Dasz radę?

Wolałabym naprawdę cios fizyczny. A nawet kilka strzałek z bambusa pod paznokcie.

Cztery ekspresowe książki, przygotowywane w tym samym obłąkańczym tempie, jeszcze nienapisane, oznaczały, że przez dobre półtora miesiąca będę siedziała w biurze co najmniej dwadzieścia cztery godziny na dobę, a i tak nie wiadomo, czy dotrzymam terminów. Niestety, już przedtem musiałam dokonać tej karkołomnej sztuki - w listopadzie przyniosłam nawet do pracy śpiwór, żeby czasem się przespać. Phil robił to samo, a Graham niemal połowę nocy spędzał w pracy. Mimo zapewnień Randalla bankierzy inwestycyjni w niczym nam nie dorównywali, pominąwszy jedno zero różnicy w wynagrodzeniu.

Cztery ekspresowe książki naraz. Kurczę pieczone! Wiedziałam z doświadczenia, że czekają mnie bezsenne noce i niewdzięczna praca, bo na pewno przynajmniej jedna książka się rypnie, będę więc jeszcze musiała znosić nieokiełznany gniew Vivian.

W gruncie rzeczy pytała, czy piszę się na totalne męczeństwo.

- Sporo - wybąkałam. - Mogę spróbować... ale czy naprawdę wszystkie muszą być na jeden termin? Będzie trudno. - Boże, ale się jąkałam. Gdzie mój kręgosłup?

Dlaczego nie umiem się postawić? - Spróbuję... David, poproś Teda o warunki negocjacyjne, przygotujemy umowy...

Vivian prychnęła.

- Warunki negocjacyjne? Nikt ci dotąd nie powiedział, że negocjacja warunków należy do redaktora? Czy ty sądzisz, że ja mam czas wdawać się w takie szczegóły? Użerać się z debilnymi agentami? Dam ci swoje propozycje ofert, a ty masz zadbać, żeby znalazły odzwierciedlenie w umowach.

- Oczywiście - odpowiedziałam.

Że też w ogóle miałam wątpliwości. Słowem, będę musiała przekonać agenta, żeby przyjął warunki Vivian (a wszyscy agenci, którzy w przeszłości mieli do czynienia z Vivian, ze zrozumiałych względów bali się rzucać swoich klientów na pożarcie wilkom), wyjaśnić koncepcję autorowi, przekonać jego albo ją, że napisze czterysta stron maszynopisu w - bagatela! - dziesięć dni, bo jeśli nie, to muszę szukać innego murzyna (zazwyczaj tylko chałturnicy przyjmują takie niewyobrażalne terminy) i w końcu sfinalizować transakcję ku zadowoleniu wszystkich (czytaj: Vivian). To wszystko pomnożyć przez cztery.

Dopiero wtedy zaczynała się jazda. Po dwóch tygodniach trzeba było wyrwać autorowi z gardła niedopracowany (siłą rzeczy) manuskrypt, a w dwa następne tygodnie - przeredagować całe rozdziały, nękać biednego, udęczonego pisarza o kolejne partie, po czym skierować tę jeszcze parującą kupę gówna do produkcji. To wszystko pomnożyć przez cztery.

- Ale wiesz, Vivian, ile to roboty - powtórzyłam ze zdumieniem. - Może ktoś przejąłby chociaż jeden tytuł. Nie chcę obiecywać czegoś, czemu nie podołam, a, szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jedna osoba tego nie udźwignie.

Uff, powiedziałam.

Zamiast oczekiwanego wybuchu zobaczyłam u Vivian zadowoloną minę. Na jej twarzy malował się triumf.

- Masz rację, Claire. Chyba to dla ciebie za dużo - zgodziła się. - Phil jest w pełni obciążony, ale Lulu na pewno bardzo chętnie przejmie dwie z tych książek. Już ma w opracowaniu dwie ekspresowe, ale przecież ona lubi dodatkowe wyzwania. Szkoda, że nie mogę jej sklonować!

Wrrr! Święta Lulu. Wiedziałam, że to manipulacja, ale moją niechęć budziła myśl, że piedestał Lulu jeszcze się podwyższył. Czy jeżeli się nie postawię, to spadnę w hierarchii Grant jeszcze niżej? Czy Vivian w następnej kolejności przeniesie mnie do szafy, w której będę musiała pracować przy świetle latarki? Pokręciłam tylko głową, bo z powodu kłębiących się we mnie emocji odjęło mi mowę.

- Cofam swoje słowa - powiedziałam po chwili, nienawidząc się w duchu za to, że składam broń. - Poradzę sobie ze wszystkimi czterema. Daj mi znać, jakie warunki proponujesz, a ja zajmę się resztą.

- W takim razie wpadnij do mnie do gabinetu - powiedziała szybko i wyszła.

Zwróciłam się do Davida.

- Sprawdź, proszę, u Tada, kiedy Vivian jest wolna dziś do południa.

- Sprawdź u stażysty - odparł. Po czym zniżył głos do szeptu: - Wczoraj po południu Tad zwiął. Podobno rąbnęła go w głowę lampą. Jedyna dobra wiadomość, że obrażenia nie są poważne.

Pokiwałam głową. Wytrzymał dwa i pół tygodnia, czyli dłużej, niż przewidywała średnia statystyczna. Bez obrazy, widziałam, że Tad dosyć wolno łapie co bardziej subtelne zagrywki psychologiczne Vivian, i chyba tylko dlatego wytrzymał tydzień dłużej.

- Przygotuj się na kilka bardzo trudnych tygodni. Próbowałam zdobyć się na uśmiech, ale mięśnie twarzy odmówiły mi posłuszeństwa.

- Jakoś to przeżyjemy, Claire - pocieszył mnie David. Czmychnęłam do swojego pokoju, żeby nie zobaczył u mnie piekących łez frustracji. Zachowaj profesjonalizm, besztalam się w duchu, przecierając ze złością oczy. Poprzysięgałam sobie, że nie będę płakała w pracy, chociaż widywałam dziesiątki kolegów zalanych łzami. W toalecie damskiej na jedenastym piętrze regularnie było słychać pochlipywania, a od Phila wiedziałam, że w męskiej nie jest lepiej.

Zadzwoiłam do Beatrice, żeby złapać oddech, zanim rzucę się w wir dnia.

- Chyba szefowa próbuje mnie zabić - wyznałam szeptem przyjaciółce. - Znasz przypadek, żeby ktoś umarł z przepracowania?

- Jasne. I wiesz, że to okropna śmierć - powiedziała Bea. Urwała, a ja wyobraziłam sobie, jak gryzie palce, żeby znaleźć właściwe słowa. - Claire, wiem, że uparłaś się wytrzymać tam rok. Ale może powinnaś zacząć się rozglądać za nową pracą?

Oczywiście, że przemknęło mi to przez myśl, ale Vivian wyzwoliła we mnie niełatwy do wyjaśnienia, niewyobrażalny upór. Teraz w ogóle odtrącałam możliwość rzucenia pracy przed upływem roku. Nie chciałam dać jej tej satysfakcji. Nie miałam zamiaru błagać o ratunek. I nie mogłam zostawić Luka'a bez redaktora w mrocznych czeluściach Grant Books. Sama go tam wprowadziłam, dlatego ponosiłam odpowiedzialność za to, że przejdzie przez proces wydania książki suchą nogą.

- Nie mam nawet siły ani czasu myśleć o szukaniu pracy - wyznałam Bei. - W tym tygodniu czeka mnie przeprowadzka, w następnym wypad do Iowa, potem cztery ekspresowe

książki poza normalnym zakresem obowiązków. W dodatku jestem chyba jeszcze trochę pijana po wczorajszym.

- Po wczorajszym?

- Wskoczyłam z Lukiem na drinka i wylałam przed nim swoje żale. Przepraszam cię, ale muszę wracać do...

- Claire, obiecaj mi, że zaczniesz trochę bardziej dbać o siebie, bo się martwię.

- Postaram się.

- Świetnie. Zadzwoń do mnie wieczorem, dobra? Teraz pędzę na dziesiątą na zajęcia z jogi. Wpadniesz wieczorem na Kawalera do wzięcia?

- Nie, chyba że puszczają go o trzeciej nad ranem.

- Szkoda. Została już tylko finałowa piątka! A Harry uważa, że cheerleaderka z Dallas ma asa w rękawie.

Zrobiło mi się smutno, bo nie miałam pojęcia, co to za cheerleaderka z Dallas.

Odłożyłam słuchawkę i wróciłam do swojego komputera, w którego lodowatej, szafirowej łunie pławiłam się od wielu tygodni. Bea oglądała ceremonię róż, uprawiała jogę, a mnie opromieniał tylko komputer, w dodatku musiałam chylić kark, żeby sprostać wszystkim kaprysom szefowej. Niestety w zielonym kolorze zazdrości jeszcze mniej mi było do twarzy niż w niebieskim bijącym od komputera.

Kawy już miałam tylko na dnie kubka. Poszłam do kuchni po dolewkę.

- Fenomenalne! - usłyszałam krzyk Vivian z sali konferencyjnej, kiedy przechodziłam obok. - Wiedziałam, że Lucky to idealny lokal na jutrzejszą promocję książki. Striptizerki po zejściu ze sceny będą roznosiły drinki! Atmosferę podkreśli taniec dziewczyn na kolanach naszych hurtowników na koszt firmy! Nagrody w postaci jadalnej bielizny! Kapitalny pomysł!

- O Boże! - jęknęła Lulu. - Jesteś geniuszem, Vivian! Jak ty to robisz? Wymyśliłaś po prostu genialną promocję. Trudno sobie wyobrazić coś lepszego.

Podlizywała się nie gorzej, niż odkurzacz marki Hoover łyka kurz.

- Wiem, Lulu. Dlatego biję na głowę wszystkich w całej branży - przechwalała się Vivian. - Bo inni wydawcy przypominają półtrupę z martwymi pomysłami. Zero świeżości, ani krztyny seksapilu w całej pożałowania godnej ofercie. Przywiędłe stare snoby...

Zdałam sobie sprawę, że stoję w korytarzu. Ruszyłam do kuchni. Bolała mnie głowa. Nazajutrz wieczorem czekała nas promocja książki *Blow Job: An Illustrated History of Oral Sex* (*Blow Job: An Illustrated History of Oral Sex - Stawianie laski. Ilustrowana historia seksu oralnego.*). Od początku wyobrażałam sobie, że publikacja tego „dzieła” straci nas na samo dno kanionu bezguścia, ale teraz zrozumiałam, że można upaść jeszcze niżej. Jeśli na przykład urządzi się promocję książki w klubie Lucky, osławionym lokalu striptizowym w Nowym Jorku.

Posłodziłam kawę i wróciłam do biurka. Piętrzył się na nim stos papierów, który w każdej chwili groził zawaleniem, leżała tam też długa lista blisko stu osób, do których musiałam oddzwonić. Przy każdym nazwisku David naniósł zwięzłe uwagi. Mniej więcej przy pięćdziesiątej pozycji zorientowałam się, że kilku niezadowolonych z grona ustawicznie wydzwanających klientów zaczyna się już buntować. Trzeba zacząć od nich.

* * *

- Claire? - Phil zajrzał do mojego pokoju. Trzymał przed sobą lampę biurkową, wielkie kartonowe pudło, fotografię w ramce, roślinę w doniczce.

Cholera, pomyślałam, aż to słowo zadudniło mi w pustej, obolałej czaszce.

- Przez rok trzymała mi głowę na pieńku, Claire. - Phil wzruszył ramionami. - Nie mówiąc o innych częściach ciała. Dzisiaj wreszcie topór spadł.

Nie wierzyłam własnym uszom. Vivian zwolniła Phila, starszego redaktora? Był jednym z najlepszych fachowców w branży, a na pewno najlepszym u nas. Jak ja przeżyję bez niego choćby tydzień? Kto będzie mi teraz sekundował w utarczkach z Lulu? A co gorsza, z czego on utrzyma powiększającą się rodzinę... Znów zrobiło mi się słabo. Trzy miesiące temu jego żona Linda urodziła ich drugiego syna. Wiedziałam, że Phil już się denerwuje, jak zwiąże koniec z końcem. Miał imponujące dokonania na swoim koncie, tyle że rynek pracy bardzo się zacieśnił.

Zadzwoił interkom. Jej Visokość.

- Claire, proszę cię natychmiast do mnie. Phil uśmiechnął się blado.

- Trzymaj się, mała - powiedział i uścisnął mnie. - Dam sobie radę. Mam przyjaciół w innych wydawnictwach, na pewno szybko coś sobie znajdę. Nie daj jej się zameczyć.

- Claire! Mówiłam, że masz się zjawić NATYCHMIAST - zaskrzeczał głos w moim interkomie. Zerwałam się odruchowo z krzesła, bo krzyk szefowej podziałał na mnie jak elektrowstrząs. Phil tylko pokiwał głową i poszedł dalej korytarzem.

Oburzona, wparowałam do gabinetu Vivian, nie zadając sobie nawet trudu, żeby zapukać. Po drugiej stronie biurka, naprzeciwko szefowej, zastałam Lulu, jak zwykle w nienagannym popielatym kostiumie i w perłach.

- Zwolniłaś Phila?! - zawołałam. - Jak mogłaś?! Przecież to nasz najlepszy redaktor! To jakiś absurd!

Zapadła cisza jak makiem zasiał. W ciągu tych kilku sekund całkowitego milczenia dotarło do mnie, że nigdy przedtem nie zwróciłam się do Vivian tak śmiało. Widziałam, jak nią to wstrząsnęło, ale szybko się pozbierała.

- Najlepsze lata ma już za sobą - odburknęła. - Stanowił balast. Trzymałam go tak długo, jak mogłam. Pozostaje tylko pytanie, kto przejmie jego książki. Gdzie się, do cholery, podziewa Dawn?

- Tu jestem. - Dawn pchnęła drzwi i weszła ze stosem teczek, sięgających jej niemal po czubek głowy. - Przyniosłam listę książek Phila i jego akta. Chyba najsprawiedliwiej będzie podzielić je między was obie.

Spojrzała na mnie przepraszająco.

- Ależ nie ma sprawy - odparła Lulu słodziutkim tonem. - Chętnie przejmę jego projekty. Tchnę w nie nowe życie.

- No to świetnie - powiedziała Dawn, rzucając teczki na boczny stolik i rozdzielając je beznamiętnie z wprawą krupiera w kasynie Bellagio.

Czy tylko ja czułam się doszczętnie zdruzgotana, dlatego że Vivian wyrzuciła bez uprzedzenia starszego redaktora o niesłychanym dorobku i zaangażowaniu? Dawn i Phil pracowali razem przez cztery lata. Pracować przez cztery lata w Grant Books to tak, jakby pracować dwadzieścia lat gdzie indziej. Mimo to Dawn wydawała się kompletnie niestropiona bezlitosnym wywaleniem Phila na bruk.

Swoją drogą, chyba nigdy nie widziałam Dawn rozstrojonej, a przecież najczęściej znajdowała się na linii strzału Vivian. Częściowo podziwiałam jej żelazny profesjonalizm. Ale częściowo mnie przerażała.

- Chyba już - powiedziała, kiedy skończyłyśmy dzielić książki Phila.

- Może zostanę i omówimy kilka innych spraw? - zapytała Lulu, kiedy już pakowałyśmy teczki. Vivian skinęła

głową. Dawn i ja w milczeniu wracałyśmy do swoich pokojów.

- Czy w ogóle coś może cię wytrącić z równowagi? - spytałam pod drzwiami swojego pokoju. - Szczerze mówiąc, nie wydajesz mi się w najmniejszym stopniu zdenerwowana tym, że Phil wyleciał bez powodu.

Dawn przystanąła. Zaczęła wodzić oczami po korytarzu jak zaszczute zwierzę. Kiedy upewniła się, że nikogo nie ma w zasięgu słuchu, rzuciła mi ledwie słyszalnym szeptem:

- Jeśli okażesz jej, że się denerwujesz, to wygrała. I pomknęła przed siebie korytarzem.

Zamknęłam drzwi swojego pokoju. Mróz przeszedł mi po krzyżu. Pożałowałam swojego pytania. Łatwiej mi widzieć w Dawn profesjonalnego robota niż normalną osobę w potrzasku długodystansowego toksycznego związku z apodyktyczną szefową.

Kiedy zaniknęłam drzwi, coś we mnie pękło. Schowałam twarz w dłoniach i łzy trysnęły mi z oczu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY SZKLANY KLOSZ

- Bellini? - spytała mnie blondynka w stringach i pierzastym stroiku na sutki. Vivian specjalnie zamówiła te wabiki dla dziewcząt.

- Nie, dziękuję - powiedziałam, bo nie zamierzałam zostać na tyle długo, żeby wypić cały koktajl.

W głośnikach rozbrzmiewały ciężkie basy, podając rytm brunetce wirującej topless na scenie przy rurze. Rozejrzałam się po sali. Biedny David siedział skulony w otoczeniu kilku wyraźnie speszonych asystentek, które nie wiedziały, gdzie podziąć oczy.

Vivian dosłownie przeszła samą siebie. Wcześniej całe piętro słyszało jej boje z Sonnym Wentworthem, dyrektorem wydawnictwa, o to, czy Lucky, znany klub striptizowy na Manhattanie, to odpowiedni lokal na promocję książki. Wygrała. Zresztą jak zawsze.

- Claire - powiedziała Lulu, podchodząc z nienacka. Miała na sobie czarną skórzaną mini i świetnie dobraną czapkę gazeciarza. W tym stroju wyglądała jak wymizerowana Britney Spears. - Przyznaj, że przyjęcie jest po prostu genialne.

Lulu nigdy nie strzepiła sobie języka na próżno. Wiedziałam, że mnie podpuszcza.

- Na pewno się wyróżnia - bąknęłam. Jeżeli pod określeniem „genialne” rozumiała prymitywne, wysoce niestosowne, które zapewne pociągnie za sobą kilka procesów, to rzeczywiście było to odpowiednie słowo. Jeżeli tak nazywała idiotyczny pomysł, żeby urządzić promocję, na której grono najlepszych hurtowników i krytyków wagi ciężkiej dostaje przy wyjściu upominki w postaci sekszabawek, to owszem, przyjęcie było genialne.

- Widziałaś mój tatuaż? - spytała Lulu. Wystawiła swój mizerny biceps z tatuażem z henny: I love The Boss. - Podpatrzyłam taki na stronie fanów Springsteena. Muszę go pokazać Viv.

I odeszła.

Dlaczego nigdy przedtem nie zauważyłam, jaka ona jest szurnięta? Przez tyle miesięcy, kiedy się do mnie nie odzywała, miałam ją wyłącznie za chamicę. Teraz prawda zakłuła mnie w oczy. Lulu jest pomyłona, tak samo jak Vivian, i obie te świruski prowadzą nasz dom wariatów.

- Witaj, Claire - przywitał się ze mną cicho Sonny. Najprawdopodobniej wszedł zaraz za mną. Płaszcz przerzucił sobie przez rękę, jakby chciał być w każdej chwili gotowy do wyjścia.

Lubiłam Sonny'ego. Poznałam go na śniadaniu dla nowych pracowników w pierwszym miesiącu pracy w firmie i chociaż znajdowaliśmy się w hierarchii Mather - Hollinger na dwóch przeciwnych biegunach, od razu przypadliśmy sobie do gustu. Był tak przystępny, aż trudno było uwierzyć, że zajmuje najwyższe stanowisko w ogromnej korporacji wydawniczej. Był niewielkiej postury, bo miał zaledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, włosy ostrzyżone na jeża i okulary w rogowej oprawie. Cichy, miły w obejściu.

- Widzę, że jesteś przerażona tak samo jak ja - mruknął.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jeżeli Sonny widział, jak idiotyczne i niestosowne jest to przyjęcie, dlaczego je zatwierdził? Przecież był szefem Vivian, kto więc miałby ją powstrzymać, jeśli nie on?

- Nie wierzę własnym oczom - przyznałam. W ciemnym kącie nasza autorka prowadziła zajęcia dla niewielkiego grona słuchaczy, jak najlepiej robić laskę. Mary z księgowości notowała w żółtym bloku piśmiennym. Któraś striptizerka wmusiła jednemu z naszych hurtowników taniec na kolanach.

Patrząc na tę scenę, odczuwałam dodatkowy dreszcz trwogi z powodu bliskiej obecności dyrektora firmy.

Sonny pokiwał smętnie głową.

- W pełni podzielam twoje odczucia - powiedział.

Zrobiło mi się go żal. Rzeczywiście był tchórzem, co gorsza, miał tego świadomość, a to stanowi największą karę. Wszyscy jednak byliśmy tchórzami, nie tylko on. Ja nie chciałam stracić pracy, a Sonny nie chciał obrazić dojnej krowy firmy. W końcu wpływy z Grant Books stanowiły prawie jedną trzecią zysków Mather - Hollinger. Ponieważ Grant było jednym z dwunastu wydawnictw skupionych w tej korporacji, był to znaczący udział, bo Vivian, pod względem finansowym, wyciągała cztery razy więcej, niż powinna. Właśnie dlatego firma przymykała oko na wszystkie jej wyskoki i ponosiła za nie odpowiedzialność - odbywała procesy sądowe z niezadowolonymi byłymi pracownikami, brała stronę Vivian we wszystkich sporach, urządziła promocje książek w najmniej odpowiednich lokalach.

- Sonny, kochanie! - zawołała głośno Vivian i przybiegła do nas przez całą salę. - W życiu nie widziałeś bardziej seksownego przyjęcia. Kochanie, potrząśniemy całą branżą wydawniczą! Udało się!

Na jej twarzy malował się triumf. Rudawoblond włosy ściągnięte wysoko w koński ogon nadawały jej wygląd ustawicznego zaskoczenia. Miejsce codziennego nieśmiertelnego kostiumu zajęły dzisiaj czerwony koronkowy gorset, boa z piór, pończochy kabaretki i obcisłe czarne lakierowane botki. Dość niepokojący strój jak na podstarzałą szefową.

- Ale co tak naprawdę się udało? - mruknął.

Spojrzałam na Vivian. Zuchwały uśmieszek zniknął jej z twarzy.

- Jak to? - spytała drwiąco, zagryzając wargę. - Udało się nam fantastyczne przyjęcie! Odnieśliśmy ogromny sukces! Gdzie jest Betsy? Ona na pewno to doceni!

Betsy, żona Sonny'ego, była powściągliwą, nad wyraz konserwatywną kobietą, która na przyjęciach promocyjnych najczęściej trzymała się na uboczu lub u boku Wentwortha. Szczerze mówiąc, nie wyobrażałam sobie osoby, która gorzej czułaby się w klubie striptizowym.

- Prawdę mówiąc, czeka na mnie w domu z kolacją - wyznał Sonny.

Z tym słowy prędko się pożegnał i skierował do wyjścia.

- Co za pantoflarz! - Vivian roześmiała się cierpko. - Żona czeka na niego w domu z kolacją! Chryste! Jaki facet wychodzi z klubu nocnego, bo żona upiekła mu pasztet? Powiem więcej, taki człowiek nie powinien zarządzać taką firmą. W całym Mather - Hollinger nie ma osoby z większymi jajami ode mnie.

Zamrugnęła oczami, jak gdyby zapomniała, że stoję obok. Po czym podsunęła sobie piersi do góry, żeby uwydatnić dekolt, i wróciła na plac boju.

- Zatańczysz? - spytała mnie Azjatka z biustem rozmiaru podwójne D, a jednocześnie manierami ze szkoły dla panien.

- Nie, już wychodzę - powiedziałam i ruszyłam do szatni.

Wtem zobaczyłam, kto właśnie się zjawił. Stanley Prizbecki, w czarnej skórzanej kurtce, obwieszony złotymi łańcuchami. Wymienił uwodzicielskie spojrzenia z Vivian przez pokój, chociaż wisiała na nim blondynka podobna do lalki Barbie.

Nagle zrozumiałam, że jeśli natychmiast nie łyknę świeżego powietrza, to zwymiotuję do fontanny w holu pełnej różowego szampana. Złapałam od dziewczyny za łańcuch i wypadłam za

drzwi. Ledwo dobiegłam do krawężnika, zwróciłam obiady. Po raz drugi w tym tygodniu.

* * *

- Mówiłam, żebyś jechał Lexington! - warknęła Vivian na kierowcę, wyciągając szyję na przednie siedzenie limuzyny, żeby mu to powiedzieć prosto w twarz. Na jej polecenie wziął tak gwałtownie zakręt, że impet rzucił Vivian i mnie w kąt samochodu.

- Ty skurwysynu, chcesz mnie zabić?! - krzyknęła.

W lusterku wstecznym zobaczyłam, jak unosi brwi ze zdumienia. Nie wykluczam, że taki pomysł przyszedł mu do głowy.

Był piątek, ósma rano, koniec najdłuższego tygodnia w moim życiu. Jechałam z Vivian do centrum na spotkanie z młodą, zdolną specjalistką do spraw żywienia, Rachel Barnes, która ostatnio zyskała rozgłos, bo przeistaczała chude kobiety z Upper East Side na Manhattanie w upragnione odłuszczone patyczki. Co się za tym kryło? Wyczerpujący program ćwiczeń wzorowany na treningu komando fok naszej marynarki wojennej w połączeniu z dietą pięciuset kalorii, według niej jak najbardziej zdrową. Za bagatelną sumę dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie klientki Barnes uczyły się, że niejedzenie niczego oraz iście olimpijski trening zapewnią im, i to jeszcze w tym sezonie, chudość szkieletów.

- Tylko w tym miesiącu trzy bestsellery. Bezapelacyjny sukces! - ryczała Vivian do komórki, podczas gdy kierowca, który dostał polecenie dowieźć nas jak najszybciej, lawirował zatłoczonymi ulicami, pędził na złamanie karku. Patrzyłam przed siebie, usiłując zorientować się, gdzie jesteśmy. W ten sposób próbowałam opanować mdłości. Ostatnio nie mogłam zbyt ufać swojemu żołądkowi.

Vivian spojrzała na mnie groźnie znad komórki.

- Claire, co ci jest?

- Nie najlepiej się czuję. Muszę tylko...
- Niedobrze ci? To się odsuń! Nie mam teraz czasu na twoje mdłości.

- Jeszcze nie mam mdłości, tylko...
- Mniejsza o mdłości, nie siedź tak i nie gap się przez okno, bo nie płacę ci, do jasnej cholery, za podziwianie krajobrazów! Zanim dojedziemy na Eightieth Street, masz mi przedstawić trzy nowe pomysły. W końcu za to ci płacę. - I wróciła do rozmowy przez telefon. - Naprawdę nie wiem, co moi podwładni robią przez cały dzień! Gdybym nie trzaskała bez przerwy batem, całymi dniami siedzieliby, bujając w obłokach albo kręcąc młynki palcami. Skaranie boskie z nimi! Dobrze, kochanie, zadzwonię w przyszłym tygodniu. Wyrwiesz się w środę na obiad do Ivy? To cudownie. Ciao.

Czyli Vivian znów jedzie w przyszłym tygodniu do LA. Kapitalna wiadomość. Znacznie więcej robię, kiedy nie muszę co dziesięć minut reagować na każdy jej gwizdek. Po zakończeniu rozmowy włożyła telefon do torby firmy Fendi.

- Vivian, chciałabym omówić z tobą kilka nowych propozycji - zagaiłam, spoglądając do notatnika i usiłując zwalczyć nasilające się mdłości. - Pierwsza to powieść historyczna rozgrywająca się w latach dwudziestych w Chicago... - Vivian stuliła obie ręce i przyłożyła do nich policzki, na znak, że już samo miejsce akcji przyprawia ją o senność. - No dobrze, mam wspomniała książkę o programie zwalczania chronicznego bólu, opracowanym przez dwóch lekarzy z Akademii Medycznej Harvardu...

- Mój Boże, Claire, mnie by się przydała umiejętność zwalczania chronicznego bólu, jaki wywołuje u mnie słuchanie twoich kretynizmów - wyjęczała Vivian. - Cóż za jałowe pomysły, co za nudziarstwo. Równasz do reszty leserów z branży. Zejdź z tej swojej wieży z kości słoniowej i pomyśl o książkach bardziej komercyjnie, bo nigdy nie

znajdziesz bestsellerów. Świństwa się sprzedają. Czy ci się to podoba, czy nie, ludzie w naszych czasach chcą o tym czytać. Wbij to sobie wreszcie do głowy, że na moim pokładzie nie ma miejsca dla krótkowzrocznych snobów. Dla krótkowzrocznych snobów? Leserów? Czasem Vivian sypała obelgami tak szybko, że nie od razu do mnie docierały.

- Weź choćby najnowszy nabytek Lulu, zmysłowy, superprovokacyjny podręcznik, jak się wyłgać z cudzołóstwa. Taką książkę zechce przeczytać siedem na dziesięć zameźnych osób. Lulu ma nosa, i tyle. Ale intuicji nie da się nauczyć. - Zwolniliśmy na czerwonych światłach, a ona szarpnęła kierowcę za kołnierz, aż głowa odskoczyła mu do tyłu. - Przecież mówiłam, żebyś nie jechał Lexington! Naucz się, cholera, jeździć. Każdy głupi to potrafi!

Wcisnęłam się głębiej w siedzenie. Kierowca skręcił, żeby przejechać na Park Avenue.

- Liczę, że podczas spotkania z Rachel pozwolisz mi przedstawić nasze warunki - oświadczyła. - Chciałabym, żeby przetestowała na mnie swoje metody. Niech przez najbliższe dziesięć miesięcy wykaże na mnie skuteczność swojego programu. Na pewno czytelnicy docenią, jeżeli przejdzie przez niego modelka.

Jasne. Powinnam się była domyślić. Podobnie jak książka o dekoratorstwie, która pozwoliła Vivian wyremontować za darmo dom, albo inna, o samoobsługowym fryzjerstwie pióra znanego stylisty, który teraz przyjeżdżał raz na miesiąc do wydawnictwa, żeby układać włosy Vivian, umowa na książkę Rachel z pewnością przyniesie szefowej kolosalne korzyści. Vivian zawsze stosowała jakąś dietę, szukała magicznego sposobu odżywiania się, który zapewni jej równowagę chemiczną i wyszczupli biodra. Może publikacja książki Rachel pozwoli jej ominąć tę mordęgę.

Kilka miesięcy temu Phil powiedział mi, że Vivian zapłaciła kiedyś niewyobrażalną sumę pół miliona dolarów zaliczki szefowi kuchni, który w kilka tygodni po podpisaniu kontraktu przeprowadził się do niej i gotował jej do końca roku. Ciekawe, czy poza honorarium wypłacała mu również pensję? Nikt ze znajomych Vivian nie przypuszczał, by odpała mu choć jednego centa więcej.

- Oczywiście, przedstaw jej warunki - przystałam.

Poczułam w torebce wibracje telefonu, spojrzałam - numer służbowy Randalla. Nie znosiłam prowadzić prywatnych rozmów w obecności Vivian, ale odebrałam, bo chciałam usłyszeć jego głos. Nazajutrz czekała mnie przeprowadzka do jego mieszkania, a z powodu jego wyjazdu do Londynu i mojej wymagającej pracy od wielu dni nie miałam kiedy zamienić z nim słowa.

- Witaj - szepnęłam, odsuwając się od Vivian jak najdalej.

- Claire? Mówi Deirdre. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Randall musiał przedłużyć swój pobyt, wraca dopiero we wtorek. Kazał cię przeprosić, zadzwoni później. Ale nie ma to żadnego wpływu na jutrzejszą przeprowadzkę, osobiście dopilnowałam wszystkich szczegółów. Ekipa zjawi się u ciebie jutro punktualnie o dziesiątej. I nie przejmuj się pakowaniem, bo panowie wszystkim się zajmą.

Aż mnie coś ścisnęło w dołku. Pierwszy weekend u Randalla, a jego nie będzie? Koszmar. Przemknęło mi przez myśl, czy nie przełożyć przeprowadzki, ale Deirdre wszystko dopięła na ostatni guzik.

- Świetnie. Czyli jutro o dziesiątej. Dzięki, Deirdre.

- Kochanie, jeszcze jedno. Matka Randalla zaproponowała, że spędzi ten weekend z tobą, pomoże ci się zainstalować. Żebyś nie czuła się samotna.

Podziękowałam Deirdre, a w brzuchu znów mi się coś przewróciło. Nasz samochód podjechał pod salon Rachel. Wsiadłam za Vivian.

- Szykujesz plany na weekend? - spytała z najwyższym sarkazmem. - Ach, Claire, nie wiesz, jak się cieszę, że nie pozwalasz, aby praca przeszkodziła ci w życiu towarzyskim!

Prychnęła z obrzydzeniem, kiedy wchodziłyśmy po schodach.

Przypomniałam sobie słowa Phila, kiedy pierwszy raz wyskoczyliśmy razem na drinka po pracy.

- Praca u Vivian - powiedział - prowadzi do jednego z dwojga: zamiarów morderczych albo samobójczych.

Wtedy się roześmiałam. Teraz zrozumiałam, że wcale nie żartował. Miałam ochotę po trosze na jedno i drugie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY W KLESZCZACH LĘKU

„Sally Jones była typową kurą domową z willi na przedmieściach. Aż do dnia, w którym zamieniła płyn do mycia szyb, garnki i wywiadówki na kajdanki, sekszabawki i orgie”...

Nie mogłam czytać dalej. Tego dnia przyszedłam wcześniej do pracy w nadziei, że przygotuję kilka stron wiecznie odkładanego katalogu, ale zbytnio mnie to przygnębiło. Spojrzałam na kalendarz. Zostało już tylko kilka dni do weekendu w Iowa. Na szczęście Randall też wraca dzisiaj do domu. Pierwsze trzy noce w jego mieszkaniu spędziłam z jego matką i ze Svetlaną - nie tak sobie wyobrażałam początek nowego rozdziału w naszym związku.

„Masz wiadomość”.

Otworzyłam Outlook, bo nie mogłam się oprzeć pokusie, i zastałam list od Mary z pytaniem, jak mi poszła przeprowadzka.

Bardzo tęskniłam za Marą. Ostatnio kupiła dwie fantastyczne książki kucharskie - jedną pióra finalistki Beard Award, a drugą ulubienicy Napa Valley - i teraz bardzo się przykładała, koordynując pracę fotografów, autorów, testerów przepisów, żeby dopilnować wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Odetchnęłam z ulgą, kiedy przejęła książkę szefa kuchni Maria, którego tak brutalnie potraktowaliśmy w Grant Books. Odkąd zmieniłam pracę, widziałam się z nią tylko kilka razy, ale często wymieniałyśmy e - maile. Wprawdzie stanowiły jedynie namiastkę naszych codziennych rozmów, ale lepsze to niż nic.

Właśnie zaczęłam jej odpisywać, kiedy na ekranie wyskoczył mi drugi e - mail od niej.

Do: Claire Truman
(ctruman@grantbooks.com)

Od: Mara Mendelson

(mmendelson@petersandpomfret.com)

Temat: ech

Przeczytaj dzisiejszy felieton Lloyda Grove'a. Rozpętała się nagonka... Boję się o Ciebie.

Szybko wyciągnęłam egzemplarz „Daily News”, który włożyłam do torby w drodze do pracy i otworzyłam na felietonie Grove'a. Od kilku tygodni ten autor rubryki towarzyskiej wciąż się czepiał mojej szefowej. Na ostatniej gali literackiej Pen Clubu siedział obok Vivian, najwyraźniej na tyle blisko, żeby nabawić się pełnej trwogi fascynacji na jej temat. Tydzień temu pisał o niekonwencjonalnym podejściu wydawniczym Vivian oraz o jej stałych wagarach z firmy, co wprawiło ją w jeszcze bardziej zjadliwy nastrój niż zwykle. Dzisiaj przejechał się po książce przygotowywanej przez Lulu:

TYLKO KROWA ZMIENIA ZDANIE

Horace Whitney, znany lewicowy guru, były doradca Clintona, twierdzi, że w życiu nie widział równie obrzydliwego, nieuczciwego, samolubnego, niemoralnego postępowania, a pracuje w Waszyngtonie od trzydziestu lat.

Co tak oburzyło Whitneya? Otóż Vivian Grant, jego narwana wydawczyni, która, jak pisze w e - mailu wpływowa agentka Tami Simons, „zleciła mojemu klientowi napisanie książki w dwa miesiące, z czego się wywiązał. Po złożeniu maszynopisu Lulu Price [jego redaktorka] nie odzywała się przez trzy miesiące. Długo nie odpowiadano na moje telefony, aż wreszcie dostałam od Vivian dwudziestostronicowy list z poprawkami redakcyjnymi. Na końcu stwierdziła, że tekst nie nadaje się do publikacji, i stanowczo oznajmiła, że zrywa umowę, a także odmawia wypłaty zaliczki”.

Whitney i Simons nie posiadali się z oburzenia. Grant oczywiście nie po raz pierwszy wycofała się z umowy po

dostarczeniu całego maszynopisu. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Simons w niecałe dwie godziny znalazła kilku wydawców zainteresowanych kupnem tego tytułu. Wówczas Grant, najwyraźniej zmieniawszy zdanie na temat maszynopisu, który w e - mailu do Simons nazwała „kupa gówna”, oskarżyła wydawnictwo Sampson and Evans o kradzież praw autorskich.

Obok rubryki gazeta zamieściła stare zdjęcie reklamowe Vivian - upozowane, w mocnym makijażu, z włosami ułożonymi w piękne, imponujące loki.

Jęknęłam, upiłam łyk kawy dla kurażu.

- Claire? - David włączył się przez interkom. - Na pierwszej linii mam Candace. Powiedzieć, że oddzwonisz?

- Odbiorę - odparłam i podniosłam słuchawkę. - Cześć, Candace. Co słyhać? Podjęłaś już decyzję w sprawie naszej oferty?

Wczoraj przedstawiłam Candace, byłej supermodelce - która pisała wyjątkowo pikantny pamiętnik na temat wszystkich swoich niewłaściwych partnerów - naszą ostateczną ofertę na jej trzecią książkę w nadziei, że wreszcie sfinalizujemy umowę. Niestety, trzy ulubione słowa Candace brzmiały „zasługuję na więcej”, może nawet niegłupie, wobec tak notorycznej naciągaczki jak Vivian, ale z całą pewnością frustrujące dla redaktorki, która znajduje się między młotem a kowadłem.

Candace i Vivian łączyła nad wyraz iskrząca więź oparta na miłości i nienawiści, wynikających stąd, że raz na jakiś czas trafiały na tych samych adoratorów, a obie były atrakcyjne, piękne i szalone. Najwyraźniej wkroczyły teraz na ścieżkę nienawiści.

- Niech ta twoja pieprzona „Dziękuję Uprzejmie Przyjdem Akuratnie” wbije sobie do głowy, że za cholere nie przyjmę za trzecią książkę takiej gównianej zaliczki! - wrzeszczała

Candace, przekrzykując trzaski w komórce. Odsunęłam telefon od ucha. Zapomniałam, że obie używają tego samego języka. - Co ona sobie wyobraża? Że nie wiem, ile kasy zbiła na dwóch poprzednich? Niech sobie w dupę wsadzi sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów! Uważa, że już w tym mieście nie ma innych wydawców? Może jestem lojalna... Bóg mi świadkiem, że wytrzymałam niejedno od tej pijanej władzą zdziry... ale to nie znaczy, że jestem głupia. Nie dam sobie wciskać ciemnoty. Przekaż jej, że musiałaby przynajmniej podwoić stawkę, a do tego pokryć mi wydatki na fryzjera, makijaż, garderobę... Aha, i wszyscy musimy latać pierwszą klasą. Tak wyglądają moje warunki, słonko, i radzę ci, dopilnuj, żeby je spełniono.

Trzasnęła słuchawką.

No tak, będę musiała powtórzyć Vivian wiadomość swoimi słowami, pomyślałam i wróciłam do pracy nad katalogiem. Sprawę Candace odłożyłam na później.

Zanim jednak zdążyłam napisać słowo, otworzyły się z impetem drzwi mojego pokoju i weszła Alice, sympatyczna stażystka, która od tygodnia zastępowała asystentkę Vivian. Zatrzasnęła drzwi za sobą. Czerwona na twarzy, z grymasem strachu, kroplami potu na górnej wardze.

- Musisz mi pomóc - wyrzuciła z siebie. - Vivian mnie zamorduje. Za dwadzieścia minut wychodzi z domu na samolot do Los Angeles. Właśnie dzwoniła, żebym przywiozła jej z gabinetu dwie teczki. Spytałam, gdzie mogą być, ale tylko na mnie nawrzeszczała. A ja nie mogę ich nigdzie znaleźć. - Alice spojrzała na zegarek i jeszcze bardziej się zdenerwowała. - Błagam cię, Claire, pomożesz mi? Zwymyślała mnie od kretyńskich imbecylek, zapowiedziała, że wystawi mi tak koszarne referencje, żeby agencja pracy już nigdy mnie nikomu nie poleciła...

Alice przetarła oczy. Objęłam ją, żeby się opanowała. Dlaczego Vivian zachowywała się tak okrutnie? Nie mogła, jak człowiek, powiedzieć biednej Alice, gdzie ma szukać?

- Jasne, że ci pomogę - odparłam. - Nie przejmuj się. Ona wszystkim tak traktuje. Przygotujemy jej te teczki na czas.

Phil wiele razy mnie tak pocieszał. Zwykle umiał mnie uspokoić, chociaż wiedziałam z doświadczenia, jak trudno nie brać sobie do serca, kiedy ktoś nas gnoi.

- Tylko nikomu nie mów - szepnęła Alice, kiedy myszkowałyśmy w pokoju szefowej. - Bo Vivian ma fioła na punkcie tajności swoich akt. Zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że poprosiłam cię o pomoc.

- Nie powiem słowa. No to czego szukamy?

- Teczki z notatkami działu handlowego z ostatniej konferencji marketingowej. I drugiej na temat programu udoskonalenia planu wydawniczego.

Przejrzałam żółte teczki na biurku Vivian i znalazłam jedną z nalepką „Sprzedaż - jesień”.

- Masz tu notatki handlowców - powiedziałam, wręczając Alice teczkę. Dziewczyna patrzyła na mnie z taką wdzięcznością, jak gdybym wyniosła ją z płonącego budynku. Programu udoskonalenia planu wydawniczego nie znalazłam na biurku, dlatego podeszłam do szafek pod ścianą i chciałam wyciągnąć szufladę oznaczoną N - P. Zamknięta.

- Czekaaj, pójde po klucz!

Wybiegła z pokoju, wróciła po chwili z kluczem.

Otworzyłam szufladę. Była wypchana po brzegi. „Personel”. „Prezentacje”. „Produkcja, drukarnie krajowe, zagraniczne”. O, jest. „Program udoskonalenia planu wydawniczego”. Program miał obejmować reklamę i sprzedaż książek bezpośrednio odbiorcom, a przy tym tak bardzo wzmocnić rozpoznawalność wydawnictwa, żeby czytelnik, rozważając kupno książki, szukał w księgarni na grzbiecie

naszego emblematu. Interesujący, choć trochę napuszony projekt, który Vivian udało się przeforsować w Mather - Hollinger.

Z trudem wyciągnęłam teczkę z zapchanej szuflady, aż powypadały inne. Alice chwyciła ją jak sprinterka, która przejmuje pałeczkę w biegu, i popędziła do wyjścia, rzucając mi w locie przez ramię:

- Dzięki, Claire, tylko błagam, zamknij szufladę!

Kiedy upychałam wszystko z powrotem, moją uwagę zwróciła inna teczka stojąca obok. Była opatrzona napisem „Prizbecki”. Czyżby Vivian zbierała informacje na temat swojego żonatego kochanka?

Brzydko jest węszyć, Claire, przygadałam sobie. Odłóż to. Ale ciekawość wzięła górę. Szybko wyciągnęłam cienką żółtą teczkę, zajrzałam. W środku był tylko jeden dokument - wydruk e - maila wysłanego na służbowy adres Vivian.

Do: Vivian Grant

(vgrant@grantbooks.com)

Od: Stanley Prizbecki

(StanleyPrizbecki@nymayor.gov)

Witaj, Pychotko. Od wtorku nie mogę przestać o Tobie myśleć. Powiedziałem A., że w weekend mam w Baltimore konferencję na temat komunikacji publicznej, a więc jestem do Twojej dyspozycji. Spotkajmy się na mieście, w piątek, o 11 wieczorem. Skombinuję kajdanki. S.

Fuuuj! Mam za swoje! Trzeba było nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Schowałam dokument do teczki i zobaczyłam przypięte do niej małe polaroidowe zdjęcie. Szczeka opadła mi na podłogę. Zdjęcie przedstawiało Stanleya w różowej koronkowej halczce, rannych pantoflach na obcasach, z ustami umalowanymi jaskrawą czerwoną szminką, która niezwykle

raziła na tle nieogolonej twarzy, podobnie jak owłosiona klata wyzierająca spod damskiego koronkowego negligiu.

Przeszedł mnie dreszcz. Wrzuciłam teczkę do szafki, zamknęłam szufladę.

Brzydzi mnie to z wielu powodów, myślałam, wychodząc niezauważona przez nikogo z gabinetu Vivian. Nie powinnam była tam zaglądać, ale widok Stanleya w takim stroju wydał mi się nazbyt surową karą, nieproporcjonalną do mojego przewinienia.

Kiedy weszłam do pokoju, zadzwonił telefon. Ani chwili wytchnienia. Odebrałam.

- Witaj, piękna - wymruczał Randall, kiedy odebrałam. Serce mi podskoczyło. Zobaczę go już za kilka godzin... czeka nas pierwsza noc razem pod wspólnym dachem.

- Witaj, kochanie. Ale mi sprawiłeś niespodziankę! Rzadko do mnie dzwonicz w środku dnia.

- Niestety, nie mam najlepszych wieści, maleńka. Chciałem cię zawiadomić jak najprędzej. Wiesz, jak bardzo marzyłem o weekendzie z tobą w Iowa, tymczasem mój najważniejszy klient złożył ofertę wykupienia swojego największego rywala. Sprawy przybrały szybki obrót, a ja prowadzę całą ekipę. Nie może mnie zabraknąć przy tak ważnej transakcji. Dlatego muszę zostać na ten weekend w Nowym Jorku, żeby wszystkiego dopilnować.

- Czyli nie możesz przyjechać? - upewniłam się. Szczerze mówiąc, osłupiałam. Praca Randalla często wymagała zmiany planów lub naglej z nich rezygnacji, ale miałam nadzieję, że nasz wyjazd do Iowa się uchroni. Od dwóch miesięcy mieliśmy już bilety. Randall wiedział, ile ten weekend dla mnie znaczy.

- Zrozum, maleńka, sam przeżywam wielki zawód - odpowiedział. - Ale służba nie drużba. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Służba nie družba. Służba nie družba. Obracałam te trzy słowa w głowie, wyciskając z nich sens. Służba nie družba. Co to, do cholery, miało znaczyć? Zagryzłam wargi. Łzy trysnęły mi do przekrwionych, zmęczonych oczu. Doceniałam znaczenie kariery dla Randalla. Za wszelką cenę chciał sobie wyrobić nazwisko, żeby nie żyć w cieniu swojej potężnej rodziny. Mimo to poczułam się zdruzgotana.

- Nie szkodzi - wybąkałam ze ściśniętym gardłem.

- Przykro mi, cher Claire. Nawet nie wiesz jak bardzo. Znajdź sobie kogoś na moje miejsce na mój koszt. Weź Marę czy kogo tylko zechcesz. Zadzwoń do Deirdre, ona już wszystko załatwi. Jeszcze raz cię przepraszam. Teraz muszę pędzić na spotkanie, ale błagam, zadzwoń do Deirdre. Do zobaczenia wieczorem. Nie mogę się doczekać.

Po odłożeniu słuchawki poczułam fizyczny ból w okolicy serca.

Służba, Claire, przywołałam się do porządku. Nie masz teraz czasu, żeby siedzieć beczynnienie i się nad sobą uzalać. Wróciłam do katalogu, ale poczułam się jeszcze bardziej bezradna niż przedtem.

David zadzwonił do mnie przez interkom.

- Co za dzień! W dodatku przyszedł Luke. Znajdziesz dla niego chwilę?

- Jasne. Wprowadzisz go? Machinalnie sięgnęłam do szuflady po błyszczak do ust, a potem rozpuściłam włosy ściągnięte w koński ogon. I wtedy nasunęła mi się dziwna, lecz intrygująca myśl: a gdyby tak zaprosić Luka'a do Iowa?

Szaleństwo? Ostatnio bardzo się zaprzyjaźniłam z Lukiem przy pracy nad książką. Zaglądał do mnie dość regularnie do pracy - czasem żeby omówić konkretne poprawki, a innym razem, żeby się tylko przywitać. Zawsze go chętnie przyjmowałam. Wiedziałam, że na pewno spodoba mu się przyjęcie na cześć taty, a Randall pozwolił mi zaprosić, kogo

chę. Czy jednak wypada zapraszać innego faceta na weekend w domu rodzinnym?

- Zmieniłaś gabinet? - spytał Luke, wkładając głowę do mojej ciemnej klitki.

- Oj, znudziły mi się tamten widok i nadmiar słońca.

Uśmiechnął się, przesłał mi całusa w powietrzu. A ja, nie wiadomo dlaczego, zarumieniłam się.

- Miałaś okazję przejrzeć moje uwagi? - zapytałam. Tydzień temu wreszcie przekazałam mu poprawiony maszynopis. Usiadłam do niego jeszcze na kilka dni, żeby zadbać o wszystkie szczegóły.

- Jestem w połowie, ale już widzę, ile wnoszą. Dzięki, Claire. Wpadłem tylko po to, żeby się przywitać. Bo nie rozmawialiśmy od tamtego spotkania w zeszłym tygodniu w Otheroom.

No tak! Od tamtego wieczoru, kiedy nawaliłam się i przez ileś godzin wypłakiwałam ci się w kamizelkę? Chociaż pamiętałam tamten wieczór jak przez mgłę, to wiem, że nawijałam mu na temat pracy, rodziny, marzeń, życia miłosnego. Chyba lepiej, że wyparłam szczegóły z pamięci.

- I jak ci się mieszka u chłopaka? - spytał Luke. - Bo przeprowadziłaś się, prawda?

- Tak, w zeszły weekend. Fantastycznie.

Istna rozkosz. Upojne wieczory z jego wścibską matką i nabzdyczoną Svetlaną.

Nagle uznałam, że nie muszę się pilnować przy kimś tak bliskim jak Luke. Dlaczego nie miałabym zaprosić kolegi, skoro wiem, że będzie się dobrze bawił? A jeżeli Randall zdziwi się, że proponuję innemu mężczyźnie weekend w moim domu rodzinnym, może powinien to przemyśleć wcześniej, a nie wystawiać mnie tak w ostatniej chwili. I na drugi raz zastanowi się, co jest dla niego ważniejsze - praca czy ja.

Chociaż absolutnie nie wykorzystywałam Luka'a do tego, żeby coś udowodnić Randallowi.

- Posłuchaj mnie, ale pamiętaj, że zawsze możesz odmówić - zwróciłam się do niego. - Wiem, że to w ostatniej chwili... może więc masz już jakieś plany albo w ogóle cię to nie bawi... albo jesteś zawałony robotą... naprawdę, nie czuj się zobowiązany... Luke mi przerwał.

- Właśnie przekroczyłaś limit zastrzeżeń, które wolno wypowiedzieć przed jednym stwierdzeniem. O co chodzi?

- Dobra, przepraszam. Bo wiesz, chciałam cię zapytać... - Dlaczego serce tak mi waliło? Dlaczego czułam się, jakbym zapraszała chłopaka na studniówkę? - Czy nie pojechałbyś ze mną w najbliższy weekend do Iowa na przyjęcie na cześć mojego taty? Co roku urządzamy taką imprezę poświęconą jego pamięci. Z całej okolicy zjeżdżają się znajomi, czytają swoje ulubione wiersze, ale zrozumieć, jeżeli odmówisz, po prostu sobie pomyślałam, że mogłoby być fajnie.

- Poważnie? Chętnie pojedę! - Po uśmiechu poznałam, że przyjął zaproszenie ze szczerym entuzjazmem. - Nie mogłaś wybrać lepszej pory. Moja dziewczyna jedzie na jakąś akcję w stylu „ratujmy jedwabniki”.

- Doskonale! Aha, i nie martw się o bilet, bo dostaniesz gratis - powiedziałam. - Bardzo się cieszę, że się zgodziłeś. Może nawet wykrobiemy chwilę czasu na pracę! Weź maszynopis, przejrzymy poprawki redakcyjne w samolocie...

- Albo odpocznijmy i będziemy się dobrze bawić. Żebyś też odetchnęła od pracy.

- Może i lepiej - odparłam z uśmiechem.

* * *

- Dobry wieczór, cher Claire - przywitał mnie Randall, otwierając drzwi do naszej od niedawna wspólnej sypialni.

Ach! Chociaż nadal dąsałam się na niego za to, że w ostatniej chwili zostawił mnie na lodzie, musiałam przyznać,

że jak zawsze wyglądał niezwykle pociągająco. Może tylko garnitur miał nieco wymięty po długim dniu w pracy. Usiadłam na łóżku, oparłam maszynopis na podstawce. Randall wyciągnął trzymaną za plecami torebkę od Cartiera.

- Bardzo cię przepraszam za ten weekend. - Usiadł obok, odgarnął mi delikatnie włosy z czoła. - Wiem, że sprawiłem ci zawód, kochanie. Ale tak to już jest, że nie mogę wziąć sobie wolnego, kiedy szykuje się ważna transakcja. Czasem nienawidzę poświęceń, których wymaga ode mnie praca, ale muszę je przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza.

Słyszałam w jego głosie szczerą skruchę, dlatego nie mogłam się dłużej gniewać.

- Rozumiem - powiedziałam, głaszcząc go po plecach. - Jeszcze nieraz odwiedzisz ze mną Iowa i moją mamę. A kolejne przyjęcie na cześć taty już w przyszłym roku.

W przyszłym roku. Wpatrywałam się w twarz Randalla, żeby dostrzec oznaki stropienia. Nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości, ale nawet aluzja do następnego roku wydała mi się ryzykowna. Skoro jednak zamieszkaliśmy razem, przyszłość nie powinna stanowić dla nas tabu.

- W przyszłym roku na mur - beton - powiedział Randall, uśmiechnięty, odprężony. - Masz tu, kochanie, drobiazg na przeprosiny.

I wręczył mi torebkę od Cartiera. Otworzyłam znajdujące się w niej pudełko. W środku leżała piękna złota łańcuszkowa bransoletka. Randall wyjątkowo trafił w mój gust, a poza tym wzruszył mnie, że zadał sobie tyle trudu.

Objęłam go.

- Dziękuję ci - szepnęłam mu do ucha. - Jest przepiękna. Ale nie musiałeś mi nic kupować.

- Pomogę ci zapiąć - zaproponował, mocując się z zamkiem. Czulałam żar jego palców na nadgarstku.

Pocałowałam go w szyję. - Uznałem, że ci się spodoba - dodał, kiedy wreszcie zapiął.

- Bardzo mi się podoba. Tak jak ty. Kocham cię i tak się cieszę na tę naszą pierwszą noc razem!

- Wiem. Doceniam twoją cierpliwość. - Pocałował mnie. - Deirdre wspomniała o twoim telefonie, żeby załatwiła ci drugi bilet do Iowa. I kogo zaprosiłaś? - spytał.

- Jednego z autorów - odparłam prędko. - Luka'a Mayville'a, kuzyna Jacksona.

Czy Randall się nie zdenerwuje? Nagle pocałowałam, że nie przemyślałam sprawy lepiej.

- Tak? To dobrze. Cieszę się, kochanie.

Co? Zero reakcji? Powinnam była odetchnąć z ulgą, że Randall nie czuje się zagrożony moim zaproszeniem Luka'a, ale przyznaję, że trochę mnie rozczarował swoją obojętnością.

- Wyskakuję z ubrania i biorę prysznic. Obiecuję, że nie będę się guzdrał.

Posłał mi szatański uśmiezek, rozluźnił krawat i wyszedł do łazienki.

A może naprawdę nie ma żadnych obaw. Bo dlaczego miałyby mieć? Mieszkamy razem, tworzymy poważną, zaangażowaną parę. Dlaczego miałyby się przejmować tym, że spędzę weekend z kolegą? Randall mi ufa. I słusznie, bo szaleję na jego punkcie.

Przyłożyłam głowę do poduszki z pierza i starałam się nie zasnąć do powrotu Randalla, ale szum płynącej wody, niezwykła miękkość wykwintnej pościeli Pratesi i zmęczenie po pracy mnie zmogły.

Zapalę świece, pomyślałam, zmuszając się do tego, żeby usiąść na łóżku i stworzyć odpowiedni nastrój. Otworzyłam szufladę szafki nocnej w poszukiwaniu zapalek, ale ich tam nie znalazłam. Może trzyma je w górnej szufladzie biurka. Znaczki, nóż do papieru, papeteria... i zdjęcie z piękną

blondynką na plaży. No, ładnie. Drugie zdjęcie tego dnia, którego wolałabym nie widzieć. A zapalek i tak nie znalazłam.

Przerwałam poszukiwania, bo nie chciałam grzebać dalej w jego rzeczach, znów się położyłam. Pryszyć szumiał nadal. Kiedy po jakimś czasie przewróciłam się na drugi bok, zobaczyłam, że Randall, pachnący po kąpieli, w piżamie, siedzi obok i wertuje dokumenty. Spojrzałam na zegar, było po drugiej. Czy on w ogóle sypia? Ten człowiek jest robotem.

- Cześć, kochanie - szepnęłam i przytuliłam się. Wciągnęłam powietrze. Randall pachniał mydłem i świeżością. - Przepraszam, że zasnęłam.

- Ależ nie szkodzi, kochanie. - Pocałował mnie w czubek głowy i przewrócił kartkę. - Potrzebny ci odpoczynek.

- Dobranoc - powiedziałam, całując go w tors. Wtulona w niego, czułam komfort i bezpieczeństwo, jakich nie pamiętałam od dziecka.

- Dobranoc, Coral - szepnął z roztargnieniem, notując coś na marginesie dokumentu.

Natychmiast usiadłam.

- Powiedziałaś Coral?

- Ale skąd! Claire. Dobranoc, Claire.

Dlaczego w takim razie usłyszałam Coral? Czy mówił prawdę? Byłam jeszcze odurzona snem. Claire... Coral. Oczywiście, że brzmią podobnie. A jeżeli nawet zwrócił się do mnie imieniem byłej dziewczyny, co z tego? Niewinne przejęzyczenie.

Znów się przytuliłam. Randall mi ufa, dlatego ja też muszę mu ufać.

Tyle że już nie mogłam zasnąć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY ŚWIAT ZABAWY

Moja mama oczywiście wyjechała po nas na lotnisko, chociaż miała czterdzieści minut drogi samochodem. Wzięcie taksówki do domu uważała za iście nowojorską ekstrawagancję, podobnie jak zamówienie dostawy obiadu z restauracji na rogu.

- Mamo! - zawołałam na zatłoczonym lotnisku. Twarz rozjaśniła jej się na nasz widok. Podbiegłam do niej z Beatrice, omal jej nie zmiażdżyłam w uścisku. Panowie, obładowani bagażami, wlekli się za nami.

- Kochanie... - Mama spojrzała wymownie na Beę. - Beatrice, wcale nie żartowałaś. Naprawdę wygląda jak szczapa. Już na sylwestra była chuda, a teraz...

- Mamo, przecież ja tu jestem - przypomniałam im, zamykając mamę w kolejnym niedźwiedzim uścisku, głównie po to, żeby przestała mnie oglądać ze wszystkich stron. - Tak się cieszę, że cię widzę. Od twojego wyjazdu nie mogłam się doczekać tego weekendu.

Mówiłam prawdę, ale wciąż wracałam do domu z pewnym smutkiem, bo brakowało mi taty u boku mamy. Chociaż minęło już pięć lat, nie zdążyłam się jeszcze przyzwyczaić.

- Ja też, kochanie. Harry, świetnie wyglądasz! - dodała, ściskając męża Bei.

- Ty też, Trish! I widać, jak ciężko pracujesz. Harry wskazał plamy farby na dzinsach mamy.

- Od rana towarzyszy mi wielkie natchnienie. - Przyznała mama z uśmiechem. - A pan to na pewno Luke! Tak się cieszę, że mogę pana poznać. Kilka tygodni temu Claire przysłała mi maszynopis pańskiej książki. Po prostu ją pochłonęłam. Ma pan niezwykły talent.

- Dziękuję - powiedział Luke, wyraźnie wzruszony komplementem mamy. - Chyba dzięki ciężkiej pracy Claire moja książka nabiera szlif.

Mama się rozpromieniła.

- Claire miała dwóch wielkich nauczycieli sztuki redagowania. Ojca i pańskiego wuja. Powiedziałabym więc, że znalazł się pan w dobrych rękach.

- Już dobrze, mamo.

Roześmiałam się, wzięłam swoją torbę od Luka'a i poprowadziłam całą grupkę na parking. Ze wszystkim, co dotyczyło mnie albo mojego ojca, mama nie znała umiaru.

- Od wielu lat jestem miłośnikiem twórczości pani męża - powiedział Luke mamie. - Między innymi dlatego tak się ucieszyłem, kiedy Claire zaprosiła mnie tu na weekend.

Między innymi. Bea rzuciła mi zdziwione spojrzenie.

- Dziękuję. Bardzo sobie cenię świadomość, ilu ludzi Charles poruszył dzięki swojej twórczości - przyznała mama, obejmując Luka'a. - I mów do mnie Trish.

- Trzy lata zabrało jej przejście ze mną na ty - zażartował Harry. - Widzisz, jak działa poezja.

Kiedy upchaliśmy się wszyscy w wysłużonym subaru mamy i ruszyliśmy do domu, czułam, jakby Luke należał do naszej paczki od zawsze.

- Przepraszam was, kochani, ale ogrzewanie trochę nawala - powiedziała mama, oglądając się na tył, gdzie Bea, Harry i Luke siedzieli ściśnięci razem. - Gdybyście przemarzli, tam za wami leżą koce.

Bea natychmiast po nie sięgnęła i nam rozdała. Już zapomniałam, jak zimno bywa zimą w Iowa. Przez ułamek sekundy poczułam nawet ulgę, że Randall nie mógł przyjechać. Ciekawe, jak by się czuł w starym gracie mamy, na drugim biegunie od jego porsche, z zepsutym

ogrzewaniem? Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby otulił się pozszywaną z gałganków kołdrą mamy.

- Mamo, nie sądzisz, że pora już zrezygnować z Nellie? Mieliśmy Nellie, bo tak nazywaliśmy ten samochód, od mojego dzieciństwa. Naprawdę już odsłużyła swoje.

- Zrezygnować? Nigdy w życiu! Dobrze wiesz, że tego nie zrobię.

Po co w ogóle strzepiałam sobie język? Mama przejawiała idiotyczną lojalność wobec rzeczy nieożywionych. Stare swetry zawsze można było zacerować, wyszczerbione talerze miały „duszę”. Nigdy nie wiedziałam, czy winę ponoszą jej korzenie ze statku Mayflower, czy skąpstwo wymuszone latami liczenia się z każdym groszem. Nie chciałam przyznać, że w głębi serca podejrzewa nasze subaru o prawdziwe uczucia.

- Kto by się przejmował ogrzewaniem? - spytał Harry, otulając się szczelniej kołdrą.

- W tym roku przyjedzie chyba więcej gości, niż sądziliśmy! - zawołała mama z ożywieniem. - Już doliczyłam się dwustu pięćdziesięciu osób, a przecież ludzie w ostatniej chwili zapraszają przyjaciół... Namiot jest już gotowy, tylko stawiać. Harriet i Suz od środy uwijają się w kuchni i szykują jedzenie w ilościach przemysłowych.

Harriet i Suzanne, przyjaciółki moich rodziców od ćwierć wieku, mieszkające razem od trzydziestu lat. Harriet pracowała jako szefowa kuchni w miejscowej gospodzie, a Suzanne produkowała naturalne mydło. Od początku zajmowały się zaopatrzeniem gastronomicznym na nasze przyjęcie, które z roku na rok stawało się coraz bardziej wykwintne.

Po przyjeździe do domu mama włączyła nas do pracy, żeby przyspieszyć przygotowania. Na kilka godzin przed

przyjściem gości panowała nad wszystkim, ale zostały jeszcze ostatnie drobiazgi.

- Dasz się zagonić do roboty? - spytała Luka'a, który zapewnił, że z przyjemnością nam pomoże.

Po godzinie ocierał pot z czoła i szykował się, żeby wytaszczyć z salonu ciężki stół do kawy. Do spółki z Harrym wyniósł już kanapę, dwa potężne fotele i tapczan - chętnie bym im pomogła, ale mama poprosiła, żebym sprawdziła nagłośnienie. Nagłośnienie! Nie mogłam się nadziwić, jak bardzo rozrosły się przyjęcia na cześć taty od pierwszej takiej imprezy ani ile trudu mama włożyła w tym roku. Bea pilnie wiązała wstążeczki na programach z wykazem miejscowych fundatorów, a Harriet i Suzanne wydawały kelnerom szczegółowe polecenia. Kiedy do przyjścia gości zostało czterdzieści minut, skończyliśmy wszystko z listy mamy.

- Mogę teraz wejść pod prysznic? - spytał Luke. Pot przesiąknął mu przez koszulę. - Bo trochę ode mnie zalatuje.

Z uśmiechem ściągnął mokrą koszulę.

- Jasne! Aż wstyd, jakie jesteśmy niegrzeczne. Żeby kilka minut przed przyjściem gości skazywać cię, Luke, na taką harówkę.

- Nie przepraszaaj, Claire. Chętnie się włączyłem. Wszyscy na pokład.

Wyciągnął szyję i cmoknął mnie delikatnie w policzek. Zamarłam. Pachniał piżmem, jak każdy po ciężkiej pracy. Bea zerknęła na nas z drugiej strony pokoju. Z jej miny łatwo było wyczytać, co myśli.

Pocałunek w policzek. Przyjacielski gest.

- Tędy - powiedziałam, prowadząc Luka'a korytarzem. Z szafki w łazience wyjęłam świeże ręczniki.

Luke szedł kilka kroków za mną, przejeżdżając palcem po książkach na półce. Moi rodzice „wytapetowali” niemal wszystkie ściany domu regałami - ich jedynym luksusem był

ten niezwykley zbiór literatury. Mama często powtarzała, że żyjąc tyle lat w otoczeniu przeczytanych przez nich oboje książek, czuje się, jakby tata nadal z nią mieszkał. Dlatego nigdy się nie przeprowadziła.

- Twój tata to napisał? - spytał Luke, wyciągając jedną książkę z półki.

Spojrzałam. Trzymał w rękach pierwszy tomik wierszy taty. Aż dziw, że właśnie tę książkę wyciągnął. Kremowy, cienki tomik, wydany przez małe, nieistniejące już wydawnictwo, kiedy tata był jeszcze na studiach. Chociaż potem opublikował tuzin kolejnych zbiorów poezji, zawsze najbardziej lubiłam pierwszy.

- Przeczytałam go od deski do deski chyba z tysiąc razy - powiedziała Luke'owi ze wzruszeniem. - Znam go na pamięć. I całe szczęście, bo podczas przeprowadzki na ostatnim roku z akademika w Princeton zginął mi jedyny egzemplarz. Mama zaproponowała, że da mi swój, ale poczułam wyrzuty sumienia, że go zgubiłam. A nakład był bardzo ograniczony, dlatego nigdy potem nie znalazłam już egzemplarza.

- Na pewno kiedyś wpadnie ci w ręce - pocieszył mnie Luke.

- Mam nadzieję.

Na wspomnienie tamtej zguby ogarnął mnie smutek. Podałam Luke'owi ręczniki, a on tylko się uśmiechnął i zamknął drzwi łazienki.

* * *

- Czy goście jedzą zupę dyniowo - orzechową? - dopytywała Harriet. - Mówiłam ci, że nie powinnyśmy były podawać zupy na kredensie, Suzanne. Nikomu nie chce się nosić talerzy i kokilek!

- Bardzo mi przykro - odcięła się Suz, chociaż po jej minie nie było tego widać. - Czyli jesteśmy kwita, bo

mówiłam ci, żebyśmy przygotowały dwa razy tyle grzanek z fondue szparagowo - szynkowym!

- A co to takiego? - zapytałam, łapiąc jakiś smakołyk ze stołu i wkładając sobie do buzi. Opychałam się tak od przyjazdu. Na tyle się tu odprężyłam, że jedzenie znów sprawiało mi przyjemność.

- To, co właśnie zjadłeś - odparła Suzanne, zakładając mi włosy za ucho. - Co u ciebie, mała? Twoja mama twierdzi, że ostatnio siedzisz przykuta do biurka. Za to masz naprawdę fajnego faceta!

- Mówisz o Luke'u? - Spojrzałam w jego stronę. Rozmawiał z mamą przy sąsiednim stoliku. - To nie mój chłopak, ale autor. Przy okazji kolega. Mój facet musiał zostać w pracy. Ale przysłał te wszystkie kwiaty. Prawda, że kochany?

I pokazałam całą ścianę białych róż, które Randall przysłał do domu mamy kilka godzin wcześniej.

- Wolalabym tego - zapiszczała Harriet. - Przystojny, dowcipny, uroczy. I zobacz, jak wspaniale dogaduje się z twoją mamą. Nie śmiała się tak od...

Urwała, tylko machnęła wymownie ręką.

- Zgadzam się, że Luke jest fantastyczny. Ale Randall też jest wspaniały.

- Na pewno. - Suzanne pokiwała głową. - Claire, nie słuchaj Harriet! O, twoja mama zaczyna przemówienie. Uciszcie się.

Mama postukała delikatnie w mikrofon ustawiony z przodu namiotu.

- Dziękuję wszystkim za przybycie! Bardzo mi miło poinformować was, że zyski z tegorocznej imprezy wystarczą nie na jedno, lecz na dwa stypendia w Warsztacie Pisarskim w przyszłym roku. Stokrotne dzięki za waszą niesłychaną hojność! - W namiocie wybuchł aplauz. - A teraz chciałabym

przedstawić swoją córkę, Claire Truman, która rozpocznie uroczystość od przeczytania poematu Coleridge'a Kubla Khan.

Czytałam go pięć lat z rzędu. Należał do ulubionych wierszy taty, był jednym z kilku, które mi deklamował, kiedy tulił mnie wieczorami do snu. Do dzisiaj słyszałam w uszach głos taty, kiedy go czytałam. Nadal wyobrażam sobie, jak siada obok mnie na brzegu mojego podwójnego łóżka.

Cudownie być w domu, pomyślałam, kiedy weszłam na scenę i spojrzałam na tłum jakże mi bliskich osób. Nie patrząc nawet w stronę Luka'a, czułam, że się uśmiecha.

* * *

- Szkoda, że musimy już wyjeżdżać - biadoliła Bea.

- Szkoda, że po powrocie czeka mnie trzysta stron do zredagowania - dodałam ponuro.

Harry i Luke, ciepło opatuleni, wyszli na spacer, a Bea, mama i ja zostałyśmy w szlafrokach i rozmawiałyśmy w naszej nowej miętowozielonej kuchni. Pominąwszy dotkliwą niedzielną chandrę, od wielu miesięcy nie czułam się tak odprężona i szczęśliwa.

Oplotkowałyśmy już przyjęcie i nasz ogromny sukces. Goście zaczęli się rozchodzić dopiero o drugiej nad ranem (co w Iowa można porównać z nowojorską balangą do białego rana), po czym w pięcioro posiedzieliśmy jeszcze kilka godzin przy kominku i wypiliśmy kilka butelek wina.

- Przypomnij mi, ile jeszcze miesięcy musisz pracować dla tej smoczycy? - spytała Bea.

- Pięć. I tydzień.

Niby nie tak dużo, a mnie wydawało się to wiecznością. Półmetek.

- Mnie się chyba nie za bardzo podoba ta Vivian - powiedziała wolno mama. Bea i ja podniosłyśmy wzrok znad kubków. Moja mama, podobnie jak Jackson, kierowała się w życiu zasadą, że "jeśli nie masz nic miłego do powiedzenia,

lepiej nie mów nic". Nawet delikatna krytyka w ustach mamy brzmiała jak amunicja ciężkiego kalibru.

- A mnie się z całą pewnością nie podoba - zawtórowałam, nagle przerażona koniecznością powrotu nazajutrz do pracy. Tyle tygodni czekałam na ten wyjazd do Iowa i chociaż spędziłam tam cudowne dwadzieścia cztery godziny, minęły mi jak z bicza strzelił. Teraz czekał mnie powrót do rzeczywistości, do Nowego Jorku, do Grant Books.
- Najchętniej wzięłabym zwolnienie i została tu tydzień. Albo rok. Nakryła się kołdrą i schowała przed światem.

Roześmiałam się gorzko, chociaż perspektywa brzmiała kusząco.

- Wiesz, kochanie, że zawsze masz tu u mnie kryjówkę - odparła mama z uśmiechem. Czułam, że chętnie powiedziałaaby więcej, ale ugryzła się w język. Ukroiła mi porcję domowej szarlotki, przebój dzisiejszego poranka.

- Nawiasem mówiąc - szepnęła Bea, nachylając się do nas - wyobrażasz go sobie jeszcze bardziej zakochanego w tobie?

- Kogo? O kim ty mówisz, Bea?

- O panu kapitanie ze Statku miłości. Obudź się, Claire! Jasne, że o Luke'u. Dlaczego nigdy nie mówiłaś nam, jaki jest wspaniały? Trzeba było widzieć jego minę wczoraj wieczorem, kiedy czytałaś na scenie. Dosłownie spijał ci słowa z ust.

- Bo to mistrzowski poemat. - Poczułam, jak rumieniec występuje mi na twarz. - Zresztą jesteśmy przyjaciółmi. Znakomicie nam się razem pracuje.

- Rzeczywiście jest wspaniały - potwierdziła mama. - A jaki przystojny!

- Wiesz, mamó, Randall też jest wspaniały. I chyba jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. A poza tym...

- Ładnie o nim mówisz - powiedziała mama ciepło. - Nie mogę się doczekać, kiedy go lepiej poznam.

- Nie masz pojęcia, jaki Randall był załamany, kiedy wynikła ta historia z pracą. Pokazywałam ci, co mi kupił w ramach przeprosin za to, że nawalił w ten weekend?

Wyciągnęłam rękę ze złotą bransoletką i natychmiast się zawstydziałam. Czułam, jak głupio się zachowuję, ale kampania mamy i mojej najlepszej przyjaciółki promująca Luke'a nastawiła mnie dziwnie wojowniczo. Nie przypuszczałam, że posądzą mnie o romans z Lukiem, zwłaszcza że mieszkałam z Randallem, swoim wymarzonym chłopakiem. Inni mężczyźni w ogóle nie wchodzili w grę.

- Śliczna! - zawołała z ożywieniem Beatrice. - Piękny gest.

Mama pokiwała głową.

- Rzeczywiście, cudowna.

- Sądzę, że Randall może okazać się, no wiecie... tym jedynym! - wypaliłam.

- Naprawdę? W takim razie tym bardziej nie mogę się doczekać, żeby go lepiej poznać! - wykrzyknęła mama. - Bardzo się cieszę, Claire. Musi być wyjątkowy.

- O rany - powiedziała Bea, uśmiechając się z niedowierzaniem. - Czasem jeszcze z trudem do mnie dociera, że obiekt naszych westchnień na studiach stał się naprawdę twoim chłopakiem. Sytuacja, jak by to powiedzieć... jak z romansu!

- Też tak uważam - powiedziałam z uśmiechem. Mama spojrzała na zegar na ścianie i się przeraziła.

- Dziewczyny, pakujcie się, niewiele czasu zostało do wyjazdu.

Nie. Za nic nie chciałam wyjeżdżać. Właśnie przypominałam sobie, co to znaczy oddychać, wypoczywać, zjeść cały posiłek, śmiać się z przyjaciółmi.

- Mamo, przyjedziesz w któryś z najbliższych weekendów do nas do Nowego Jorku? - zapytałam. - Mama Randalla wciąż mnie nagabuje, kiedy nas odwiedzisz.

- Nie tylko ciebie. Lucille, biedactwo, wydzwania do mnie po kilka razy dziennie - powiedziała mama. - Widocznie jest tak strasznie samotna. Szkoda, że nie ma się czym zająć. Wiem, że zasiada w zarządach różnych towarzystw charytatywnych, ale chyba nie zabiera jej to dostatecznie dużo czasu.

- Nie wyobrażam sobie Lucille przy pracy - zastanowiłam się na głos.

- Kiedyś miała wielkie ambicje. Ale to było wiele lat temu.

Zadzwoił mój telefon, zamarłam. Na szczęście wyświetlił się numer biura Randalla, a nie mojej szefowej.

- Witaj, skarbie - zagruchałam.

- Witaj, cher Claire! Właśnie miałem ci powiedzieć, że Freddy wyjedzie po was na lotnisko. Poprosiłem Svetlanę, żeby nam dziś przygotowała kolację. Wyrwę się na kilka godzin z pracy. Zostaniemy w domu, spędzimy uroczy wieczór. Odpowiada ci to?

Bardzo mi odpowiadało, stanowiło najlepszy balsam na moją chandrę.

- Czyli jesteśmy umówieni. A róże były prześliczne. Jak tyś je...

- Bardzo mi miło. Deirdre obdzwoiła wszystkie kwiaciarnie w stanie Iowa.

Kuchennymi drzwiami weszli Harry i Luke z policzkami zarumienionymi od zimna.

- Co za zimnica! Kawy! - zawołał Harry i przysunął krzesło do stołu.

Mama natychmiast wyjęła z szafki dwa ogromne kubki i naląła im parującej kawy.

- Dzięki - powiedział Luke, grzejąc dłonie o kubek, napawając się jego ciepłem.

- Kochanie? Jesteś tam? - spytał Randall.

- Aha - odparłam i nagle oprzytomniałam. - No dobrze, czyli... widzimy się za kilka godzin.

- Świetnie. Do zobaczenia. Kocham cię, cher Claire. Zamilkłam na chwilę.

- Ja ciebie też. Pa.

I odłożyłam słuchawkę.

- Wiecie, jak tu jest pięknie?! - zawołał Luke. - Takiej przyrody nie znajdziesz w Central Parku. Tutaj się o wiele lepiej żyje.

- Nie mów tak! - wtrąciłam. - Musimy wszyscy przekonać mamę, żeby odwiedzała Nowy Jork częściej, a nie rzadziej! - Bea z mamą wytrzeszczyły na mnie oczy. - Poza tym mamy Metropolitan Museum, operę, najlepsze restauracje na świecie... nie narzekałabym na jakość życia.

- Rzeczywiście - potwierdził Luke ze zdziwioną miną. - Po prostu fajnie czasem pooddychać świeżym powietrzem.

Pokiwałam głową, nagle zawstydzona własnym wybuchem. Dlaczego tak naskoczyłam na Luka'a? Przecież powiedział tylko, że bardzo mu się u nas podoba.

- Wkrótce do was przyjadę - obiecała mama, głaszcząc mnie po głowie. - Przecież wiesz, jak bardzo lubię cię odwiedzać.

Ciekawe, czy mamie spodoba się u Randalla. Nie była krytyczna z natury, ale zastanawiałam się, czy będzie się dobrze czuła w jego pokoju gościnnym na końcu korytarza. Nie wyobrażałam sobie naszych maratonów przy Ani z Zielonego Wzgórza i kubelku lodów w nieskazitelnym pokoju telewizyjnym Randalla.

- Zbiórka, kochani. Z przykrością zawiadamiam, że musimy jechać na lotnisko - oznajmiła mama. - Masz tu wałówkę na podróż, kochanie.

I wręczyła mi ogromną torbę, a w środku chleb bananowy domowego wypieku, prosto z pieca, świeże owoce, kanapki z szynką parmeńską i serem, sok. Ledwo wstaliśmy od śniadania, ale i tak pociekła mi ślinka, kiedy widziałam, jakie pakuje mi smakołyki.

- Dziękuję, mamo - powiedziałam i uściskałam ją z całej siły, rozżalona, że zaraz muszę się pożegnać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY JĄDRO CIEMNOŚCI

- Carl, witaj, słonko. Tu Vivian. Na linii konferencyjnej mam też Claire Truman. Będzie notowała, żebyś mógł tylko siedzieć i słuchać.

- Odpowiada mi to, Viv - odparł Carl Howard schrypniętym głosem nałogowego palacza.

Sama w swoim ciemnym gabinecie, oparłam bolącą głowę na jednej ręce. Nie mogłam uwierzyć, że niecałą dobę wcześniej siedziałam w naszej kuchni przy starym wiejskim stole, popijałam kawę, wdychałam zapach domowego chleba bananowego w piecu i słuchałam w starym radioodbiorniku audycji This American Life. Czułam się teraz, jakbym wróciła do piekła, chociaż był dopiero poniedziałek, dwunasta w południe.

Wyjęłam z torby kromkę bananowego chleba mamy i ugryzłam, w nadziei że wróci chociaż cząstka przyjemności, jakiej zaznałam w domu. Ale smakował zupełnie inaczej w trującej atmosferze mojego biura. Wyrzuciłam go.

- Claire, jesteś tam? - spytała Vivian.

- Jestem. Witaj, Carl.

Carl był pisarzem, mieszkał w Miami i tworzył blisko połowę naszych książek. Niezrównany pisarz usługowy, obdarzony niesłychanym darem idealnego wczuwania się w głos poszczególnych autorów. Opowiadał ich historie tak, jak żaden z nich by nie umiał. Przy tym pracował bardzo szybko, co przy nieprzyzwoitych terminach wydawniczych naszej firmy czyniło z niego naszego najcenniejszego zawodnika.

Nigdy go nie poznałam, ale raz cudem uratował mi skórę, kiedy dosłownie na wczoraj napisał od nowa ekspresową książkę. Wszyscy redaktorzy Grant mieli wobec niego po kilka długów wdzięczności.

Jeżeli jednak redaktorka była choć trochę atrakcyjna, Carl nie puszczał takich długów w niepamięć. Chodziły słuchy, że latami posuwał Vivian, kiedy tylko miała na to ochotę, dlatego zaliczki Carla wydawały się dla jej podwładnych tym bardziej zastanawiające.

Teraz nasza konferencja telefoniczna miała na celu ściągnąć do nas natychmiast Carla, żeby napisał autobiografię Morgan Rice. Rice miała niezły życiorys. Uzależniona od narkotyków rockmanka i niegrzeczna dziewczyna z plakatów, żona uzależnionego od narkotyków kultowego rockmana, który umarł z przedawkowania na przyjęciu z okazji czwartych urodzin ich syna. Nigdy publicznie nie mówiła ani nie pisała o śmierci męża, a teraz zdecydowała się (za siedmiocyfrową zaliczkę) powiedzieć prawdę. Nie muszę dodawać, że jej książka na pewno wywoła nie lada poruszenie.

Rice w końcu spotkała się z nami tydzień temu. Jej agent osiem razy zmieniał termin, za każdym razem w ostatniej chwili i z idiotyczną wymówką. Kiedy wreszcie dotarła, wyglądała koszmarnie: na głowie strzecha tlenionych włosów, jaskrawa czerwona szminka rozmazana nierówno na ustach, pożółkłe zęby i paznokcie, zamglone oczy i, oczywiście, jej firmowe ślady po wkłuciach. Jedna wielka tragedia.

A teraz ja miałam zostać jej redaktorką. Układałyśmy razem dziennik jej życia, zbieraną przez lata chaotyczną kolekcję osobistych rekwizytów nałogu, uzupełnioną wspomnieniami. Miałyśmy na to równo miesiąc. Vivian chciała wydać książkę w rocznicę śmierci męża Rice, co było uzasadnione z komercyjnego punktu widzenia, ale mogło zabić nieszczęsną Dawn. W tak rekordowym czasie miała powstać kolorowa książka, która nie istniała jeszcze w najmniejszym zarysie.

Jak zawsze, Dawn miała dołożyć do tego nadludzkich starań. Następnym razem Vivian jeszcze bardziej skróci czas.

Sprawność Dawn ewidentnie pozwałała szefowej w nią orać, ale przecież odmowa w ogóle nie wchodziła w grę.

W każdym razie Carl był nam do tej książki bardzo potrzebny. Bez niego praktycznie nie mieliśmy szans zdążyć w terminie, co rozumiała nawet Vivian. Dlatego zorganizowała tę konferencję.

- Musisz się spotkać z Morgan, wydobyć z niej całą historię, wyrwać jej trochę dokumentacji, bo podobno ma całe pudła, i sklecić tekst w niecałe trzy tygodnie - wyjaśniła nonszalancko Vivian, jak gdyby zamawiała śmietankę do kawy.

Carl gwizdnął przez zęby.

- Wyśrubowane zlecenie, kochana, nawet jak dla mnie. Coś mi się zdaje, że ona ostatnio zapisała się na odwyk. A wiesz, czy w ogóle kontaktuje z otoczeniem?

- Jest czysta jak łza! Spotkałam się z nią w zeszłym tygodniu. Piękna jak lalka! Wierzę w ciebie. Pamiętam, jak cudem uratowałeś The Crash (The Crash - Kryzys.). Wyciągnąłeś nas z opresji po tym, jak czterech innych pisarzy zawaliło sprawę. Nie mogłam wyjść z podziwu, Carl. Pod twoim piórem analfabeta brzmi jak wnikliwy, inteligentny człowiek. Masz fenomenalny talent, na pewno sobie poradzisz. Nikt tak nie używa języka jak ty.

O rany.

- Mów wolniej, skarbie. - Carl niemal wyjęczał do słuchawki. - Bo staje mi jak stąd do Teksasu.

Boże święty. Wszystko, tylko nie to. Świat mi się walił. Błagam, niech ta rozmowa zejdzie na inne tory...

- Skarbie, jesteś najlepszy w branży - zamruczała Vivian.

- Pod jakim względem? - drążył dalej Carl. - Jak mi powiesz, że nie znasz lepszego ode mnie ogiera, za dwa i pół tygodnia przyniosę ci ten maszynopis w zębach.

- Przecież wiesz, skarbie. Co tam w branży. Jesteś najlepszym ogierem, jakiego w życiu miałam.

I znów zamruczała.

Nie wierzyłam własnym uszom. Czyżby moja szefowa i jej podstarzały lowelas wciągnęli mnie w lubieżny telefoniczny trójkąt? To było jak koszmarny sen.

Odchrząknęłam.

- Carl, umowy wysłać jutro do ciebie czy do twojego agenta?

- Nie dasz nam chwilę pożartować - przygadała mi Vivian.

- Przyślij do mnie, słonko - odparł niskim głosem Carl, aż mnie przeszły ciarki. - Słyszałaś, co powiedziała Vivian. Jestem najlepszy w branży. Zapamiętaj to sobie i zarezerwuj trochę wolnego czasu na mój najbliższy przyjazd do Nowego Jorku.

Myślałam, że zaraz mnie zemdli.

- Rzeczywiście, Claire jest absolutnie w twoim typie - dodała Vivian, wtrącając swoje trzy grosze w moje pełne obrzydzenia milczenie. - Ma nogi po szyję i wdzięk seksownej bibliotekareczki, z nieodzownymi okularami i koczkim. Powinieneś dokądś ją zaprosić, kiedy zajrzysz do Nowego Jorku.

Oniemiałam. Szefowa organizowała mi randkę? W dodatku ze swoim kochankiem?

- Nogi po szyję? Już mi się podoba - odparł Carl. - Może umówilibyśmy się we troje na spotkanie.

- Muszę odebrać drugi telefon - przerwałam, żeby Vivian nie zdążyła odpowiedzieć. - Carl, przyślę ci notatki i umowę.

Kiedy rzucałam słuchawkę na widełki, dobiegł mnie jeszcze chrapliwy śmiech Vivian.

Przycisnęłam pięści do skroni, mocno, mocniej... po chwili opadły bezwładnie na biurko. Co ja, do cholery, robię?

Jeszcze tego samego dnia mogłabym odejść i już wieczorem znalazłabym się w wolnym świecie.

Spojrzałam na maszynopis Luke'a leżący na rogu biurka.

Za pięć miesięcy trafi bezpiecznie do drukarni. Jeszcze pięć kartek z kalendarza. Tylko lojalność wobec niego trzymała mnie w Grant Books. Jeżeli odejdę teraz, książkę przejmie kto inny. Nie miałam pojęcia, jakie zmiany może wprowadzić Vivian z zemsty za moje odejście. Musiałam zostać na ringu dla dobra Luka'a, żeby do czasu publikacji nie spadły na niego żadne ciosy.

Na moim interkomie rozbłysły cztery znienawidzone cyfry. No nie, znowu? Na widok numeru wewnętrznego Vivian dostawałam odruchu Pawłowa - coś mnie ścisnęło w brzuchu, serce zaczynało walić jak basy w kabriolecie w dzielnicy South Central.

- Claire?! - warknęła moja szefowa.

- Już jestem, Vivian - powiedziałam, naciskając guzik.

- Lulu twierdzi, że podobno według ciebie powinniśmy zrezygnować z maszynopisu o nastoletnim sutenerze.

- Owszem - wycedziłam przez zęby. - Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli zapłacić złamanego centa za coś takiego.

Była to historia szesnastolatka, który przekonał kilka swoich koleżanek z klasy w szkole średniej, w tym nawet trzynastolatki, żeby puszczały się za pieniądze. Istny koszmar. Gdyby ta książka przestrzegala rodziców i młodzież, do czego doprowadzają takie skrajne sytuacje, może miałyby rację bytu. Najwyraźniej jednak autor nie miał żadnych skrupułów i chciał raczej prowokować, niż uczyć. Zwykła pornografia bez cienia wyższych wartości.

- Niebawale. Powiedz mi jedno, Claire, czy ty jesteś opóźniona w rozwoju, czy tylko bardzo, ale to bardzo głupia?

Z oddali dobiegł mnie stłumiony chichot Lulu.

- Ani to, ani to - odpowiedziałam wprost, zmuszając się, żeby nie chwytać jej przynęty. - Zwyczajnie uważam, że to chłam.

- No wiesz, dla jednego chłam, dla drugiego bestseller. Lulu powiedziała, że chętnie przejmie ten projekt. Obie widzimy w nim ogromny potencjał, może nawet tę historię podchwyci telewizja. Takiego nosa oczekuję od swoich pracowników.

Wiedziałam, dlaczego ta rozmowa odbywa się przez interkom. Vivian chciała zwiększyć do maksimum liczbę osób, które ją słyszą. Aż dziw, że nie przyszło jej do głowy zamontować w gabinecie pręgierza, bo mogłaby na wzór purytanów zawstydząć podwładnych. W kadrach na pewno wyraziliby zgodę, bo Grant Books ostatnio zajmowało pierwsze, drugie i trzecie miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa”.

- Rozumiem, Vivian - odparłam, ale już się rozłączyła. Spojrzałam na mały zegar w rogu monitora. Dochodziła pierwsza. Błogi spokój, którego doświadczyłam w domu w Iowa, wydawał mi się teraz odległym wspomnieniem.

Wróciłam do komputera, zastałam w nim czterdzieści dwie wiadomości, które przyszły w ciągu ostatniej godziny. Zamówiłam pizzę z garmażerii na dole i przygotowałam się na długie popołudnie.

Kiedy podniosłam wzrok, dochodziła północ. Gdyby mi nie przeszkadzano co pięć sekund, na pewno nadrobiłabym pracę, która uzbierała się przez weekend. I tak będę musiała wziąć do domu maszynopis, żeby zdążyć go zredagować do rana, ale nie szkodzi. Co miałam do roboty poza spaniem? Randall nadal finalizował transakcję, dlatego spędzi w biurze całą noc. Skulona z laptopem na własnej kanapie będę się czuła lepiej, niż ślęcząc do rana w pracy.

Wyrzuciłam puste pudełko po pizzy i wyłączyłam komputer. I wtedy kątem oka dostrzegłam w korytarzu pukiel rudawoblond włosów.

Po chwili zorientowałam się, że to Vivian. Aż ścierpłam. O, nie. Nie wyobrażałam sobie teraz nic gorszego niż atak Vivian.

- Jeszcze tu siedzisz, Claire? - zapytała, stając w drzwiach.

- Aha. Musiałam coś dokończyć. Ty też długo pracujesz - powiedziałam, z nadzieją na rychły koniec rozmowy.

- A tak, bo Simon jest dziś u rozplodowca numer dwa - powiedziała znudzonym głosem. - Dlatego wcale mi się nie spieszy do pustego domu.

Zdziwiłam się, że Vivian tak szczerze przyznaje się do samotności czy w ogóle do jakiegokolwiek ludzkiego uczucia. Spojrzałam na nią. Wydała mi się teraz wyjątkowo mała w eleganckim kostiumie, nieco wymiętym po całym dniu pracy.

Ciekawe, jak normalna osoba może się zmienić w taką Vivian Grant? Na pewno nie zawsze była taką ostrą, obrzydliwą, wiecznie rozjuszoną tyranką. Miała przecież dwóch synów. Których szczegółami anatomicznymi lubiła się chwalić każdemu, kogo tylko zmusiła do słuchania. Przez chwilę zobaczyłam w niej osobę samotną, pokreconą, do głębi nieszczęśliwą. I aż zrobiło mi się jej żal.

Przypomniałam sobie, jak poprzedniego dnia rzuciłam się na mamę, kiedy chciała mi pomóc spakować torbę. Jak zrugłam Luke'a i Beę, kiedy zaproponowali, że mnie podwiozą. Jak niecierpliwie zareagowałam rano, bo kawa parzyła się kilka minut. Jak nie odzywałam się do Mary. Od miesięcy nie pokazałam się na sali gimnastycznej, a większość posiłków kupowałam za trzy czwarte dolara w automatach. Odkąd zamieszkałam z chłopakiem, spędziłam z nim całe trzy godziny na jawie.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała Vivian, machając do mnie ze zmęczeniem, i ruszyła dalej korytarzem. - Ktoś tu musi pracować.

Na monitorze mignęło mi przelotnie moje odbicie - skulona w obrotowym krześle, włosy spięte w niechlujny koczek, opromieniona sinym blaskiem komputera.

I w szybie ekranu dojrzałam coś jeszcze - za oknem mojego gabinetu rozciągał się Manhattan, jasny, wesoły, pulsujący energią i podnieceniem.

Pięć miesięcy, przyrzekłam sobie w duchu, jeszcze tylko pięć miesięcy i wracam do życia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

OPOWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH

- Już schodzę - rzuciłam w locie, zapomniawszy się nawet pożegnać z Randallem, bo tak szybko wrzuciłam komórkę do torebki. Przetrzaśnęłam torbę podróżną... olejek z filtrem przeciwstonecznym, bikini, są. Wyzywająco błyszcząca sukienka Lily Pulitzer (prezent od Lucille), jest. Rakieta tenisowa i biały strój, są. Szorty, czyste koszulki bawełniane, są. Byłam gotowa. A, jeszcze tylko coś do czytania. Złapałam maszynopis Luke'a i ruszyłam do drzwi. Ostatnio tylko na nim potrafiłam się skupić.

Kiedy Randall zadzwonił wcześniej, żeby sprawdzić, czy wyrwę się na weekend, nie posiadałam się z radości. Bardzo mi zależało, żeby spędzić z nim trochę czasu, nie tylko końcówkę wyczerpującego dnia. Ostatnio oboje tak byliśmy zaharowani, że wpadliśmy w dość banalną rutynę, mianowicie rozmawialiśmy dosłownie kilka minut, zanim złożyliśmy głowy na osobnych poduszkach. Dlatego tak mnie ucieszyła propozycja spontanicznego wypadu na weekend. Nawet jeżeli wymagało to machnięcia ręką na pracę, uważałam, że warto, żeby przeżyć romantyczne tete - a - tete.

Wówczas Randall oznajmił, że wybieramy się z wizytą do jego rodziców w Palm Beach.

- I co, maleńka? - Cmoknął mnie w policzek, kiedy wsiadłam do samochodu. - Gotowa na odrobinę słońca? Bo tu pogoda jest okropna.

W szyby limuzyny zacinał deszcz. Wieczór był słotny i posepny, zresztą kończył szary, mokry dzień.

- Oczywiście - odparłam. Perspektywa wizyty u Lucille wyraźnie ostudziła mój entuzjazm do wspólnego weekendu. Chociaż przeżyłam z nią dość dużo czasu podczas jej częstych przyjazdów do Nowego Jorku, nasze stosunki nadal były napięte. Przynajmniej przede wszystkim stale pilnowała każdego kęsa

jedzenia, który brałam do buzi, chociaż wskutek codziennego stresu byłam szczuplejsza niż kiedykolwiek. Nie rozumiałam, jak można płacić czterdzieści dolarów za miniburgeta u Swifty'ego, wyrzucać bułkę, a potem skubnąć tylko kawałek mięsa.

No i zakupy. Zawsze wydawało mi się, że je lubię. Kiedy przeprowadziłyśmy się do Nowego Jorku, po każdej wypłacie chodziłam z Beą do Bloomingdale'a. Ale z Lucille zakupy przypominały bardziej pracę, bo podchodziła do nich tak poważnie. Wyprawy do Nowego Jorku traktowała jak misję, żeby przeczesać Madison Avenue w poszukiwaniu ubrań, bez których nie mogła żyć - kostiumy Chanel, sukienki Valentina, kaszmiry Loro Piana i całe sterty butów Manola. Miała otwarte rachunki u wszystkich większych projektantów. Jednej grudniowej soboty wydała prawie tyle, ile ja zarobiłam w ciągu roku.

- Ech, te gwiazdkowe przyjęcia - rzuciła od niechcienia.

Bardziej irytujące były niezbyt subtelne aluzje Lucille na temat mojej przyszłości z jej synem. Wyraźnie parła do małżeństwa, co powinno mi pochwlebiać, mnie jednak przeszkadzał jej niewyobrażalny nacisk.

- Który podoba ci się najbardziej, kochanie? - spytała mnie pewnego razu z miną niewiniątka, kiedy stanęłyśmy przed witryną sklepu Harry'ego Winstona pełną pierścionków z brylantami.

- Wszystkie są piękne - zbyłam ją, stropiona.

- Mniejsza z tym, bo przecież Randall odziedziczył po babce przepiękny pierścionek z czterokaratowym brylantem. Drugiego takiego nie ma na całym świecie.

- No tak - wymamrotałam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie omawiałam jeszcze z Randallem odległej przyszłości, tym bardziej więc nie byłam skłonna omawiać jej z jego matką.

- Rodzice zaplanowali nam cały weekend - powiedział Randall, głaszcząc mnie po kolanie. - Lunch w klubie, a po południu żagle. Mama liczy też, że wyskoczysz z nią po zakupy na Worth Avenue.

- Cudownie! - zaszcebiotałam, siląc się na entuzjastyczny ton. Rodzina Randalla traktowała przynależność do swojej sfery jak sport ekstremalny.

- Tak się cieszę, że polubiłaś moich rodziców - ekscytował się Randall.

- Bardzo cię kochają - odparłam, łamiąc sobie głowę, co powiedzieć pod ich adresem, żeby zabrzmiało jak komplement, a nie mijało się z prawdą. - Twoja mama ma niespożyta energię. Onieśmiela mnie swoim zachowaniem. A tata jest taki mądry.

Pomięłam podejrzenie, że Lucille może zawdzięczać tę niespożyta energię zielonym pigułkom, które łykała niemal co godzinę, oraz fakt, że podczas ostatniego spotkania ojciec Randalla przez cały obiad gapił się na moje nogi. Na swój sposób bardzo kochali syna. Tyle że ich świat tak odbiegał od świata, w którym się wychowałam.

- Kocham cię, Claire - powiedział Randall i pocałował mnie w policzek.

Ależ on przystojnie wygląda w tej kaszmirowej jesionce. Wezbrała we mnie fala uczucia. Kochany facet, a przy tym idealny syn. Czasem nie mogłam uwierzyć, że jestem jego dziewczyną. Nadal pamiętałam go w koszulce rugby, jak podaje mi piwo pabst blue ribbon.

- Ja też cię kocham - powiedziałam.

- Panie kierowco, czy mógłby pan nastawić serwis informacyjny? - poprosił, wychylając się do szofera. - Chciałbym poznać wyniki giełdy na zamknięciu. A wiesz, Claire, że polecimy nowym samolotem taty citation 10?

Bardzo się nim podnieca. Pół roku czekał w kolejce, ale teraz dostał go jako jeden z pierwszych.

- Kurczę, niesamowity ten jego odrzutowiec. Wiem, że powinnam była wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu, więcej podziwu. Ale błyszczące nowe zabawki tej rangi trafiały do domu Coksów równie często, jak niedzielne wydanie „New York Timesa”.

Niespełna godzinę później siedzieliśmy we wspomnianym odrzutowcu, z kaszmirowymi kocami na kolanach, z porcelanowymi miseczkami pełnymi ciepłych solonych migdałów.

- Kiedy krążę w tym samolocie nad Nowym Jorkiem, czuję się, jakbym wykonywał zwycięską rundę - powiedział Randall, łapiąc mnie za rękę podczas startu z Teterboro. Przelecieliśmy gładko nad błyszczącymi dachami wieżowców.

- Byłbym zapomniał. Mam coś dla ciebie, maleńka.

Rozpiął skórzaną torbę spoczywającą na siedzeniu obok i wyjął z niej wielkie białe pudło przewiązane czarną wstążką.

- Rozpieszczasz mnie. Pamiętasz, jak prosiłam, żebyś przestał mnie obsypywać prezentami?

Tydzień wcześniej, podczas jednego z naszych rzadkich wieczornych wyjść na kolację, usiłował mnie zaciągnąć do Mikimoto, żeby mi kupić perły hodowlane, ot tak, bez okazji. Musiałam z nim dosłownie walczyć, żebyśmy ominęli ten sklep.

Może powinnam bez sprzeciwu przyjmować ekstrawaganckie podarunki od Randalla. Widziałam, że czerpie szczerą przyjemność ze swojej hojności, ale czułam się głupio, nie mogąc się odwzajemnić. Nawet z początku próbowałam, ale moje prezenty, proporcjonalnie do dochodów, były o wiele skromniejsze - notatnik, jego ulubiona herbata odtruwająca, szalik. Widziałam, jak Randall

udaje radość. Bo jaką radość może sprawić szalik mężczyźnie, który krąży nad Nowym Jorkiem w nowym odrzutowcu?

- Otwórz, kochanie - poprosił i położył mi pudło na kolanach z tak podnieconą miną, jak gdyby to on miał zaraz dostać prezent.

- Och, Randall, niesamowita!

Wyjęłam z pudła olśniewającą czarną koktajlową suknię Chanel z kloszową spódnicą z najdelikatniejszej koronki, jaką widziałam w życiu.

- Poczekaj, mam coś jeszcze - dodał i wyjął z torby mniejsze pudełko, w którym leżały eleganckie szpilki Christiana Louboutina.

- Randall, nie wiem, co powiedzieć!

Sukienka i pantofle wymagały hermetycznie zamykanej szafy, jak najdalej od moich schodzonych butów i strojów rodem z republik bananowych. W życiu nie widziałam z bliska równie szykownego stroju.

- Podoba ci się? - spytał Randall pełen nadziei. Z uniesionymi brwiami przez chwilę wyglądał jak mały chłopiec, któremu niezwykle zależy, żeby mnie uszczęśliwić.

- Bardzo - odparłam. - Ogromnie ci dziękuję. Kosztowne prezenty od mojego przystojnego, cudownego

chłopaka... wiedziałam, że wiele kobiet tylko marzy o czymś takim, ale ja wolałabym, żeby umiał okazać swoje uczucia, niekoniecznie obciążając swoją kartę kredytową.

- Czy w ten weekend szykuje się jakaś oficjalna okazja, o której nie wiem? - spytałam.

- Owszem, na jutrzejszy wieczór zaplanowaliśmy małą kolację. W gronie przyjaciół moich rodziców. Uznałem, że będziesz się lepiej czuła w czymś wyjątkowym, dlatego dzisiaj w przerwie obiadowej wysłałem Deirdre po zakupy.

- Jakie to miłe z twojej strony... i z jej - dodałam, a w duchu jęknęłam. Trudniej było przełknąć przyjaciół Lucille z

Palm Beach niż ostatni batonik na spotkaniu Klubu Anonimowych Łasuchów.

Spotkałam kilkoro z nich podczas jej ostatniej wizyty w Nowym Jorku. Przy drinkach (które trwały aż trzy godziny) dzielnie próbowałam rozkręcić konwersację. Ale o czym mogłam z nimi rozmawiać? Jej przyjaciele nieodmiennie dbali o jakość swojej rozrywki, dlatego zlecali specjalistom wszystko, począwszy od urządzenia domu, a skończywszy na zaprojektowaniu kształtu wanny. Pewna kobieta wynajęła nawet na pełny wymiar godzin opiekunkę do dziecka, żeby być przygotowana do wizyty swojego nowo narodzonego wnuka... który miał ją odwiedzić ze swoją nianią.

- Uroczę maleństwo, ale przecież nie rzucę wszystkiego, żeby przez kilka godzin trzymać na ręku niemowlaka! - szczebiotała.

Jeżeli w weekend mam się obracać w towarzystwie tych pań, naprawdę powinnam mieć się na baczności. Obym tylko zdołała wygospodarować trochę czasu, żeby posiedzieć w spokoju nad maszynopisem Luka'a.

- Wzięłam ze sobą pracę - uprzedziłam Randalla, żeby zawczasu przygotować grunt. - Jak sądzisz, znajdę chwilę czasu na redagowanie?

- Mam nadzieję, maleńka. - Pocałował mnie w czoło. - Moja ty pracowita pszczołko.

Sięgnął do torby, wyjął „Wall Street Journal” i zaczął czytać.

- Może porozmawiamy, skarbie? - zaproponowałam delikatnie, zaglądając za róg gazety. - Mało cię w tym tygodniu widziałam.

Randall przerwał lekturę, złożył gazetę.

- Oczywiście, kochanie. O czym chcesz porozmawiać? Coś cię nurtuje?

- Nie. Po prostu nigdy nie mamy czasu spokojnie ze sobą pogadać. Zawsze tylko omawiamy naprędce dzień przed zaśnięciem, a ja chciałabym... bo ja wiem... dowiedzieć się czegoś więcej o twoim życiu, zanim mnie poznałeś.

- Jasne, ale czego? Chyba już wszystko wiesz, skarbie. Dzieciństwo spędziłem w Nowym Jorku, wakacjowałem w Southampton, zimą feriowałem w Palm Beach...

Będę musiała kiedyś oduczyć Randalla tworzenia takich dzikich czasowników.

- Tyle wiem, ale...

- Wiesz też, że chodziłem do Groton, pływałem w osadzie wiosłarskiej, zostałem wybrany na przewodniczącego rady studenckiej. Potem poszedłem na studia do Princeton, gdzie nadal wiosłowałem i stworzyłem studencki klub inwestorów. No i, oczywiście, poznałem ciebie. - Uśmiechnął się, postukał mnie w czubek nosa. - Podjąłem pracę jako analityk u Goldmana, przerwałem, żeby zrobić doktorat na Harvardzie, a potem wróciłem do Goldmana, skąd już się nie ruszam. Co chcesz jeszcze wiedzieć?

Nie bardzo miałam o co go jeszcze zapytać... po prostu chciałam wiedzieć więcej.

- Opowiedz coś o swoich wrażeniach. Lubieś szkołę średnią? Jeździłeś w dzieciństwie na obozy? Jakie najładniejsze miejsce na świecie widziałeś?

Pytania były marne, ale miałam nadzieję, że sprowokują rozmowę.

Randall wziął głęboki oddech, zdjął okulary.

- Bardzo lubiłem chodzić do liceum. Przedtem chodziłem do Windridge w Craftsbury Common i tamtą szkołę też bardzo lubiłem. Chyba najpiękniejsze miejsca na świecie, jakie widziałem, to hotele Quisisana na Capri i Eden Roc na Cap d'Antibes. Muszę cię tam koniecznie zabrać, oba są przewspaniałe. Coś jeszcze?

Ciekawe, czy Randall kiedykolwiek traci opanowanie.

Nie chciałam go wypytywać, ale pragnęłam poczuć większą bliskość, poznać go na wylot.

- Byłeś kiedyś zakochany do szaleństwa? - zapytałam, wsuwając dłoń w jego dłoń.

Widziałam, jak się nagle stropił.

- Przecież jestem zakochany w tobie. Uśmiechnęłam się.

- A przede mną? Na studiach w Alex Dixon? Czy może w tej byłej, której imię wymknęło się twojej mamie, w Coral...

- Wybacz, ale nie widzę celu, żeby ciągnąć tę rozmowę. Ja cię nie wypytyję o wszystkich mężczyzn z przeszłości...

- Przepraszam, Randall, nie chciałam.

- Kocham cię, Claire, i więcej nie musisz wiedzieć.

Przytuliłam się do niego. Rzeczywiście rozmowa przybrała niefortunny obrót. Nie była szczerym otwarciem duszy, na co liczyłam, chociaż doceniałam staroświecką postawę Randalla, żeby nie odgrzewać dawnych spraw. Niewątpliwie było coś romantycznego w udawaniu, że nasze życie miłosne rozpoczęło się z chwilą naszego spotkania.

- Kochanie - szepnął, całując mnie w policzek - mogę już wrócić do lektury? Bo czytam fascynujący artykuł na temat rynków wschodzących w Chinach.

Pokiwałam głową, sięgnęłam do torby po maszynopis Luka'a. Zrozumiałam, że Randall nie otworzy się tak od razu.

Maszynopis wydawał mi się bliski ideału, ale chciałam go jeszcze doszlifować. Tak jak kiedyś czytałam w kółko wiersze taty, tak teraz czerpałam dziwną przyjemność z obcowania z każdą linijką prozy Luka'a.

Pracowałam blisko godzinę, kiedy powieki mi zaciążyły. Silnik cicho mrucał, nogi miałam otulone miękkim, kaszmirowym kocem, wkrótce zapadłam w sen.

Ocknęłam się, dopiero kiedy szturchnął mnie Randall.

- Zaraz lądujemy - powiedział, głaszcząc mnie delikatnie po przegubie. Pokręciłam palcami nóg. Ścierpły. Tak smacznie i głęboko spałam, że teraz już tylko krótka jazda samochodem dzieliła nas od Lucille i jej rozplotkowanych koleżanek.

Wrzuciłam maszynopis Luka'a do torby, włożyłam buty.

- Lepiej niech się pani ubierze - poradziła stewardesa, wskazując zimową kurtkę, którą przed lotem wrzuciłam, zwiniętą w kłębek, do luku. - Na dworze jest niewiele ponad zero stopni, a na lotnisku wieje przenikliwy wiatr.

- Słyszałeś? - spytałam Randalla, który zbierał swoje manatki. - Widocznie straszliwy huragan uderzył w Palm Beach.

- Mhm - mruknął.

Dopiero na schodkach zorientowałam się, że nie jesteśmy w Palm Beach.

- Bonjour, mademoiselle - przywitał mnie młody człowiek w nienagannym granatowo - czerwonym mundurze.
- Bienvenue a Paris. Puis - je prendre votre bagage?

- Jesteśmy w Paryżu?

Oszołomiona, obejrzałam się na Randalla. Uśmiechał się tajemniczo.

- Niespodzianka! Oboje pracowaliśmy ostatnio tak ciężko, że według mnie zasłużyliśmy na romantyczny weekend we dwoje. A jakie miasto nadaje się do tego lepiej niż Paryż?

- Randall! Nie wierzę! Ależ mi sprawiłeś niespodziankę!

Ja, Claire Truman, zostałam porwana na weekend do Paryża? Osłupiałam, a dokładniej - oniemiałam. Randall nie tylko zrozumiał, że należy nam się więcej czasu razem, lecz również zaplanował niezwykle romantyczny weekend, żeby okazać mi swoje zaangażowanie.

- Znalazłem twój paszport, Svetlana cię spakowała - wyjaśnił z dumą. - Zatrzymamy się w najlepszym apartamencie w Ritzu. Nie mamy zbyt dużo czasu, dlatego wszystko musi wypaść idealnie. A ty nie masz żadnych obowiązków, chciałbym, żebyś się tylko świetnie bawiła.

- Chętnie - szepnęłam, a w głowie kręciło mi się od emocji. Paryż, miasto, które było natchnieniem Hemingwaya, Gertrude Stein, Henry'ego Jamesa. Najbardziej romantyczne miasto świata. W dodatku byłam tu z Randallem. Wymarzona sytuacja.

* * *

- Więc mówisz, że masaż dobrze ci zrobił? Bardzo się cieszę, kochanie - powiedział Randall z uśmiechem, mieszając cafe au lait. Jedliśmy lunch w Le Deux Magots w siódmym arrondissement, w kawiarni, w której Sartre i George Sand chrupali croissanty, kiedy chcieli odpocząć od filozofii. Kawa miała za dużo pianki i była za droga, ale na szczęście odezwał się we mnie duch turystki.

- W życiu nikt mnie tak dobrze nie wymasował - pochwaliłam, jeszcze trochę rozmarzona. Rano obudziła mnie delikatnie pokojówka, która zaprowadziła mnie do salonu odnowy w podziemiach, gdzie zajęło się mną dwóch masażystów. Nigdy przedtem nie zaznałam takiego odprężenia. - Nie potrafię sobie wyobrazić lepszego sposobu po rozpoczęcie dnia. - Sięgnęłam przez stół i ścisnęłam rękę Randalla. - Może zresztą potrafię... ale tylko jeden.

Randall się uśmiechnął. Po dekadencckim masażu oderwałam go od laptopa i zaciągnęłam do łóżka.

- Sądziłem, że po obiedzie wybierzemy się na zakupy do Faubourg St. - Honore - powiedział. - To dosłownie kilka minut drogi stąd, a są tu najlepsze sklepy na świecie: Hermes, Christian Lacroix, Yves St. Laurent. A potem zaplanowałem

specjalny wieczór. Idealna okazja, żebyś włożyła nową suknię.

Suknia! Dopiero teraz zaczęłam wszystko rozumieć. Randall dopracował scenariusz ze szczegółami, nawet wybrał strój odpowiedni na Paryż.

Dzień minął mi błyskawicznie. Mogłabym spędzić całe życie w Paryżu i nie mieć dosyć. Przespacerowaliśmy się po St. - Honore, trzymając się za ręce (już od samego spaceru tą ulicą można poczuć się bogatym), potem zwiedziliśmy szybko Muzeum Rodina, bo już była pora wracać do Ritza na kolację.

W pokoju hotelowym ubierałam się w milczeniu obok Randalla. Ogolił się starannie i wypomadował sobie włosy, a ja podmalowałam się i upięłam włosy w luźny węzeł. Kiedy stanęłam w halce przed lustrem, po raz pierwszy zauważyłam, ile schudłam, odkąd podjęłam pracę w Grant Books. Mama miała rację, wyglądałam jak szkielet. Że też wcześniej tego nie zauważyłam! Ręce miałam wychudzone, brzuch płaski jak bęben, z którego sterczały tylko kości miednicy - jak wówczas, gdy miałam dwanaście lat. Brzuch wiecznie ściśnięty, bo z nerwów nie mogłam jeść, mimowolnie więc stosowałam dietę „nie mam czasu na posiłki”, słowem, wyglądałam na osobę niedożywioną.

- Włóż suknię, kochanie - zaproponował Randall.

Włożyłam, Randall zapiął mi z tyłu zamek. Trudno dziewczynie o wzroście blisko metr osiemdziesiąt z Iowa przedzierzgnąć się w subtelną Audrey Hepburn, ale suknia najwyraźniej miała magiczne właściwości. Od razu mnie odmieniła. Wyglądałam w niej... jak dziewczyna, która powinna chodzić z Randallem Coksem.

- Pięknie wyglądasz, Claire - szepnął Randall, kiedy stanął za mną przed lustrem i poprawił mi włosy. A potem wyjął coś z kieszeni. Sznur pereł Mikimoto, który widzieliśmy tydzień wcześniej w witrynie jubilera.

- Randall! Przecież prosiłam cię, żebyś nie...
- Wystarczy mi jedno „dziękuję” - wymruczał mi do ucha.
- Chodź, mamy rezerwację na dziewiątą u Alaina Ducasse'a. Musimy działać zgodnie z planem, kochanie.

Kolacja okazała się kolejną przesadzoną ucztą dla zmysłów - zaskakująco przytulne rokokowe saloniki spowite metaliczną organdyą, wielki zegar na ścianie, symbolicznie zatrzymany, a z naszego stołu rozciągał się widok na piękny dziedziniec. Jedzenie było przepyszne - zamówiłam zupę z homara i kurczaka z Bresse w białych truflach, a nawet Randall dla odmiany trochę sobie pofolgował.

- Kiedy wejdiesz między wrony... - Roześmiał się, przeglądając menu. - Najwyżej jutro przebiegnę kilka kilometrów więcej.

Kiedy skończyliśmy jeść, Randall odchrząknął głośno raz i drugi. Następnie zaczął się bawić serwetką, przeczesał ręką włosy.

Nigdy nie widziałam, żeby tak się wiercił, aż nagle mnie tknęło...

Zorientowałam się, jeszcze zanim ukląkł przede mną na jedno kolano i poprosił z błagalną, uroczą, żalną miną, czy zrobię mu ten zaszczyt i zostanę jego żoną...

Jego żoną?!

Bo wiedział, bez cienia wątpliwości, że będziemy szczęśliwi razem. Wczoraj poleciał do Iowa, żeby prosić moją mamę o błogosławieństwo, i je dostał. Kocha mnie. Czy wyjdę za niego?

Czy wyjdę za niego?

Teraz już pół restauracji odwróciło się i patrzyło, jak przystojny mężczyzna, tak dobrze ubrany, że mógłby być Europejczykiem, trzymając na wyciągniętej dłoni widoczny z daleka pierścionek, się oświadcza.

Czy wyjdę za niego?

Pytanie zawisło w powietrzu. Zatkąło mnie. Oświadczyzny? Nie spodziewałam się, przyszły tak nagle, za wcześnie...

- Claire - szepnął Randall. - Błagam, powiedz „tak”. Spojrzałam mu w oczy. Kochałam Randalla nie od dziś.

Od osiemnastego roku życia.

- Tak - odparłam i zanim się zorientowałam, już miałam ten ogromny pierścionek na palcu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY PO TEJ STRONIE RAJU

- Czarny poniedziałek - oznajmił David, wchodząc do mojego pokoju z egzemplarzem „New York Post” za pazuchą.
- Vivian wkroczyła na wojenną ścieżkę. Od rana zwolniła asystentkę i doprowadziła dwoje publicystów do łez, a jeszcze nie ma dziewiętej. Widziałaś?

Na widok strony tytułowej zaniemówiłam. Patrzył z niej na mnie Stanley Prizbecki w okropnej halce, umalowany jaskrawoczerwoną szminką. Było to zdjęcie, które znalazłam w teczce Vivian. „Przebieraniec zastępcą burmistrza!” - krzyczał wielkimi literami nagłówek.

- Podobno zerwali tydzień temu - wyjaśniał David. - Żona Prizbeckiego dowiedziała się o jego romansie, dlatego rzucił Vivian, żeby ratować małżeństwo. A zdjęcie? Uwierzyłybyś? We wszystkich gazetach trąbią, że to koniec jego kariery. Stał się pośmiewiskiem. Nawet burmistrz nie może go wesprzeć, bo popełniłby w ten sposób polityczne samobójstwo.

Piekło nie zna większej furii niż wściekłość upokorzonej kobiety, pomyślałam. Wyjaśniło się, po co trzymała to zdjęcie w biurku.

- Szykuje się burzliwy tydzień - powiedziałam ze znużeniem. Przez to również najgorszy na ogłoszenie w pracy moich zaręczyn. Nawet w najlepszej sytuacji nic tak nie drażniło Vivian jak szczęście podwładnych. Po jej okropnym rozstaniu moja wielka radość może obudzić w niej najgorsze demony. David czytał dalej artykuł, a ja zsunęłam z palca pierścionek i włożyłam go ukradkiem do górnej szuflady.

- Podobno Vivian twierdzi, że zerwała z Prizbeckim, kiedy przyłapała go na przymierzaniu jej wieczorowej sukni!

- Lojalna jak diabli!

- Biedne dzieci tego faceta. Jak ci minął weekend? Dobrze się bawiłaś u rodziców Randalla?

- W porządku - odpowiedziałam prędko. - A tobie jak minął?

- Nieźle. Przegryzałem się przez stos nowych ofert. Podrzucę ci kilka recenzji wewnętrznych. Byłaś na Florydzie, prawda? Ominęła cię wielka zawieja śnieżna. Od dziesięciu lat nie spadło tu pod koniec marca tyle śniegu.

Pokiwałam głową. Przez ostatnią dobę wspomniana zawieja odegrała niebagatelną rolę w moim życiu. Przed wszystkim nie mogliśmy wylądować do drugiej nad ranem. Randall nie mógł sobie znaleźć miejsca, chodził nerwowo po samolocie, wściekły, że nie może się porządnie wyspać przed kolejnym tygodniem ciężkiej pracy. Postanowiliśmy wrócić wcześniej z Paryża, żeby nie utknąć pod Nowym Jorkiem. Z samego rana Randall miał konferencję z dyrektorem generalnym i zarządem jednej ze swoich najważniejszych firm. Jak mi wyjaśnił, za cenę kilku dodatkowych godzin w Paryżu nie chciał ryzykować, że spóźni się na konferencję.

Rozumiałam jego obawy. Przecież jeżeli ktoś się zaręcza, to nie znaczy, że ma od razu machnąć ręką na wszystko inne. Praca nadal się dla nas liczyła, nikt nie zdjął z nas obowiązków. Nie mogłam oczekiwać, że życie będzie się układać tak miło, gładko i romantycznie przez cały czas. Mnie zresztą też czekał ciężki tydzień, dlatego warto było jak najszybciej wrócić.

Przyznaję jednak, że chętnie nacieszyłabym się zaręczynami dłużej niż kilka godzin.

Z początku wpadłam w euforię. Jeszcze z restauracji obdzwoniliśmy wszystkich z telefonu Randalla, przyjmując ze śmiechem entuzjastyczne gratulacje od krewnych i przyjaciół. Randall zamówił drugą butelkę szampana. Kelner przyniósł mi róże. Czuję się, jakbym unosiła się dziesięć tysięcy metrów nad ziemią. Czy to możliwe, że właśnie zaręczyłam się z Randallem Coksem?

- Marzenia się spełniają! - zapiszczała Bea do słuchawki.

Święte słowa! Wreszcie o trzeciej nad ranem padliśmy, wstawieni, na ogromne łóżko w Ritzu.

- Pozwól, że pomogę ci się rozebrać - wybełkotał Randall, zrywając się.

- Randall! - zawołałam ze śmiechem, kiedy walczył z moim suwakiem. Nigdy przedtem nie widziałam go pijanego ani tak swobodnego w obejściu. Ściągnął ze mnie sukienkę, delikatnie, lecz stanowczo. Najpierw zsunął z moich szczipłych ud, potem z nóg. Położyłam się na plecach, zamknęłam oczy, czekałam, aż poczuję jego ciało na swoim, jego usta...

On jednak wstał z łóżka. Usiadłam i patrzyłam, jak niesie ostrożnie sukienkę do szafy. Trzymał ją w ramionach jak pannę młodą.

- Proszę bardzo - powiedział do sukienki, znajdując atłasowy wieszak.

Przybrałam uwodzicielską pozę...

- Chyba wypilem za dużo szampana - wyjęczał Randall i padł na mnie bezwładnie. Pozostałam tak bez ruchu, przygwożdżona. Po chwili mój mężczyzna już chrapał, toteż zsunęłam go delikatnie z siebie.

Kiedy obudziłam się nazajutrz rano, już go nie było. Pościelił łóżko po swojej stronie. Pokojówka w milczeniu pakowała moje rzeczy do walizki.

- Pan jest na siłowni - powiedziała, wskazując pustą połowę łóżka. Sądziłabym, że jeśli już nie niedawne zaręczyny, to przynajmniej kac po szampanie zatrzyma Randalla pod pierzyną, ale myliłam się. Nic nie mogło stanąć między nim a bieżnią. - Monsieur Cox prosił, żebym panią spakowała, bo niedługo państwo wyjeżdżają - wyjaśniła pokojówka. Pokiwałam głową ze zdumieniem.

Potem przewróciłam się na drugi bok i zamówiłam serwis do pokoju, wpatrując się w ogromny kamień na palcu lewej ręki, kiedy wykręcałam numer.

Czułam się dziwnie. Ponieważ nigdy wcześniej nie byłam zaręczona, nie za bardzo wiedziałam, jak powinnam się zachowywać. W przypadku nas dwojga przypominało to, jakby ktoś wrzucił kamień do szklanego stawu. Najpierw plusk, następnie kilka kręgów na wodzie, a potem tafla bardzo szybko się wygładziła. Kiedy Randall wrócił z siłowni, cmoknął mnie w czubek głowy i skrzywił się na jajka z parówkami, które zjadałam ze smakiem, a zachowywał się przy tym, jak gdyby nic się poprzedniego dnia wieczorem nie wydarzyło. Dwie godziny później znów siedzieliśmy w samolocie, wracaliśmy do rzeczywistości - on z nosem w dzienniku „Wall Street Journal”, ja przy pracy - i niewiele się do siebie odzywaliśmy.

Gdyby nie ten brylant, sądziłabym, że mi się wszystko przyśniło. Może dlatego nie zdecydowałam się podzielić nowiną w pracy. Chyba sama musiałam najpierw do tej sytuacji przywyknąć.

- David, znajdziesz do południa czas, żeby przejrzeć grafikę do albumu rozkładówek z lat pięćdziesiątych? - spytałam, przerywając swoje rozważania na temat zaręczyn. - Chciałabym je przedstawić najpóźniej w środę.

- Dobra. Niedługo kończę. Pokażę ci je za godzinę.

- Idealnie, dzięki.

Ostatnio coraz więcej zrzucałam na Davida. Wiedziałam, że sobie poradzi, a tylko dzięki jego pomocy mogłam utrzymać się na powierzchni.

- Dobra, gdybyś mnie potrzebowała, będę przy kserokopiarce. Znaleźć ci kogoś, kto będzie odbierał za ciebie telefony?

Powiedziałam, że poradzę sobie sama. Po czym usiadłam wygodniej w fotelu i upiłam łyk kawy, ale była tak gorąca, że sparzyłam sobie podniebienie.

Za kilka dni się przyzwyczaję. W weekend już będę z wypiekami wertowała pismo Marthy Stewart dla nowożeńców. Będę błyskała pierścionkiem każdemu, kto się nawinie w promieniu kilometra. Będę musiała gryźć się w język, żeby nie wykrzyczeć wszystkim, że spotkałam wymarzonego księcia. Prawda, jakie to romantyczne? Jeżeli chcesz posłuchać od początku, jasne, chętnie ci powtórzę, jak było w Paryżu.

Jeszcze będzie mnóstwo czasu, żeby szaleć z emocji, kiedy już oswoję się z tą sytuacją.

Rzuciłam maszynopis Luka'a na biurko. W czasie lotu powrotnego do Nowego Jorku przebrnęłam przez cały tekst i postanowiłam, że na dobry początek dnia dokończę redakcję.

- Claire, do mnie - zaskrzeczał zniechęcony interkom, zanim przeczytałam pierwsze słowo. - NATYCHMIAST.

Czyli początek dnia nie zapowiadał się dobrze. Stale obecny gniew w głosie Vivian nasilił się jakby o kilka stopni.

Wlokłam się korytarzem, za bardzo zmęczona zmianą czasu, żeby obawiać się czekającej mnie masakry.

- Cześć, Vivian - przywitałam się cicho, wchodząc do jej gabinetu. - Co się dzieje?

- Co się dzieje?! - ryknęła na cały regulator. - Może ty mi powiesz, do jasnej cholery, co się dzieje? Odkąd to ja się tobie, do cholery, tłumaczę?

Rany boskie. Nie zapowiadało się najlepiej. Czy naprawdę coś schrzaniłam, czy po prostu dostała białej gorączki? Usiadłam, czekając na rozwój wypadków, dziwnie spokojna, bo przypomniało mi się pierwsze spotkanie z Dawn i Grahamem. Może wytrzymałoby wystarczająco dużą dawkę

złości Vivian, układ nerwowy człowieka osiąga stan nasycenia i przestaje reagować.

- Jak wygląda oferta, z którą kazałam ci się zapoznać w piątek? - zapytała.

- Przeczytałam prawie sto stron, nieźle się zapowiada. Agent obiecał, że na tydzień da ją nam na wyłączność...

- Coś podobnego! Łaskawie wyrazi zgodę? - szydziła Vivian i aż zagryzła wargę z obrzydzeniem. - Do cholery, Claire, dorośnij wreszcie, z łaski swojej! Nie dopuszczasz myśli, że taki sympatyczny agent mógłby kłamać? Że mógłby pokątnie podsuwać książkę innym wydawcom, żeby się zorientować, kogo jeszcze zainteresuje? Mężczyźni kłamią. Wmówią ci wszystko, co chcesz usłyszeć, byle dostać to, na czym im zależy. Czekam na twoją odpowiedź do południa. Nie damy się wciągnąć w grę temu sukinsynowi. Nie będzie się łąsił do zgrai innych wydawców...

Drzwi się uchyliły, wślizgnęła się Lulu.

- Przepraszam, że przeszkadzam - skłamała. - Chciałam tylko zostawić projekty okładek książki *Around the Pole: A Stripper Story* (*Around the Pole: A Stripper Story - Na rurze. Historia striptizerki.*).

I rzuciła makiety na biurko Vivian. Po czym zatrzymała się, najwyraźniej w nadziei, że zobaczy, jak szefowa miesza mnie z błotem.

- Nie przeszkadzasz, Lulu - powiedziała Vivian przesłodzonym głosem. - Cieszę się, że tu jesteś. Kiedy proszę o coś Lulu, natychmiast mi to przynosi, w odróżnieniu od ciebie, Claire. Ma dryg do gry zespołowej. Podpatruj ją, bo możesz się sporo nauczyć!

Jak się podlizywać, obgadywać, chować głowę w piasek, dawać ciała? Stokrotne dzięki.

- Nie udźwignęłabyś nawet tylu tytułów co ona - ciągnęła Vivian, mierząc mnie od stóp do głów pogardliwym

wzrokiem. - Bez przerwy tylko ślęczysz nad tym durnym tekstem Luke'a Mayville'a jak zadurzona pensjonarka! - Ta myśl jakby rozpałała ją na nowo, w jej oczach zapłonęła furia. - Chyba powinnam odrzucić tę książkę, żeby ci, do cholery, dać nauczkę! Tyle czasu spędzasz nad barachłem, które przeczyta... ile? Pięć osób? To jakiś absurd! Nawet ja nie mogłam przebrnąć przez to nudziarstwo, a jestem, do diabła, wydawcą!

Przełknęłam ślinę, naprawdę ogarnął mnie strach. Tego się od miesięcy obawiałam najbardziej - że Vivian, chcąc się odegrać na mnie, zemści się na książce Luka'a. Nie mogłam do tego dopuścić.

- Proszę cię, Vivian - zaczęłam błagać. - Będę pracowała non stop, żeby zdążyć z pozostałymi tytułami. Przepraszam. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

Nie bałam się tak płaszczyć. Nie dbałam o własną godność, byle nie zaszkodzić publikacji książki Luke'a. Vivian oparła się wygodniej w krześle.

- Wiesz, że mogłabym wyrzucić na zbity...

- Wiem. - Skinęłam głową, czując, jak strach chwyta mnie za gardło. - Tylko powiedz, co mam zrobić, a na pewno zrobię.

- Bez obaw - powiedziała Vivian z uśmiechem kota z Alicji w krainie czarów. - Doczekasz się.

* * *

- No i? No i? - krzyczała mi Bea do ucha, kiedy wreszcie oddzwoniłam po jej piątym telefonie. - Claire, ja tu umieram! Opowiedz mi wszystko, ze szczegółami! Nie mogę uwierzyć, że polecieście do Paryża! Jakie to romantyczne! - Mało nie wyskoczyła ze skóry. - Wierzysz, że naprawdę wychodzisz za Randalla Coksa? Pomyśl, ile nocy przeleżałyśmy na moim starym dywanie, marząc o takiej możliwości!

Jej słowa przywołały wspomnienie, choć od tamtego czasu upłynęło blisko dziesięć lat. Leżałyśmy z Beą godzinami na plecach, gapiliśmy się w zalany sufit i snułyśmy marzenia o moim wyobrażonym życiu z Randallem. Począwszy od skromnego ślubu na farmie moich rodziców, pod ich ulubioną jabłonką, posadzoną w dniu, w którym wprowadzili się do tego domu. Razem z Randallem zredagowalibyśmy własną przysięgę ślubną, urzekająco piękną, aż wycisnęłaby wszystkim łzy z oczu. Bukiet ślubny zrobiłabym sobie z konwalii z ogrodu mojej mamy.

Usiłowałam wyobrazić sobie, jak Randall i ja recytujemy słowa naszej przysięgi. Nie wiem, czy nie wypadłoby to... niezręcznie. Randall był bardziej staroświecki ode mnie.

- Kiedy się zobaczymy? - zapytała Bea. - Może zaraz?

Spojrzałam zmęczonym wzrokiem na przepelnione pudło spraw do załatwienia. Piętrzył się stos teczek. Aż mnie ciarki przechodziły, ile pracy czeka mnie w przyszłym tygodniu, a z powodu groźby w sprawie książki Luka'a wszystko nabrało jeszcze większej pilności. Ale bardzo zależało mi na spotkaniu z Beą. I z Marą, która zareagowała fantastycznie, kiedy zadzwoniliśmy z Paryża. Nazajutrz wybierałyśmy się na lunch. Miałam nadzieję, że spotkanie z koleżankami uwiarygodni jeszcze bardziej moje zaręczyny.

- To może wpadnę dziś do ciebie po pracy?

- Jasne! Przyjdiesz z Randallem?

Kiedy Randall wylądował rano na lotnisku, wiedziałam, że zostanie w pracy na noc.

- Pracuje - odparłam zwięźle. - Nie da rady się wyrwać. Musicie się zadowolić mną.

- Nam przecież chodzi o ciebie. Poproszę Harry'ego, żeby w drodze do domu kupił chińszczyznę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Obiecałam Bei, że wpadnę około dziewiątej.

- Claire Truman?

Do pokoju zajrzała kobieta przy kości w blad różowym kostiumie Chanel. Okrągłą jak księżyc twarz okalały gęste, pszeniczne włosy sterczące na wszystkie strony. Przed sobą trzymała cztery ogromne różowe teczki, wszystkie napęczniałe po brzegi.

- Zgadza się - potwierdziłam. Kobieta się rozpromieniła.

- Jaka ty jesteś urocza! Już widzę, że świetnie nam się będzie współpracowało!

- Przepraszam, czy my się znamy?

Czyżby to była nasza przyszła autorka? Zapomniałam o jakimś spotkaniu?

- A, przepraszam... Pani Lucille Cox prosiła, żebym do ciebie wpadła... Nazywam się Mandy Turner... Jestem organizatorką wesel w Palm Beach i na Manhattanie...

Po każdym zdaniu zawieszala głos, jak gdyby czekała, że któraś z podanych informacji mnie oświeci.

Zaprosiłam ją szybko do pokoju, żeby nie usłyszał jej nikt z pracy. Organizatorka wesela? Tak szybko? Zostaw to Lucille. Wróciliśmy do Nowego Jorku niecałe dwanaście godzin temu, a ona już rzuciła się w wir przygotowań.

- Mandy, dziękuję, że zajrzałaś, ale chyba Randall i ja nie potrzebujemy nikogo do pomocy. Planujemy bardzo skromny ślub w moim rodzinnym mieście... w najbliższej wolnej chwili sama zajmę się organizacją.

Z uśmiechem pokazałam jej wymownie stos straszący na biurku.

- Tak? - spytała Mandy, wyraźnie zdumiona. - Czyli gdzie?

- Pochodzę z Iowa City.

- Rozumiem, rozumiem. Może jednak zostawię prospekty, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie?

- Bardzo to miłe z twojej strony, ale nie sądzę, że skorzystamy.

Po chwili uprzejmych przekomarzań się w końcu zatrzymałam teczki. Nie chciałam dłużej omawiać sprawy, a tym bardziej nie chciałam, żeby koledzy usłyszeli nasz spór.

- Gdzie twój pierścionek? - spytała Mandy, kiedy prowadziłam ją w stronę windy.

- Oddałam go, żeby mi zmienili rozmiar - odparłam szeptem.

Dopilnowałam, żeby drzwi windy zamknęły się za Mandy Turner, po czym wróciłam do biurka. Zadzwoił telefon. Tym razem Lucille.

- Claire, kochanie - przywitała mnie oschłym tonem. - Co to ja słyszę? Podobno zrezygnowałaś z usług Mandy. Właśnie do mnie zadzwoniła. Nie mogę pojąć dlaczego. Chciałam też porozmawiać o tym, gdzie pragniesz wziąć ślub. Przemyślałam już i miejsce, i porę. Po co marnować czas na długie narzeczeństwo? W hotelu St. Regis jest wolny termin pod koniec czerwca! Cieszysz się? Dla mnie to idealny czas.

- Przecież to za trzy miesiące! Szczerze mówiąc, pani Cox...

- Lucille, skarbie. Mów do mnie Lucille!

- Lucille, muszę trochę ochłonać, zanim zacznę cokolwiek planować. Chcę się nacieszyć narzeczeństwem.

- No właśnie. Mnie i Mandy tylko o to chodzi. Ty i Randall nacieszcie się z narzeczeństwem, a nudną, przyziemną, głupią pracę zostaw nam.

- Jak to nudną i przyziemną? Nie śmiałabym was prosić, żebyście planowały...

- Wcale nas nie prosisz, słonko, bo my ci same proponujemy. Chcemy zająć się planowaniem, pokryjemy koszty, żebyście nie musieli sobie tym zawracać głowy. Brzmi

jak bajka, prawda? Po co miałabyś się fatygować? I bez tego jesteś przecież bardzo zajęta.

O dziwo, nigdy nie widziałam trudności w zaplanowaniu własnego ślubu. Natomiast po rozmowie z Lucille na ten temat potwornie rozboleła mnie głowa.

Zadzwoił drugi telefon. Numer wewnętrzny Vivian. Nic nie drażniło jej bardziej niż konieczność nagrania się na pocztę głosową, dlatego przeprosiłam Lucille. Obiecałam, że oddzwonię.

- Oczywiście, kochanie. Przemyśl moje słowa. Wyobraź sobie, że nie będziesz musiała kiwnąć palcem.

Odłożyłam słuchawkę.

- Claire! Dlaczego nie sfinalizowaliśmy jeszcze umowy z Candace?

- Bo nie odpowiada jej nasza oferta. - Mówiłam to już Vivian trzy razy. - Czy ma się ustosunkować do niej, bo jest ostateczna, czy powinniśmy rozważyć podniesienie honorarium?

- Zaproponuj piętnaście procent podwyżki i ani centa więcej. Nawiasem mówiąc, w przyszłym tygodniu musisz przejąć pięć albo sześć moich spotkań, bo wyjeżdżam do Los Angeles, a nie chciałabym ich odwoływać. Najlepiej po prostu do mnie wpadnij. Chciałabym, żebyś przejrzała dla mnie kilka książek. Ale nie jutro ani w tym tygodniu, tylko zaraz.

Spojrzałam na pudło spraw do załatwienia. Za chwilę jego zawartość się podwoi. I wtedy przypomniała mi się propozycja Lucille. Może to nie jest taki głupi pomysł?

Nieważne, że nie spełni się moje marzenie o skromnym ślubie w sadzie. Ale wychodzę za mężczyznę, o którym marzyłam od lat. Trafił mi się ideał.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY PRZEDŚLUBNIK. PORADNIK DLA NARZECZONEJ

- Tish - Tish!

Lucille wyskoczyła z bocznego saloniku i zasłoniła oczy mojej biednej, zaskoczonej mamie, która właśnie weszła ze mną do holu ich kamieniczki przy Upper East Side. Oplotła mamę jak ośmiornica tak mocnym uściskiem, że musiałam ją dosłownie odrywać z pomocą Carlotty.

- Tish - Tish, ile to już czasu! Nie wierzę, że w końcu jesteś w Nowym Jorku! Próbuję cię tu ściągnąć od pierwszej randki naszych dzieci!

- Wiem! - powiedziała mama, wciąż oszołomiona po powitaniu Lucille. - Bardzo miło mi cię widzieć, Luce. Świetnie wyglądasz. Nic się nie zmieniłaś.

- Cud botoksu, Tish! Jeżeli masz ochotę, chyba mogłabym cię zapisać na weekend do najlepszego lekarza w Nowym Jorku. Czasem przychodzi z wizytami domowymi, ale tylko do mnie!

- Darujmy sobie - rzuciła mama. - Chyba będziemy miały aż nadto roboty z przymiarkami sukni, które wyznaczyłaś. Dziękuję, że włączyłaś się do przygotowań. Tyle serca nam okazujesz.

Nasze wystawne wesele w hotelu St. Regis miało się odbyć już za półtora miesiąca, co napawało mnie zdumieniem i przerażeniem, a mnie pozostawiono tylko jedno, za to poważne zadanie - znaleźć odpowiednią suknię ślubną.

- Tish, robię to z największą ochotą. Ale mamy przed sobą cały dzień. Uwierzyłyabyś, że to twoja rodzona córka? - zawołała Lucille. - Nie zjawiała się na żadną umówioną przymiarke.

- Wiem, że teraz pochłania ją praca...

- Oj, praca, praca - wtrąciła Lucille, najwyraźniej zniesmaczona reakcją mojej mamy. - Dobrze, że przynajmniej ściągnęła tu ciebie.

Nawet rozumiałam frustrację Lucille. Moim jedynym obowiązkiem było wybranie sukni, a i to zawałam. Na swoją obronę powiem, że moja praca osiągnęła punkt krytyczny. Odkąd Vivian dowiedziała się o moich zaręczynach, bez przerwy angażowała mnie w pracę, a losy książki Luke'a, dwa miesiące przed publikacją, dosłownie wisały na włosku.

Na szczęście udało mi się ponownie wkupić w łaski Lucille, kiedy zapowiedziałam, że mama przyjedzie jej pomóc. Chwała Bogu, że zechciała przyjechać, zwłaszcza że Bea utknęła w Los Angeles. Drżałam już na myśl o kupnie sukni z Lucille, ale zakupy z nią sam na sam traktowałam jak sytuację, która pozostawi nieodwracalny uraz.

- No to jedziemy - powiedziałam, wzięłam torebkę i listę umówionych spotkań, którą Lucille wydrukowała na różowym papierze. Dostałam sześć godzin wolnego z pracy i licznik zaczął tykać.

- Tish - Tish, prawda, że to spełnienie marzeń? - gruchała Lucille, łapiąc mamę za rękę, kiedy szłyśmy Madison na pierwsze spotkanie. - Mój syn i twoja córka! Tishie, pomyśl tylko, że będziemy miały te same wnuki!

- Rzeczywiście cudownie, Lucille - odparła mama z uśmiechem. - Nie mogę się nacieszyć ich szczęściem.

- Obiecuj, że zostaniesz dłużej, nie tylko na weekend. Tu jest dużo miejsca, zwłaszcza że Randall wyjeżdża na cały tydzień w interesach. Przypomnimy sobie stare, dobre czasy, kiedy mieszkaliśmy razem! Mamy tyle do nadrobienia!

- Niestety, Luce, dziękuję za zaproszenie, ale nie mogę - odparła mama. - Muszę skończyć obraz, na który pewna galeria w Pittsburghu czeka w przyszłym tygodniu. Naprawdę mam nóż na gardle.

- W Pittsburghu? - Lucille zmarszczyła nos. - Mam pomysł. A może ja kupię od ciebie ten obraz? Wówczas mogłabyś go dokończyć, kiedy będziesz miała czas, i zostałabyś tu jeszcze tydzień! Zgadzasz się?

- Wybacz, Luce, zobowiązałam się już wobec galerii - powiedziała mama. - Ale pokażę ci swoje inne prace, spośród których będziesz mogła coś sobie wybrać. Dostaniesz prezent od dawnej przyjaciółki.

Lucille się rozpromieniła. Nigdy nie widziałam jej szczęśliwszej.

- I przyszłej teściowej twojej córki! - zaszczebiotała.

* * *

- Chcę mieć coś bardzo prostego - powtórzyłam szósty raz, już z lekką desperacją w głosie. - Coś takiego.

Wskazałam na zdjęcie wąskiej sukni bez ramiączek, delikatnie obszytej koralikami pod szyją. Wyrwałam je z rosnącego wciąż stosu ślubnej pornografii, którą Lucille dostarczała mi co tydzień do domu.

Była trzecia po południu, a my zdążyłyśmy już zaliczyć w rekordowym tempie następujące sklepy - Angel Sanchez, Carolina Herrera, Bergdorf, Saks i Reem Acra. Padałam z nóg i z głodu, najchętniej udusiłabym Lucille. W każdej przymierzanej przeze mnie sukni doszukiwała się szczegółu, który mogłaby skrytykować.

- Słyszałyśmy, Claire, ma być prosta - odparła Lucille, robiąc miny do mojej mamy, która dla odmiany miała kamienną twarz. - Ale nie damy się oszukać! Która kobieta nie chce w dniu ślubu wyglądać olśniewająco? Przecież to najważniejsza suknia w twoim życiu. Skup się, o nic więcej nie proszę. Ta bez ramiączek mogłaby się nadać, ale jest za pospolita.

- Poczekaj, Lucille - odparła jej zarzut mama ze swoim dyplomatycznym spokojem. - Claire na pewno będzie

wyglądała olśniewająco, a że nosi się trochę mniej ostentacyjnie...

- Tish - Tish, przecież to jej ślub! - zaskomlała Lucille, jak gdyby miała pięć lat. - Najważniejszy dzień w życiu! Boże, że też wszystko musi być na mojej głowie! Najpierw musiałam pchnąć Randalla we właściwym kierunku, potem dosłownie na ostatnią chwilę zarezerwować Ritza w Paryżu, zaplanować z najdrobniejszymi szczegółami wesele, załatwić najbardziej wziętych projektantów na świecie, żeby zgodzili się w niecałe dwa miesiące uszyć wybraną przez nas suknię. Kto to słyszał? Ale zgodzili się tylko dla mnie, a wszystko po to, żeby Randall i Claire mogli w czerwcu stanąć na ślubnym kobiercu.

Poczułam się, jakbym dostała obuchem w łeb. To znaczy, że Lucille zorganizowała nasz weekend w Paryżu i namówiła syna, żeby mi się oświadczył?

- A ja sądziłam, że to Randall zaplanował nasz wyjazd - powiedziałam cicho, starając się ukryć, że tą wiadomością podcięła mi skrzydła.

- Kochana ty moja, przecież to mężczyzna! - Lucille roześmiała się, rozbawiona moją naiwnością. - Przy planowaniu w ogóle nie można na nich liczyć. Jego sekretarka pomaga w prezentach, ale trzeba mieć siłę przebicia, żeby załatwić w tak krótkim czasie najlepszy apartament w Ritzu i rezerwację u Alaina Ducasse'a.

Uśmiechnęła się z dumą na myśl o swoim wyczynie.

Mama tylko pokiwała głową. Po jej minie poznałam, że w tej drobnej, władczej, znerwicowanej kobiecie, która dzisiaj nami dyryguje, nie może odnaleźć dawnej koleżanki ze studiów. Ale przez wzgląd na mnie robiła dobrą minę do złej gry.

- Kolejny przystanek, Vera Wang! - ogłosiła Lucille. - Panie, idziemy!

- Ta pierwsza suknia u Angela Sancheza naprawdę mi się podobała - stwierdziłam, chwytając Lucille za rękę, żeby zwolniła. - Była taka miękka i zwiewna. Tobie też się podobała, Lucille, prawda? Chciałabym ją kupić.

Mama skinęła głową.

- Ślicznie w niej wyglądałaś, córeczko.

Lucille popatrzyła na nas z lodowatą pobłażliwością.

- Owszem, nie przeczę, była piękna, ale podkreślała ci biodra. Obejrzyjmy inne propozycje. Kochanie, czy zaręczylabyś się z pierwszym mężczyzną, który zaprosił cię na randkę?

Nie widziałam żadnego podobieństwa między tymi dwiema sytuacjami, ale dreptałam posłusznie obok. Zanadto byłam zmęczona, żeby się przeciwstawić. Ta gehenna musi się niedługo skończyć, bo przymierzyłam już co najmniej pięćdziesiąt sukien. Mama uśmiechnęła się do mnie, pytając bez słowa, czy chcę, żeby zakończyła naszą wspólną wyprawę.

- Już trudno - szepnęłam jej do ucha, kiedy Lucille wysforowała się nieco naprzód. - Muszę kupić suknię, a ona ma dobre intencje...

- Drogie panie! Czemu wy się tak wleczenie? Wydłużcie krok! Nie mamy zbyt dużo czasu.

Modliłam się w duchu, żeby Vera Wang uratowała sprawę. W jej salonie, kiedy Lucille oglądała tiary, podsunęłam ukradkiem ekspedientce zdjęcie wyrwane z czasopisma.

- Znajdzie się u państwa coś podobnego? - zapytałam.

- Na pewno.

Skinęła głową i odeszła, a ja znikłam z mamą w przymierzalni.

- I jak się trzymasz? - spytała mama.

- Ledwo, ledwo. Och, jak dobrze, że mogę tu chwilę odsapnąć...

- Mamo, wiem, że kosztuje dziesięć tysięcy dolarów, ale to przecież najważniejszy dzień w moim życiu! - krzyczała dziewczyna w kabinie obok. - Chcesz, żebym na własnym ślubie wyglądała jak śmieć? Do tego dążysz?

- Co też ty wygadujesz, skarbie - odparła znużonym głosem matka dziewczyny.

- W takim razie chcę mieć tę suknię!

- Dobrze, kochanie.

- I pantofle Jimmy'ego Choo z kryształkami w pięcie!
Chwila milczenia.

- Dobrze, kochanie.

Brrr. Czym ta biedna kobieta zawiniła, że los pokarał ją taką rozwydrzoną córką? Moja mama wzniosła oczy do nieba, jak gdyby czytała w moich myślach.

- Panno Truman? Może któraś z tych sukien się pani spodoba.

Ekspedientka rozsunęła zasłonę z tafty, wnosząc kilka wymyślnych, haftowanych sukni. Za nią weszła do przymierzalni Lucille, zacierając ręce w oczekiwaniu.

Zobaczyłam pierwszą suknię. Prosta, bez ramiączek, w kolorze szampana, z tiulową narzutką ozdobioną kryształkami i delikatnymi kwiatami z cekinów. Miała długi, bardzo romantyczny tren. Nie była pretensjonalna ani zbyt dostojna, a przy tym zdecydowanie strojna, miałam więc nadzieję, że zadowoli Lucille.

- Przymierz - poprosiła moja przyszła teściowa. Nawet mama miała pełną emocji minę. Włożyłam, mama zapięła mi guziczki na plecach.

Przejrzałam się w lustrze. Wyglądałam cudownie. Wprost wymarzona ślubna kreacja. No właśnie. Nadeszła chwila, w

której powinnam się przedzierać w pannę młodą. Miałam się tak poczuć, kiedy włożę odpowiednią suknię.

Suknię, w której chciałam, żeby pan młody mnie zobaczył, kiedy otworzą się drzwi kościoła. W której zechcę stanąć przed setkami ludzi i powiedzieć - tak, tak, tak.

- Tak! - krzyknęła Lucille. - Tak!

- Pięknie wyglądasz - pochwaliła mama, przyglądając mi się bacznie. - A ty co myślisz, Claire?

Suknia niezmiernie mi się podobała.

Ale ta szczególna chwila wcale nie nastąpiła. Widocznie byłam jakimś mutantem. Nadal nie czułam musującego podniecenia, na które czekałam od powrotu z Paryża. Nie czułam go, gdy przeglądałam katalogi ślubne. Nie czułam go, kiedy opowiadałam koleżankom o oświadczeniach Randalla. Nie czułam go nawet teraz, gdy przymierzałam najpiękniejszą suknię, jaką kiedykolwiek widziałam. Naprawdę coś było ze mną nie tak.

- Co w niej się może nie podobać? - wtrąciła Lucille. - Suknia wygląda na tobie bosko.

- Też mi się podoba - potwierdziłam z ciężkim sercem. Dlaczego nie potrafię wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu? Wręcz zazdrościłam tej nieżnośnej dziewczynie z kabiny obok. Przynajmniej dokładnie wiedziała, czego chce.

Zanim się zorientowałam, Lucille już wezwała krawcową i zaczęła jej wydawać polecenia - więcej ręcznie naszywanych koralików na trenie... House of Lesage... bez względu na koszty... przyjaciółka Very... wyłączyłam się i tylko patrzyłam w lustro, wypijając przy tym dwa kieliszki szampana.

- Jesteś pewna, Claire? - spytała mama z zatroskaną miną. - Bo nie widzę, żebyś się zachwycała tą suknią. Jeżeli ci się nie podoba...

- Wybacz. Naprawdę mi się podoba, ale jestem zmęczona... mam za sobą ciężki tydzień.

Mama nie była chyba w pełni przekonana, lecz dała za wygraną.

- Wybierzmy teraz welon - powiedziała Lucille, zwolniwszy krawcową. - Proponuję katedralny welon z bogato naszywanym paciorkami oblamowaniem. U Very znajdziemy ciekawy wybór.

Spojrzałam na zegarek. W pracy będzie na mnie czekało w poczcie głosowej co najmniej pięć wiadomości od poirytowanej Vivian. Odkąd Stanley zniknął z horyzontu, nic już nie przeszkadzało jej myśleć o pracy przez okrągłą dobę. Nie wyłączając weekendów.

- Przepraszam, Lucille, ale muszę wracać do pracy.

- Za dużo pracujesz - mruknęła, pomagając mi zdjąć suknię. - Kupię ci ten welon, tak na wszelki wypadek.

Na wszelki wypadek? Welony Very Wang kosztują po trzy tysiące dolarów, trudno więc decydować się na spontaniczny zakup. Oznajmiłam stanowczo, że wolałabym poczekać... na co Lucille, o dziwo, się zgodziła. Kiedy jednak wychodziłyśmy ze sklepu, nagle przypomniała sobie, że musi jeszcze powiedzieć słówko krawcowej, i wróciła, mówiąc, że nas dogoni.

- Wiesz, że ona wróciła po ten welon - szepnęła mama, kiedy patrzyłyśmy za umykającą Lucille. - Doceniam jej gest, ale naprawdę za bardzo się wtrąca...

- Claire? Trish? - Za plecami usłyszałam znajomy głos. Luke. Aż mi się coś przewróciło w środku. Luke minął nas, stanął jak wryty. Przez chwilę ja też stałam bez ruchu. Nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak zakomunikować mu coś, o czym dawno powinien był się dowiedzieć...

- Witaj, Luke! - rzuciła prędko mama, całując go na powitanie. - Jak miło! Miałam nadzieję, że w ten weekend...

- Ale miła niespodzianka! Co cię sprowadza do Nowego Jorku? Wpadłaś odwiedzić córkę?

- No tak - odparła mama, wbijając wzrok w ziemię.

Od tygodni nakłaniała mnie razem z Beą, żebym powiedziała Luke'owi o zaręczynach. Przykładały wielką wagę do tego, że go jeszcze nie zawiadomiłam. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziałam, dlaczego tego nie zrobiłam. Przecież rozmawiałam z nim prawie codziennie, bo zbliżała się publikacja jego książki... ale ponieważ nie wspomniałam o zaręczynach od razu, potem mnie to gryzło, dlatego nadal unikałam tego tematu... i, co gorsza, nie potrafiłam na to znaleźć sensownego uzasadnienia.

- Mam! - Na rozdzierający krzyk Lucille znów poczułam ściśnięcie w dołku. No nie! Wymachiwała torbą Very Wang nie mniejszą od siebie. - Twój welon! Wiem, że chciałaś poczekać, ale nie mogłam się oprzeć! Wybacz mi, skarbie! Przymierzysz sobie w domu, najwyżej oddasz do sklepu, żeby odesłali do Paryża na doszycie paciorków. Obiecali, że zdążą na ślub.

Mama zwróciła się stanowczym tonem do Lucille:

- Muszę poszukać butów. Pójdiesz ze mną? - zapytała i jednocześnie chwyciła ją za rękę. Lucille, miło zaskoczona, że mama w końcu zainteresowała się modą, wręczyła mi torbę Very Wang.

- Bardzo mi było miło cię spotkać, Luke! - zawołała mama przez ramię. - Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy.

To powiedziawszy, zostawiła Luka'a i mnie na ulicy.

- Twój welon? - zapytał, drapiąc się w głowę.

- Boże, co ze mnie za idiotka! - jęknęłam, waląc się w czoło. - Chyba w tym całym zamieszaniu w pracy, zajęta wysyłką twojej książki do drukarni, na śmierć zapomniałam ci powiedzieć... pewno nie uwierzysz? Randall i ja bierzemy ślub.

Kiedy zobaczyłam, jak przyjął moje słowa, pożałowałam, że nie zawiadomiłam go wcześniej przez telefon.

- Bierzesz... Zaraz, to dlatego wuj Jack i ciotka Carie przyjeżdżają w czerwcu? Coś wspominali, że przyjeżdżają prawie na weekend i że będziesz miała swój wielki dzień, ale rozmawialiśmy w przelocie, a z tyłu wrzeszczał cały tabun wnucząt, dlatego nie drażyłem, co mają na myśli. Nie mogę uwierzyć, naprawdę wychodzisz za mąż?

Poczułam do siebie nienawiść. Nie tylko zataiłam przed Lukiem wiadomość o swoim ślubie, lecz również zapomniałam, że Mandy wysłała zaproszenie Jacksonowi i Carie. Co ja sobie myślałam? Zaprosiłam Luka'a na prywatną imprezę rodzinną w Iowa, ale nie na nasze wesele na siedemset osób na Manhattanie?

Mama i Bea miały rację. Nie wiadomo z jakiego powodu, którego bardzo nie chciałam zgłębiać, nie potrafiłam powiedzieć Luke'owi o ślubie.

- Nie mam pojęcia, gdzie ja miałam głowę - wybąkałam. - Błagam, powiedz, że przyjdiesz na ślub. I na próbę generalną wesela w piątek wieczorem w Klubie Uniwersyteckim. Bardzo serdecznie cię zapraszamy. Przyjdiesz? Oczywiście z dziewczyną.

- Zerwaliśmy - odparł krótko, pomijając pierwszą część pytania.

- Ojej! - Cofnęłam się o krok. - Tak mi przykro, Luke. W takim razie przyjdź, oczywiście, sam...

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Jak to? Tak mi przykro. Powinnam była zawiadomić cię wcześniej. Błagam, nie zachowuj się...

- Postawmy sprawę jasno - powiedział Luke, marszcząc czoło. Wziął mnie za rękę, pociągnął na bok, w spokojne miejsce przy wejściu do pasmanterii. Postawiłam torbę, roztarłam ręce. Było ciepłe majowe popołudnie, a ja nie

wiadomo dlaczego raptem miałam gęsią skórę na całym ciele. Jaką sprawę? Dlaczego Luke przybrał tak poważną minę, jakiej nigdy u niego nie widziałam? - Z jednej strony, wierz mi Claire, chętnie uczciłbym każdą szczęśliwą okazję w twoim życiu. Ale z drugiej... - Urwał, zapatrzył się w linie papilarne swojej dłoni, dopiero po chwili podniósł wzrok. - Czuję do ciebie coś więcej. Coś bardzo ważnego. Zawsze chciałem ci to powiedzieć, odkąd wpadliśmy na siebie wtedy przy metrze, ale nigdy się nie składało. Teraz najwyraźniej też pora nie jest najwłaściwsza, ale powiem. Chyba się w tobie zakochuję.

Patrzyliśmy na siebie, oboje przerażeni jego wyznaniem. Te słowa jednak padły.

- Ależ niezręczna sytuacja - powiedział, siląc się na śmiech. - Przepraszam. Chyba powinienem był ugryźć się w język. Spotykam cię z welonem, mówisz, że wychodzisz za innego faceta, a ja nagle wyskakuję z czymś takim.

- Nie, dobrze, że się przyznałeś, Luke. Tylko teraz ja nie wiem, co powiedzieć.

Zagryzł wargę.

- Naprawdę zapomniałaś mi powiedzieć o ślubie czy...

- Ja... sama nie wiem.

Jak na redaktorę i pisarza nieźle nam szła rozmowa.

- Chyba nie powiesz mi, że nic do mnie nie czujesz - odparł cicho Luke, przygważdżając mnie wzrokiem. Wziął mnie za rękę. Poczułam taki sam elektryczny dreszcz jak wtedy, kiedy pocałował mnie w policzek pod domem.

- Muszę już iść! - zawołałam i wyrwałam dłoń z jego uścisku.

Ruszyłam naprzód, zostawiając Luka'a pod markizą, pomaszerowałam Madison Avenue, lawirując wśród ludzi, a sklepy migają mi tylko obok i owiewało mnie ciepłe powietrze.

Musiałam przemyśleć sprawę. Wszystko jednak wydawało mi się tak zawile i pogmatwane, że przydałoby się pięć lat na bezludnej wyspie.

- Claire! - zawołał Luke, który pobiegł za mną.

- Wybacz, teraz nie mogę. - Wyrzucałam z siebie słowa w rajdowym tempie. - Wychodzę za mąż i chociaż z jakiegoś powodu nie chciałam ci tego powiedzieć, czego teraz żałuję, faktem jest, że za kilka tygodni biorę ślub. Za niecałe dwa miesiące. Z fantastycznym facetem. - Z oczu popłynęły mi łzy. - Naprawdę fantastycznym. - Zrobiłam żalostną minę. - I nie mogę tak po prostu, no, wiesz...

- Zostawiłaś welon - przerwał mi Luke, podając pudło.

- A - bąknęłam tylko, upokorzona łzami ciurkającymi mi po twarzy. Jakaś kobieta obładowana torbami zakupowymi przystanęła na ulicy i obrzuciła mnie litościwym spojrzeniem. - Dziękuję.

- Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. - Zbliżył twarz do mojej. Staralam się nie patrzeć na jego usta, nos, lśniące ciemne oczy. Wbiłam wzrok w ziemię. - Masz być najszczęśliwsza. A jeśli Randall zapewni ci szczęście, na które zasługujesz, to bądź z nim.

- Dziękuję - powtórzyłam, nie wiedząc, co dodać. W głowie czułam mętlik.

I wtedy Luke mnie pocałował. Tylko raz, ale jak! Przez jedną krótką chwilę wszystko znów nabrało sensu, chociaż nic go dla mnie nie miało. Gdyby Luke się nie cofnął, ja na pewno nie miałabym siły oderwać się od niego.

* * *

Przez następnych kilka tygodni żyłam jak we mgle. Wszystko po mnie spływało - szczegóły ślubu, tyrady Vivian, troska Bei, coraz dotkliwsza nieobecność Randalla. Kiedy pewnego wieczoru wyskoczyłam z Marą na drinka, zapytała mnie, czy biorę środki uspokajające. Życie wydawało mi się

przytłumione. Nie rozmawiałam z Lukiem od czasu naszego pocałunku, który utkwiał mi głęboko w pamięci, a myślałam o nim bez przerwy. Tyle że nadal wcale nie rozumiałam lepiej własnych uczuć ani nie wiedziałam, co mam z nimi zrobić. Wręcz cieszyłam się, że funkcjonuję jak żywy trup, bo nie umiałam trzeźwo spojrzeć na własne życie.

Pewnego wieczoru na początku czerwca postanowiłam wrócić piechotą do domu i tam dokończyć pracę redakcyjną. Przemykałam Madison Avenue, zatłoczoną nowojorczykami, delektującymi się pierwszymi dniami ciepłej pogody. Wstąpiłam do sklepu po papierosy, bez żadnych skrpułów z tego powodu. Właśnie zapaliłam jednego przed francuskim bistro La Goulue, kiedy zobaczyłam tę kobietę.

Blondynkę z fotografii znalezionej w szufladzie biurka Randalla.

Stała po drugiej stronie ulicy w lekkim sweterku i ślicznej letniej spódnicy, odsłaniającej jej opalone nogi. Była nieziemsko piękna. Kiedy kierowca taksówki zwolnił, żeby ją przepuścić, pomachała mu ze szczerą wdzięcznością. Intuicyjnie mi się spodobała.

Przeszła przez ulicę i skierowała kroki do La Goulue. Ruszyłam za nią, bo i tak szłam w tę stronę. Zobaczyłam, jak otwiera drzwi do restauracji.

I wtedy spostrzegłam Randalla przez okno, otwarte z powodu ciepłej pogody. Wstał od stolika, kiedy blondynka weszła do środka. Nigdy nie widziałam, żeby patrzył na kogokolwiek tak, jak spojrzał na tę kobietę. Pocałował ją w policzek, usiedli.

To jest Coral, powiedziałam sobie z dziwnym spokojem w duchu, ale poszłam dalej. Inna kobieta wpadłaby do restauracji i kazała sobie wyjaśnić, co się dzieje. Jeszcze inna poczekałaby w cierpieniu, aż narzeczony wróci do domu, i wtedy zażądała wyjaśnień albo mu wygarnęła.

Ale inna kobieta nie całowała się kilka tygodni wcześniej z obcym mężczyzną. Inna kobieta nie wracałaby tyle razy myślami do tego jednego niewinnego pocałunku.

Teraz miałam jeszcze więcej do przemyślenia. Więcej rzeczy musiałam odsunąć na bok, jak gdyby się nie zdarzyły. Mijałam kolejne przecznice, przeglądałam się w szybach witryn i ledwie rozpoznawałam zmęczoną kobietę, jaka z nich na mnie patrzyła.

Wiele godzin później, już w łóżku, zapytałam spokojnie Randalla o obiad. Natychmiast przyznał się, że był w La Goulue z Coral. Przeprosił, że nie powiedział mi wcześniej o planowanym spotkaniu. Po prostu chciał ją zawiadomić osobiście o naszych zaręczynach, bo czuł, że tyle jest jej winien, chociaż teraz już nic go z nią nie łączy. Nie chciał mnie tym obarczać, bo nie miało to żadnego znaczenia, a ostatnio wydaję mu się taka napięta.

Powiedziałam, że mu wierzę. Musiałam mu wierzyć. Nie miałam siły wypytywać go, badać, dyskutować i dochodzić prawdy. Po blisko jedenastu miesiącach pracy w Grant Books, półtora miesiąca przed ślubem, osiągnęłam poziom takiego wyczerpania emocjonalnego i fizycznego, że nie było mnie stać na żaden opór. Mogłam jedynie przyjąć wyjaśnienie Randalla za dobrą monetę i zapomnieć o Luke'u. Położyłam głowę na poduszce, wypalona do cna.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

NIEZWYKŁE ZMIANY W OSTATNIEJ CHWILI

- Kończymy. Muszę natychmiast jechać do kościoła, bo spóźnię się na własny ślub - powiedziałam stanowczo Vivian, nakładając skuwkę na długopis.

Wytrzeszczyła na mnie oczy, jak gdyby zdumiała ją wiadomość, że dzisiaj wychodzę za mąż. Może zresztą i zdumiała. Biorąc pod uwagę jej zainteresowanie życiem ludzi ze swojego otoczenia, niewykluczone, że dopiero teraz zastanowiły ją moja biała suknia i suto wyszywany paciorkami, katedralny welon.

Bite trzy kwadransy przesiedziałyśmy w apartamencie dla nowożeńców, zamiast pięciu minut, na które się zgodziłam, a Mandy i Lucille krążyły wokół nas jak dzikie psy, gotowe do ataku. W kącie pokoju mama rysowała w notatniku, jak zawsze, kiedy próbowała się uspokoić. Bea zabijała czas, pijąc morze veuve cliquot, i była już nieźle wstawiona. Pozazdrościłam jej.

- No dobrze - zgodziła się Vivian, co było do niej zupełnie niepodobne, i odprawiła mnie monarszym gestem.

- Nareszcie! Bardzo dziękuję! - zawołała Lucille, rzuciła Vivian płaszcz i pchnęła całą grupę w stronę drzwi. - Boże święty! Kto to widział takie rzeczy?

Mandy kiwała tylko z oburzeniem głową.

- Czyli mogę się ciebie spodziewać w poniedziałek rano, tak? - upewniła się Vivian, kiedy wchodziłyśmy do windy.

- Tak - odparłam. A po chwili dodałam: - Wiesz, Vivian, byłaś zaproszona na ślub.

Lucille wysłała jej zaproszenie, nie pytając mnie o zdanie, bo chciała mieć wśród gości jak najwięcej wpływowych nowojorczyków.

- Owszem, widziałam zaproszenie - odparła Vivian z roztargnieniem, nie tłumacząc, dlaczego się nie wybiera ani

dlaczego nie raczyła nawet odpowiedzieć. - W poniedziałek, Claire, czekam na ciebie z samego rana. Mamy mnóstwo spraw do omówienia. Nie mogę się tak uganiać za tobą po całym mieście, bo moje życie nie kręci się wokół twojego!

- Obie jesteście pomyłone - syknęła Lucille, wciskając guzik zamykający drzwi w windzie. Po raz pierwszy byłam skłonna się z nią zgodzić.

Resztę pięter pokonałyśmy w grobowym milczeniu. Napięcie przypomniało mi jazdę windą z Lulu sprzed wielu miesięcy. Ciekawe, co ona robi w ten weekend, czy uwięźnie w biurze. Wiedziałam, że nie powinno mnie to obchodzić, bo od początku pracy w Grant sprawiała mi same kłopoty, ale trochę mi się jej zrobiło żal.

Kiedy wyszłyśmy przed hotel, Vivian ruszyła wprost do limuzyny z szoferem i wsiadła, bez słowa pożegnania.

- Lulu, nie wiem, do cholery, gdzie jesteś - usłyszałam jeszcze przez otwarte okno, jak warknęła do swojej komórki - ale muszę natychmiast omówić z tobą kilka spraw. Oddzwoń, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość.

Zobaczyłam, jak szybko wstukuje w telefonie kolejny numer.

- Jedź! - ryknęła i szofer ruszył z piskiem opon.

Bea z mamą pomogły mi wsiąść do białego bentleya zaparkowanego przed hotelem - Lucille i Mandy miały jechać razem drugim, żeby omówić ostatnie szczegóły ceremonii. Ułożyły mi suknię, żeby się nie pomięła.

- Ależ ty jesteś blada! - przygadał mi Jacques, wkładając głowę do samochodu, żeby pociągnąć mi policzki różem. - O, już lepiej.

Dmuchnął w powietrzu całusa i odsunął się od samochodu.

Wszystkie panny młode mają pietra, pomyślałam sobie, kiedy Bea naląła nam trzy kieliszki szampana na drogę do

kościół. Moja mama, która prawie nie pije, wychyliła swój w rekordowym czasie.

Małżeństwo to ogromny obowiązek. Czułabym strach niezależnie od tego, z kim miałabym stanąć przed ołtarzem.

Samochód ruszył w stronę kościoła. Dwadzieścia ulic. Modliłam się o czerwone światła. Chciałam sobie jeszcze dobrze przemyśleć tę sytuację. Może za kilka minut lepiej ją zrozumiem. Wszystko rozegrało się za szybko. Nic dziwnego, że wpadłam w popłoch. W ciągu zaledwie roku moje życie zmieniło się niewyobrażalnie.

Czy jeszcze rok temu mogłabym przypuszczać, że będę szła do ślubu z Randallem Coksem, najprzystojniejszym i najbardziej przedsiębiorczym ze znanych mi mężczyzn, obiektem moich westchnień od czasu studiów?

Czy wymarzyłabym sobie, że dostanę pracę redaktorki przy tak prestiżowych książkach? Wprawdzie redagowałam mnóstwo chłamu i musiałam przełknąć cały obłęd Grant Books, ale przyłożyłam również palec do czterech bestsellerów z listy „New York Timesa” i opracowałam jedną fascynującą pozycję literacką. Luke... Szybko wyparłam z głowy myśl o nim, podobnie zresztą jak robiłam to przez ostatnie półtora miesiąca... a może dłużej.

Co się ze mną dzieje? Moje życie potoczyło się lepiej, niż przypuszczałabym jeszcze rok temu. Dlaczego więc bałam się, że jeśli zacznę płakać, to nie przestanę?

Nerwy, nic tylko nerwy. Jeszcze dwanaście przecznic. Jedenaście. Czas umyka. Przeżyj tylko ślub, mówiłam sobie, a wszystko jakoś się ułoży. Wszystkie panny młode mają pietra.

Byłam wdzięczna losowi, że musieliśmy się zatrzymać, bo zatarasował nam drogę taksówkarz, żeby wysadzić pasażera.

- Bo ja... bo ja... - zaczęłam się jękać, nie wiedząc, co powiedzieć.

Bea z mamą patrzyły na mnie wyczekująco. Napiłam się szampana.

- Co takiego, Claire? - spytała mama serdecznie. - Wszystko w porządku? Bo, kochanie, jeżeli coś jest nie tak, to teraz jest najlepsza pora, żeby nam powiedzieć. Nam możesz powiedzieć wszystko, a my na sto procent cię wesprzemy.

- Jasne - wtrąciła Bea, choć język jej się plątał. - Bo za dwie godziny to już nie będzie najlepsza pora.

Osiem przecznic. Pomyślałam o tacie. Kiedy byłam mała, gramoliłam mu się na kolana i prosiłam, żeby mi opowiedział, jak poznał mamę. A kiedy skończył, prosiłam, żeby powtórzył. Bo nigdy nie miałam dosyć słuchania opowieści o prawdziwej miłości. Bo jako jego córka uwielbiałam, jak rozjaśniała mu się twarz, kiedy mówił: „I wtedy do pokoju weszła twoja mama”.

- Ojej, córeczko - powiedziała mama, podając mi chusteczkę. Jacques dostałby szału na widok moich mokrych policzków. - Dlaczego płaczesz?

- Nerwy mi puszczają - wyjaśniłam ze ściśniętym gardłem. Za późno było na inną odpowiedź. Pozwoliłam, żeby sprawy zaszły za daleko. Życie mknęło jak rozpedzony, niekontrolowany pociąg i tylko ja ponosiłam za to winę.

Samochód się zatrzymał. Przyjechaliśmy na kamienny dziedziniec na tyłach kościoła. Nadal otumaniona, pozwoliłam, żeby mama z Beą pomogły mi wysiąść z samochodu. Ruszyliśmy krótką, zwirową ścieżką. Mglisto zarejestrowałam w głowie, że za nami stanął drugi bentley z Lucille i Mandy, które wysiadły z jazgotem. Wszystkie cztery weszłyśmy do kościoła. Mama ścisnęła mi rękę. I wtedy...

Rozległ się przenikliwy brzęk tłuczonego szkła.

Lucille.

Dziesięć kroków przede mną na krzeselku w kruchcie siedział mój narzeczony.

- Pech! - zawyła upiornie jak strzyga jego matka, z trwogą wypisaną na twarzy. - Pech! Nie... powinien... cię... widzieć... przed... ślubem!

Zaczęła nerwowo chwytać powietrze, jakby się dusiła.

- Luce, to hiperwentylacja - powiedziała spokojnie mama, objęła Lucille i wyprowadziła do małego pomieszczenia. - Odpręż się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

- Przecież to pech! Oni nie powinni...

- Wiem, Luce, ale spróbuj się uspokoić - poprosiła cicho mama.

Beatrice rzuciła papierową torbę z płatkami róż na podłogę i pobiegła za mamą i za Lucille. Pociągnęła z sobą Mandy, zamknęła drzwi.

Zostałam więc w kruchcie sam na sam z Randallem.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Randall wyglądał zabójczo, jak Cary Grant, w nad wyraz eleganckim fraku.

- Pięknie wyglądasz - powiedział cicho.

- Dziękuję - odparłam. - Ty też.

Oboje prezentowaliśmy się jak malowani, właśnie mieliśmy wziąć malowany ślub i rozpocząć malowane życie. Znowu spojrzeliśmy na siebie z przeciwnych stron niewielkiego przedsionka.

- Chyba zdenerwowaliśmy matkę. A to prawdziwy pech. - Randall roześmiał się wesoło, ale wychwyciłam nutę smutku w jego głosie.

- Moja mama się nią zajmie - zapewniłam go. Znowu krępująca cisza.

- Chyba powinienem już zająć swoje miejsce.

Uśmiechnął się. Pokiwałam głową.

Czyli to koniec. Ostatnia chwila, żeby...

- Ale to nie wystarczy - odezwał się raptem głos, który zadziwiająco przypominał mój własny.

- Co? - spytał Randall.

- Nie wystarczy - powtórzył głos.

- Nie rozumiem, Claire - rzekł Randall, teraz już z troską na twarzy. - Co nie wystarczy?

O Boże. Niby moje słowa i mój głos, a czułam się, jak gdyby padły bez mojej zgody, jakby ktoś sformułował je za mnie... Nagle mój głos wypowiedział myśli, które krążyły mi po głowie od wielu tygodni, a nawet miesięcy.

- Co nie wystarczy, Claire? - powtórzył Randall, podszedł i mocno mnie objął.

Patrzył na mnie z przerażeniem. Kostki rąk mu zbieleły.

Wyduś to, Claire, pomyślałam. Wyrzuc z siebie, zanim będzie za późno.

Musiałam tylko uwierzyć, że Randall też poniekąd tego chce. Widziałam, jak twarz mu się rozjaśniła, kiedy Coral weszła do La Goulue. Przypomniła mi się twarz taty, która rozpalala się zawsze na widok mamy. Przypomniła mi się twarz Luke'a za każdym razem, kiedy go widziałam.

Tylko ja mogłam zatrzymać umykający pociąg.

- Randall, wiesz, że cię kocham. Uwielbiam cię. Jesteś niesamowity, fantastyczny. Ale to, co nas łączy, nie wystarczy. I podejrzewam, że sam też to czujesz...

- Co ty wygadujesz? Przecież zaraz, na miłość boską, idziemy do ślubu. Chyba z nerwów obleciał cię strach. Kochamy się, a co ważniejsze, szanujemy. A to już, przynajmniej według mnie, dwa dobre powody, żeby wziąć ślub.

Miał rację. Miłość i szacunek to dwa znakomite powody, żeby się pobrać. Przyjrzałam się Randallowi uważniej, po raz pierwszy wyobrażając sobie nasze małżeństwo. Zawsze będziemy dla siebie dobrzy. Nigdy niczego mi przy nim nie zabraknie. Będzie mnie szanował. Będzie traktował nasz związek poważnie.

Ale nigdy, przenigdy nie poczuje do mnie namiętności. Podobnie jak ja do niego. I to właśnie mi nie wystarczyło.

- Randall - spytałam cicho. - Dlaczego zerwałeś z Coral?

- A co ona ma z tym wspólnego? Coral to zamierzchła przeszłość. Chyba nie sądzisz...

- Widziałam twoją twarz, kiedy Coral weszła wtedy do restauracji. Chciałabym wiedzieć, dlaczego się rozstaliście.

Zarumienił się.

- Claire, przecież ci mówiłem, że do niczego między nami nie doszło! To nie był poważny związek! Chciałem ją osobiście zawiadomić o naszym ślubie. Wierz mi, że nic więcej nie było na rzeczy...

- Wierzę. Zastanawiałam się tylko, dlaczego z nią zerwałeś.

- Bo jakoś... bo do mnie nie pasowała... właściwie nie wiem, po prostu nam nie wyszło!

- Przecież ją kochałeś, prawda? To dlaczego wam nie wyszło?

- Claire, błagam, dlaczego teraz o tym rozmawiamy? Wszystko między mną a Coral skończone, nie mam nic więcej...

- Proszę tylko, żebyś powiedział mi szczerze, dlaczego wam nie wyszło, a nigdy do tego nie wrócę.

Randall ukrył głowę w dłoniach.

- Nie wyszło, bo mama nie pochwałała tego związku, to znaczy chyba pochodzenia Coral. Nie uważała jej za odpowiednią partię. A ja wierzę mamie. Zawsze chce dla mnie jak najlepiej.

- I uwierzyłeś jej, kiedy ci wmówiła, że ja będę dla ciebie odpowiednią partią.

- Nie chodzę na jej pasku, Claire. Potrafię myśleć sam. Kocham cię. Przy tobie czuję się szczęśliwy...

- To pomyśl, jak się czujesz przy Coral. Pokręcił głową w rozpaczliwej frustracji.

- Ile razy mam ci powtarzać, że tamto już skończone?

- Pomyśl, jak się przy niej czujesz.

Przestał kręcić głową. Przez chwilę oboje milczeliśmy, ale nasze spojrzenia mówiły wszystko.

- Z nią było inaczej - przyznał cicho. - Sam nie wiem dlaczego. Ale ja cię kocham, Claire.

- Randall, na pewno coś nas łączy i cały ostatni rok był cudowny, ale to nie wystarczy. I to nie twoja wina. Zresztą nie chodzi tylko o ciebie i o Coral. Ja też zaczęłam coś czuć do kogoś innego. Nie chciałam tego, ale stało się. - Usiedliśmy obok siebie na schodach. - Gdybyśmy wzięli ślub, tylko byśmy się oszukiwali. Uważam, że ani ty, ani ja nie zasługujemy na to.

Urwałam. Musiałam odczekać, zanim podejmę temat.

- Nie możemy się pobrać. Wybacz, że zrozumiałam to dopiero kilka minut przed ślubem. Ale wiem, że podjęłam słuszną decyzję.

Bo rzeczywiście wiedziałam. Po roku mętliku w głowie, roztrząsań i narastających wątpliwości dotarłam do sedna prawdy i zrozumiałam, co powinnam zrobić. Randall pokiwał głową. Nachylił się, żeby pocałować mnie w policzek, znów mokry od łez... kiedy drzwi otworzyły się z impetem i wkroczyła Lucille.

- Co to za słuszną decyzją? - zapytała srogo, mnąc papierową torbę w ręce. - Claire, dlaczego ty płaczesz? Co tu się dzieje?

Spojrzałam na Randalla, żeby się przekonać, czy chce, żebym to ja została posłańcem złych wiadomości. Położył mi dłoń na ręce.

- Mamo, Claire i ja postanowiliśmy odwołać ślub.

Lucille osłupiała.

- Co?! Co takiego? Nie ma mowy! Pobieracie się i już. Słyszycie? Organista już się przygotowuje. To jakieś kpiny!

- Wybacz, mamó, wiem, ile pracy włożyłaś w organizację, ale oboje uważamy, że to małżeństwo nie ma sensu. Nie mamy zamiaru brać ślubu.

Lucille, oszołomiona, opadła na pięty, by po chwili osunąć się w ramiona mojej mamy.

Zsunęłam pierścioneł z palca i oddałam Randallowi. Chociaż był piękny, poczułam ulgę, że się od niego uwolniłam. Będzie mi brakowało Randalla, ale poczułam się, jakby mi ktoś zdjął kamień z serca.

- Nie do wiary - szepnęła Mandy i wycofała się, żeby zawiadomić księdza.

- Dziękuję - powiedział Randall i pocałował mnie delikatnie w policzek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PRZEBUDZENIE

- Luke! Podobno rozmawiałeś z Oprah! Sądysz, że wciągnie twój debiut na listę polecanych przez siebie książek?

Luke'a oblegał wianuszek luminarzy literackich na szerokość pięciu osób. Obstąpili go ciasno, tworząc mur nie do sforsowania jak młyn w rugby. Impreza promocyjna trwała już dwadzieścia minut, a ja nie zamieniłam z nim jeszcze słowa.

- Jesteś na pierwszej stronie „New York Times Book Review”! To naprawdę coś!

Książka Luke'a trafiła na półki dokładnie tydzień wcześniej, a już okrzyknięto ją jedną z najbardziej wyjątkowych powieści naszych czasów. Vivian, przejęta jej błyskawicznym sukcesem, nie szczędziła wydatków na odpowiednio eleganckie przyjęcie w Klubie Sztuk Pięknych przy Gramercy Park. Dziś już nie było stroików z piór na biustach.

Widziałam, jak David Remnick i Graydon Carten poszturchują się po dżentelmeńsku, żeby zwrócić na siebie uwagę Luke'a. Dosłownie słychać było, jak Sara Nelson układa w głowie kolejny wstępniak do „Publishers Weekly”. Odbiór książki Luke'a znacznie przewyższył oczekiwania wszystkich - nawet moje, choć i tak były ogromne.

- Claire! - zadudnił ktoś za moimi plecami.

- Jackson! - Uściskałam go serdecznie, zdziwiona i rozradowana jego widokiem. Trudno mi było uwierzyć, że minął rok, odkąd pracowałam u niego jako asystentka. Wydawało mi się, że upłynęło co najmniej dziesięć lat. - Nie sądziłam, że jednak przyjedziesz! Luke mówił, że któreś z twoich wnucząt gra w szkolnym przedstawieniu i że nie będziesz mógł się wyrwać.

- Niestety, małemu Joshui nie wypalił Hamlet. Został w łóżku, złożony chyba najgorszą grypą świata. Postanowiłem więc do was przylecieć. Bo to dla Luke'a wielki wieczór! Podziwiam też twoją pracę, Claire. Świetnie się spisałaś. Ani razu nie musiałem użyć czerwonego długopisu.

- Dziękuję. Uczyłam się od najlepszych. Ale, z ręką na sercu, niewiele miałam do roboty. Książka właściwie od pierwszej lektury wydała mi się perfekcyjna - .

- Claire jest stanowczo za skromna!

Luke podskoczył do mnie i pocałował mnie w policzek. Zarumieniłam się.

- Widzę Marę - powiedział Jackson, który nie grzeszył subtelnością. - Pójdę się przywitać, a was dwoje zostawię samych.

- Czy ty wierzysz własnym oczom? - Luke zwrócił się do mnie, kiedy Jackson wyszedł. Widzieliśmy się po raz pierwszy od mojego odwołanego ślubu. Od rana denerwowałam się tym spotkaniem. - Bo ja nie mogę uwierzyć, że ten cały tłum przyszedł tu świętować wydanie mojej książki. Bez ciebie nigdy bym tego nie dokonał. Poczekaj, mam coś dla ciebie. Chciałem ci podziękować małym upominkiem.

Sięgnął za pazuchę i wyjął niewielki, pięknie opakowany pakiecik.

- Luke, naprawdę nie musiałeś...

- Otwórz.

Powoli rozpakowałam zawiniątko ze srebrnego papieru. W środku znajdował się cienki tomik.

- Pierwszy zbiór wierszy mojego taty - szepnęłam i łzy nabiegły mi do oczu. - Gdzie go znalazłeś?

- To długa i dość nudna opowieść na inny wieczór. - Roześmiał się, aż mu rozbłyły oczy. - Pomyślałem, że ci się spodoba.

- Spodoba? To wspaniały gest, Luke. Dziękuję. Sama nie wiem...

- Szanowni państwo! - Vivian zaklaskała głośno do mikrofonu, który zabrała kwartetowi jazzowemu grającemu w kacie. - Proszę o uwagę!

Na sali zapadła cisza, wszystkie oczy zwróciły się na Vivian.

- To z całą pewnością niesamowity wieczór dla Grant Books. Jesteśmy bardzo dumni z sukcesu i talentu Luke'a Mayville'a. Jak zapewne niektórzy z państwa wiedzą - spuściła wzrok z fałszywą skromnością - odegrałam niemałą rolę w odkryciu jego talentu. Jakaż to satysfakcja dla wydawcy, kiedy w pojedynkę odkrywa zupełnie nieznanego autora i pomaga mu się dzielić jego darem ze światem.

Vivian „w pojedynkę” doprowadziła do sukcesu Luka'a? Przecież jego książkę przeczytała dopiero po wydaniu!

- Dzisiejszy wieczór jest też przełomowy dla Grant Books z innego powodu - ciągnęła. - Z przyjemnością ogłaszam, że odchodzę z Mather - Hollinger. Odtąd moja firma, Grant Enterprises, stanie się niezależnym wydawnictwem w prywatnych rękach. Bardzo się cieszę, że przestanie mnie ograniczać nedorzeczna biurokracja korporacyjna Mather - Hollinger. Grant Enterprises nie tylko będzie kontynuować i rozszerzać moje osiągnięcia w świecie książki, lecz również rozwijać działalność telewizyjną i filmową. Bez wątplenia nasze sukcesy w tych dziedzinach dorównają sukcesom na niwie literackiej.

Nigdy nie czułam do Vivian takiej nienawiści. Oto w wielkim dniu Luka'a najpierw przypisała sobie niemal cały sukces, a następnie, usuwając w cień autora, zdominowała scenę.

A jej oderwanie się od Mather - Hollinger? Zdjął mnie strach. Firma i tak zrobiła niewiele, żeby chronić

podwładnych Vivian od mobbingu, ale lepsze to niż nic. Nie mogłam ścierpieć myśli, jak Vivian zacznie się zachowywać, kiedy zostanie tylko na swoim.

- Ciekawe, jak to się potoczy - skomentował Luke.

- Zanosi się na katastrofę. Rozboliła mnie głowa.

- Luke! Może powiesz coś swoim licznym wielbicielom?

- zamruczała Vivian do mikrofonu tonem piosenkarki hotelowej. Luke zrobił minę, jak gdyby wolał się nie odzywać, po chwili jednak przemógł treść, podszedł do mikrofonu, wziął go od Vivian. Położyła mu rękę na ramieniu, zatrzepotała rzesami i pocałowała go powłóczyście dwa razy.

- Dziękuję, Vivian. Naprawdę doceniam, że państwo tu dziś przyszli. - Rozległy się szczere oklaski i dumy przepełniła mi serce. - Chciałbym szczególnie podziękować pewnej osobie, bo ona jedna dostrzegła potencjał mojej książki i pracowała niestrudzenie, żeby ją wydać. To w tym samym stopniu jej książka jak moja. Mówię o Claire Truman, mojej redaktorce i przyjaciółce. Claire, podejdź tutaj?

Stałam jak słup soli, mimo że morze ludzi się rozstąpiło.

- Chodź, Claire - powtórzył Luke, zapraszając mnie gestem.

Podeszłam nie bez wewnętrznego oporu.

Kiedy się zbliżyłam, zobaczyłam, że oburzona Vivian, z rękami założonymi na piersi, świdruje mnie miazdzącym wzrokiem. Lulu łypała złym okiem z lewej strony, a Dawn, stojąca na przedzie tłumu, omiatała scenę nerwowym spojrzeniem. Tylko David uniósł entuzjastycznie kciuk.

- Jak powiedziałem, nie stałbym tu dzisiaj przed państwem, gdyby nie ciężka praca i baczne oko...

Uśmiechnęłam się, ale spojrzałam na Vivian, która głośno upuściła pary.

- Siadaj, do cholery! - syknęła na mnie. Mikrofon pochwycił jej słowa i nagłośnił w tłumie gości.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

Rumieńce wystąpiły mi na twarz. Luke przerwał. Stałam jak wryta.

- Powiedziałaś, siadaj! - powtórzyła głośniejszym głosem Vivian. - Claire, nie rób wstydu. Odegrałaś pewną rolę przy tej książce, owszem, ale autor przypisuje ci za duże zasługi. Przynajmniej miej tyle godności, żeby to zdementować.

I uśmiechnęła się przepaszająco do tłumy, jak gdybym była niesfornym, zabobnym dzieckiem, którego zachłanności nie da się powstrzymać.

- Vivian - wtrącił stanowczo Luke - Claire odegrała niezwykle ważną rolę przy...

- Już dobrze - zmitygowałam go cicho, a sfrustrowany Luke spuścił głowę. Spojrzałam Vivian prosto w oczy, raptem w ogóle jej się nie bojąc. Skoro miałam odwagę wyhamować przed ślubem, teraz też sobie poradzę. - To nie moja chwila, Luke, lecz twoja. Ale też ostatnia moja chwila w Grant Books. Vivian, odchodzę.

I skryłam się szybko w tłumie, gdzie przedtem stałam. Zdumieni goście rozstąpili się, tworząc przejście między mną a Vivian. Połowa ludzi patrzyła na mnie, połowa na nią. Jeszcze tylko brakowało pustynnych krzewów niesionych przez wiatr, pistoletów, saloonu... i nasze widowisko byłoby pełne.

- Krzyżyk na drogę! - prychnęła Vivian, wyrывая Luke'owi mikrofon. - Przewróciło ci się w głowie, Claire. Od pierwszego dnia spędzałaś mi sen z powiek. Jeżeli ktoś z państwa chce zatrudnić panią Truman, ostrzegam was przed nią!

Odrzuciła grzywę rudoblond włosów i roześmiała się zjadliwie.

Przez chwilę miałam ochotę jej się odszczeknąć. Nie chciałam dopuścić, żeby obsmarowywała mnie przed gronem

szanowanych przeze mnie ludzi! Miałam ochotę nazwać ją żalosaną gnębicielką i mało kto na tej sali poczytałby mi to za złe.

Ale spojrzałam w dół. Nadal trzymałam w rękach tomik taty.

- Żegnaj, Vivian - powiedziałam chłodno i odwróciłam się do drzwi.

Ledwo uszłam kilka kroków, poczułam czyjąś rękę na ramieniu.

- Oto moja wizytówka - powiedział główny redaktor Knopfa, którego poznałam w pierwszej części wieczoru.

- A to moja - dodał starszy redaktor stojący obok. - Proszę o telefon.

W drodze do drzwi niemal wszyscy co ważniejsi wydawcy z tłumu wręczyli mi swoje wizytówki. Zanim wyszłam na korytarz, zebrałam ich kilkanaście. Obejrzałam się na Luka'a. Promieniał. Nawiasem mówiąc, ja też.

* * *

Dwadzieścia minut później, kiedy porządkowałam gorączkowo w gabinecie swoje papiery, w drzwiach stanęli dwaj panowie w czerni z działu kadr. Było po dziesiątej wieczorem.

- Vivian podejrzewała, że pani tu może przyjść - powiedział jeden drab, patrząc na mnie złowrogo. - Przyjechaliśmy tu zaraz po jej telefonie.

- Proszę natychmiast opuścić to pomieszczenie - polecił drugi.

- Oczywiście. Chciałam tylko uporządkować swoje notatki, żeby nie zostawić autorów w trudnej sytuacji...

- Natychmiast to znaczy natychmiast. Ma pani dwie minuty na spakowanie rzeczy osobistych, a po tym czasie zawiadomimy policję miejską, że zakłóca pani porządek, i

zostanie pani wyprowadzona z wydawnictwa przez uzbrojonych strażników.

Przemknęło mi przez myśl, że takie wyprowadzenie na siłę z budynku stanowiłoby najbardziej stosowne zamknięcie tego rozdziału w moim życiu. Ale wrzuciłam prędko do pudła swój wizytownik obrotowy i buty na zmianę, żeby jak najszybciej się spakować. Dość już tych upokorzeń. Chciałam się jak najprędzej wynieść, żeby zachować godność.

Urzednicy spojrzeli po sobie podejrzliwie.

- Dość tego ociągania - rzucił jeden. - Czas minął.

Rzucili okiem na zawartość kartonowego pudła, które oparłam na biodrze. Czas było się wynosić.

Żegnaj, salo konferencyjna, w której przeżyłam tyle skandalicznych wyskoków Vivian.

Żegnajcie, drzwi sali konferencyjnej, którymi Vivian zawsze trzaskała, kiedy wpadła w gniew.

Żegnaj, ekspresie do kawy, który mi ratowałeś życie. Chyba za tobą będę tęskniła najbardziej.

- Prędzej! - szczechnął jeden z urzędników.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego panowie w ogóle spełniają jej rozkazy - powiedziałam. - Przecież Vivian odchodzi z Mather - Hollinger. Właśnie to ogłosiła. Nie powiedziała panom tego przez telefon?

Kiedy stałam w asyście mężczyzn w czerni, drzwi windy zamknęły się za Grant Books. Ani o sekundę za wcześniej.

EPILOG

MIEĆ I ZATRZYMAĆ

- Cieszę się, że przyszłaś - powiedział Phil, otwierając drzwi do swojego mieszkania. - Naprawdę mamy co oblewać!

- Phil, świetnie wyglądasz! Widzę, że jesteś innym człowiekiem!

Nie widziałam go od wielu tygodni, odkąd został starszym redaktorem w Simon & Schuster. Schudł co najmniej siedem kilo i, o dziwo, znikły mu też worki pod oczami. Wyglądał dziesięć lat młodziej.

- W każdym razie znacznie lepiej się czuję. Stres związany z pracą w Grant Books rozwalał mnie od środka. - Phil zaprowadził mnie do salonu, gdzie ponad dziesięć osób siedziało na kanapach i poduchach. - Pozwólcie, że wam przedstawię Claire Truman. W zeszłym tygodniu uciekła z Grant Books.

Wszystkie twarze zwróciły się w moją stronę, przywitały mnie serdeczne uśmiechy. Kilka osób znałam z początku pracy w Grant, innych nigdy nie widziałam.

Kiedy Phil zadzwonił w zeszłym tygodniu, żeby zaprosić mnie na spotkanie grupy wsparcia byłych pracowników Grant, sądziłam, że żartuje. Grupa wsparcia byłych pracowników Vivian Grant? Spotkania, jak mi wyjaśnił Phil, miały na celu wyrzucenie z siebie najboleśniejszych, najobrzydliwszych wspomnień, w których każdy, kto nie poznał osobiście Vivian, z pewnością dopatrzyłby się przesady.

Wahałam się, czy przyjąć zaproszenie. Jeszcze nie otrząsnęłam się z szoku, ale niekoniecznie chciałam wymieniać przykre doświadczenia w gronie obcych ludzi.

- Wiem, że brzmi to nieco dziwnie - przyznał Phil - ale czujemy się jak towarzysze broni. Wszyscy opowiadaliśmy horrory swoim rodzinom i przyjaciołom, a oni wysłuchiwali

nas cierpliwie, usiłując zrozumieć. Ale nie potrafili. Musieliby to sami przeżyć.

Phil nie stracił swojej skłonności do dramatyzowania. W końcu zgodziłam się do niego wpaść. Teraz rozglądałam się po zatłoczonym pokoju i czułam się dziwnie swojsko ze świadomością, że ci ludzie przeżyli swoje w Grant Books i postanowili o tym opowiedzieć. Teraz sprawiali wrażenie przystosowanych do otoczenia, ale podobnie jak ja wiedzieli, co to znaczy żyć w okopach z czwórką kamratów, a po powrocie z latryny zastać tylko zgliszcza i brak wszystkich kompanów. Wiedzieli, co znaczy pracować na froncie, jak uchylać się przed kulami lecącymi z gabinetu Vivian, jak przetrwać na wrogim terytorium okupowanym przez Lulu i Grahama. Musieli wypełniać rozkazy, na których wspomnienie wzdrygali się aż do teraz.

- Witaj w wolnym świecie, Claire - powiedziała piękna kobieta w letniej sukience. - Moje gratulacje, że się stamtąd wyrwałaś!

- Marvin - przedstawił się mężczyzna po mojej lewej. - Pracowałem jako kierownik graficzny w Grant Books aż do dnia, w którym Vivian nazwała mnie przy całym personelu „pieprzonym, zniewieściałym impotentem”. Właśnie wygrałem sprawę w sądzie i kupiłem mieszkanie w Upper West Side, w którym zamieszkałem z dziewczyną.

- O zwolnieniu dowiedziałam się, kiedy nie zadziałała moja zdezaktywowana karta magnetyczna do drzwi - pisnęła czarnowłosa myszka. - Ktoś z działu kadr przywiózł mi do domu moje prywatne rzeczy. A wszystko dlatego, że nie zgodziłam się na kolegium redakcyjnym z Vivian.

- Ach, ona uwielbia takie oznaki władzy - wtrąciła jej sąsiadka. - Niespodziewana dezaktywacja karty? To jedno z jej ulubionych posunięć.

Starszy pan odchrząknął.

- Należałem do nielicznych osób z przeszło dziesięcioletnim doświadczeniem w przemyśle wydawniczym, które podjęły pracę u Vivian. Przez sześć lat pracowałem dla Random House i Penguin. W Grant Books wytrzymałem dziesięć dni. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem czegoś podobnego.

- A jak poszło tobie, Claire? - spytał Phil. - Była wściekła, że odchodzisz?

- Właściwie to nie wiem. Mój były asystent, David, odszedł następnego dnia, a z nikim innym nie rozmawiałam. Naprawdę chciałam się przewietrzyć.

- Masz szczęście, że nie podała powodu twojego odejścia do prasy - mruknął Mike Hudson, młody mężczyzna, w którym poznałam byłego dyrektora do spraw marketingu działu Vivian. - Rozповідаła, że byłem uzależniony od cracka i okradałem budżet firmy, bo górę brał nałóg. Albo coś w tym stylu. Chociaż była to kompletna bzdura, nie zawierała ani krztyny prawdy, jej to nie powstrzymało.

Phil poszedł do kuchni, wrócił z tacą pełną smukłych kieliszków szampana.

- Proponuję toast! - powiedział wesoło, podsuwając gościom kieliszki. - Za to, że wreszcie Vivian dostała za swoje!

- Jak to? - spytałam, kiedy podszedł do mnie z tacą.

- Nie czytałaś dziś rano „Daily News”? Czekał, Linda kupiła dziesięć egzemplarzy, na pewno gdzieś tu mam. O, proszę. - Wyjął gazetę z kosza przy kanapie. - Przeczytaj sobie.

I ZOSTAŁO TYLKO TROJE

Właścicielka potężnego wydawnictwa, Vivian Grant, oficjalnie oderwała się od macierzystej oficyny Mather - Hollinger i przeniosła nowe Grant Enterprises do loftu o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych w Tribeca,

gdzie na wzór Trumpa umieściła swoje nazwisko na budynku. Podobno w zeszłym tygodniu Grant wyraziła nadzieję, że niezależność da jej „więcej czasu na podbój filmu i telewizji”. Stąd wnosimy, Viv, udręką pracy wydawcy jest fakt, że książki zajmują ci tyle czasu. Jak dotąd ten krok przyniósł jedynie niezależność jej byłym pracownikom. Podobno wczoraj, po wyjątkowym ataku hysterii Grant, wymówił pracę cały jej personel z wyjątkiem dwóch osób.

Kim są ci wiernopoddańczy... przepraszam, wierni podwładni, którzy pozostali przy jej boku? Ktoś z byłych pracowników określa starszą redaktorkę Lulu Price i redaktora naczelnego Grahama Fishera mianem „odmóżdżonych wyznawców”, a inny twierdzi, że „okrucieństwem nie ustępują Vivian”. W każdym razie Vivian Grant zyskała ogromną przestrzeń, w której może rzucać krzesłami, tyle że straciła prawie wszystkie żywe tarcze.

- Nie do wiary - powiedziałam, kiwając głową i odkładając gazetę. - Czyli Dawn też odeszła?

- Najwyraźniej to ona zainicjowała ucieczkę. Zaprosiłem ją na dzisiaj, ale nadal była roztrzęsiona. Ściągniemy ją tu na następne spotkanie.

- Brawo dla Dawn. - Wreszcie nie wytrzymała. - Kurczę, wyobrażacie sobie, jak tam teraz jest?

Aż mnie ciarki przeszły mimo letniego skwaru.

- Są siebie warci - odparł Phil. - Ale nie oszukujmy się. Wiecie, że Vivian uruchomi swój piekielny geniusz, żeby znów zgarniać szuflami kasę, zwabi nowy zastęp nieświadomych niczego podwładnych. I cała kołomyja zacznie się od nowa. Nie wypadła z gry.

Może, pomyślałam sobie. Może Vivian znajdzie sposób, żeby podnieść głowę, silniejsza niż zwykle. Phil ma rację, ona jest geniuszem. Ma wyjątkowy dar upatrywania szans tam, gdzie inni ich nie widzą, wyznaje szaleńczy etos pracy, a

nawet jej egotyzm można w pewnych okolicznościach uznać za atut. Jest piękna, zdolna. Ma tyle zalet... a mimo to nie spotkałam w życiu nikogo, kto zionąłby takim gniewem i powodował tyle krzywd. Wielka szkoda. Bo gdyby osoba tak zdolna jak Vivian umiała okazać podwładnym odrobinę szacunku i przyzwoitości, mogłaby doprawdy wiele osiągnąć.

- Ale dość już o niej - przerwał Phil. - Powiedz mi, mała, co teraz robisz. Jak twoje poszukiwania pracy?

- Mam kilka obiecujących tropów, ale na razie zasięgam języka. Tym razem chcę wiedzieć dokładnie, w co się pakuję, zanim zdecyduję się zaangażować.

Na szczęście dzięki Marze już znalazłam Davidowi wspaniałą posadę w P and P. Zadowolony, pracował tam z szanowanym starszym redaktorem i rozkwitnął w nowym otoczeniu.

- A utrzymujesz kontakt z Randallem?

- Owszem. Dobrze mu się wiedzie. Zwolnił tempo, próbuje trochę się wyrywać z pracy. Wyczułam więcej radości w jego głosie.

- Cieszę się. W twoim też słyszę dużo więcej radości, Claire.

Bo byłam szczęśliwa. Znowu czułam się sobą, co przyjął z ogromną ulgą. Ostatni miesiąc okazał się wspaniały. Przede wszystkim znalazłam śliczne dwupokojowe mieszkanie w Williamsburgu, które Bea pomogła mi przekształcić w przytulne gniazdko. Ciasne, ale własne, a co najważniejsze, czynsz był niewysoki. Przyjechała do mnie na tydzień mama, a poprzedniego wieczoru ochrzciłam mieszkanie z Beą pierwszym naszym maratonem przy Ani z Zielonego Wzgórza i kubelku lodów.

Po południu przed wyjazdem na lotnisko mama odwiedziła Lucille. Nie muszę chyba dodawać, że trochę się denerwowałam, mimo zapewnień mamy i Randalla, że moja

niedoszła teściowa dochodzi do siebie po zawodzie przeżyтым w związku z odwołaniem ślubu. Ale wizyta okazała się nadspodziewanie sympatyczna. Jeżeli nawet Lucille nadal żywiła do mnie jakieś urazy, nie dała tego po sobie poznać. Cała w uśmiechach zaprosiła nas na herbatę, pogratulowała mi nawet, że postawiłam się „tej okropnej pani Grant”.

Najwyraźniej miała teraz ręce pełne roboty. Za namową mamy zgodziła się współpracować z Mandy przy organizacji ślubów, wprowadzie tylko na pół etatu, ale miała się czym zająć. Kiedy usiadłyśmy, z dumą pokazała mi swój plan wystawnego wesela zimą w Palm Beach.

- Przepraszam, że dotąd ci nie podziękowałam za pracę przy organizacji naszego wesela - powiedziałam Lucille.

Tak byłam zajęta własnymi problemami, że nie doceniłam jej artystycznej wizji. Chociaż różnimy się gustami, przyznaję, że ma oko do szczegółów.

- Kochanie, ależ nie ma za co - powiedziała Lucille, ściskając mi rękę. - Chętnie zaplanuję ci następne.

Nic go nie zapowiadało, ale chciała dać w ten sposób do zrozumienia, że mi przebacza, co doceniłam. Powrót mojej mamy do jej życia i nowe zajęcie wyzwoliło w niej wielkoduszność.

- Wypijmy za zmianę życia na lepsze! - zawołał Phil, trącąc się ze mną kieliszkiem. Porwał mnie z powrotem do gości. - Na pewno trochę czasu upłynie, zanim ponownie zaczniesz się z kimś spotykać.

- O, na pewno.

Pokiwałam z powagą głową.

- Nawiasem mówiąc, dostałam ciekawą ofertę od twojego znajomego, Luke'a Mayville'a. Jego agent twierdzi, że zasugerowałaś, by Luke przysłał mi maszynopis swojej następnej książki, bo jego umowa z Grant Books wygasła. Na razie złożył tylko część, bodajże pięć rozdziałów, ale uważam,

że są świetne. Nic zresztą dziwnego, po tak spektakularnym debiucie. Oczywiście natychmiast wystosowaliśmy ofertę. Ciekawe, czy Dominick ją zaakceptuje. - Dominick Peters był recenzentem Williama Morrisa, któremu kilka tygodni wcześniej przedstawiłam Luke'a. - Miejmy nadzieję, że tak. Tym bardziej że zaproponowaliśmy mu znakomite warunki.

- Czytałam te rozdziały. Wiedziałam, Phil, że świetnie to zredagujesz.

- Dzięki. Naprawdę doceniam twoje starania. Wszyscy uważamy, że Luka'a czeka wielka przyszłość.

- O, na pewno - potwierdziłam i spojrzałam dyskretnie na zegarek. Osiemnaście po dziesiątej. - Phil, chętnie zostałabym dłużej, ale jestem umówiona. Dorobiłam się już stołu kuchennego, dlatego musisz kiedyś wpaść do mnie z Lindą na kolację.

Razem z Beą odbyłam w ten weekend wyprawę do IKEA.

- Bardzo chętnie. Rzadko teraz zaglądam na Brooklyn. Kiedy tylko zechcesz.

Pożegnałam się z resztą byłych pracowników Grant, zebrałam jeszcze kilka wizytówek i wyszłam. Był ciepły wieczór, tłumy ludzi wyległy na ulice. Szybko przeszłam cztery przecznice do Mimi, delektując się powiewem lata.

- Przepraszam, że musiałeś czekać - powiedziałam, całując Luke'a, po czym usiadłam naprzeciwko.

- Było warto - odparł z uśmiechem.

- Luke! Claire! Moja ulubiona para! - zawołała Mimi, pędząc do naszego stolika. - Posłuchajcie naszych specjalności dnia.

Kiedy Mimi wyliczała, Luke wziął przez stół moją rękę. Wciąż się przy nim uśmiechałam. Na szczęście jemu też uśmiech nie schodził z twarzy.

- Ech, wy dwoje - powiedziała rozbawiona Mimi, kiedy skończyła. - Moje gołąbeczki!

Usiadłam wygodniej, pełna nadziei na ten wieczór. Zaczynał się nowy rozdział mojego życia. I tym razem sama go pisałam.

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję Jamie Raab za to, że zajęła się niniejszą książką. Miałam zaszczyt i przywilej pracować z Karen Kosztołnyik, wnikliwą, dyplomatyczną redaktorką. Niezwykle przydało mi się, przy tej książce i nie tylko, wsparcie i ukierunkowanie Ricka Wolffa. Doceniam pracę mojego agenta, Daniela Greenberga, niezrównanego sprzymierzeńca, doradcy i czytelnika. Wszyscy pracownicy Warner Books - zwłaszcza Michele Bidelspach, Harvey - Jane Kowal, Lisa Sciambra, Anne Twomey, Heather Kilpatrick i Jennifer Romanello - spisali się na medal.

Proszę, żeby następujące osoby przyjęły najszczerze podziękowania: Marisa Brown, Mariah Chase, Dan Clark, Grace Clark, Kelly Collins, Stephanie Harris, David Kanuth, Carey Mangriotis, Elizabeth McGloin, Colleen McGuinness, Daria Natan, Ashley Phipps, Lindley Pless, Massy Tadjedin, Elisabeth Wild, Alexandra Wilkis, Andra Winokur - Newman, Chris Wolff i Laura Zukerman. A nade wszystko John Loverro, któremu nie wiem doprawdy, jak dziękować.

Jak zwykle mam ogromny dług wdzięczności wobec Rodziców i Dziadków za bezwarunkowe wsparcie, inspirujący przykład i wiecznie otwarte drzwi.